

Psy zamarzają na łańcuchach

Prezydent skazał na śmierć tysiące psów

tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 5 (1360)
26.01-1.02.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

CYNIZM TRUMPA

Prof. Kołodko

i

SŁABE PAŃSTWA

Prof. Kimla

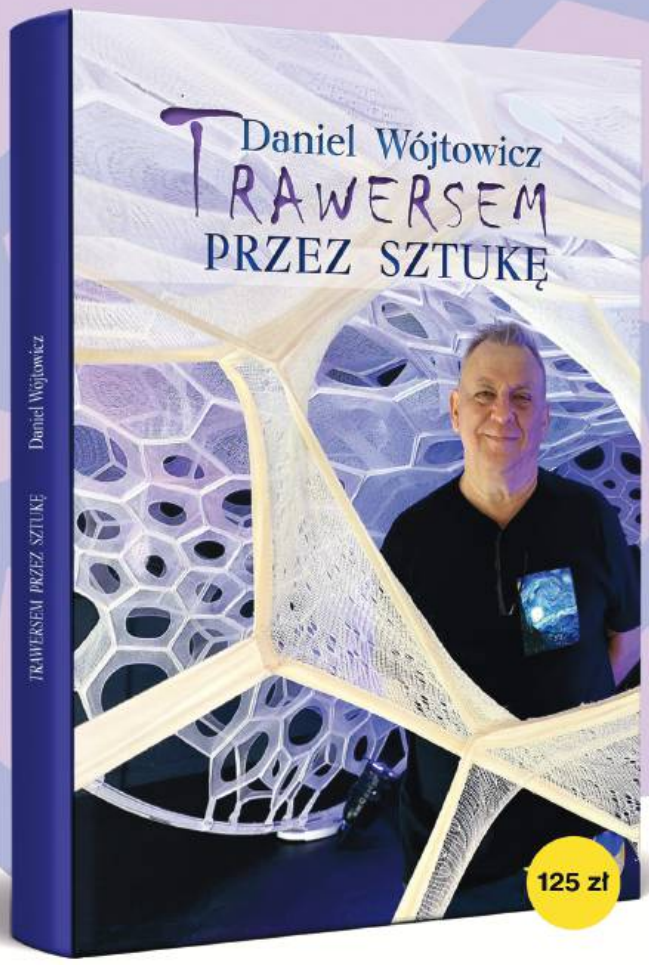
ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115 05 >
9 771509 311607

eprasa.pl 5aa09ba18e

Trawersem przez sztukę

Jak szukać sensu i znaczeń w nowym malarstwie i zostać jego fanem



Pięknie ilustrowany album Daniela Wójtowicza, dziennikarza i popularyzatora sztuki

Dla tych, którzy na co dzień są od galerii daleko, których pasjonuje nowy obraz świata

200 stron relacji z ważnych wystaw malarstwa współczesnego w Polsce i w Europie

• Vincenta van Gogha, Marka Rothki, Davida Hockneya w Paryżu • Francisa Bacona, Mike'a Kelleya, Vincenta van Gogha w Londynie • Wassilego Kandinskiego w Poczdamie • Aleksieja Jawleńskiego w Kopenhadze • Wilhelma Sasnala, Jerzego Dudy-Gracza, Mojżesza Kislinga w Warszawie • Tamary Łempickiej, Jerzego Nowosielskiego w Krakowie • Zdzisława Beksińskiego w Gdańsku • Andy'ego Warhola w Rzeszowie.

Edycja limitowana, sprzedaż wyłącznie w sklepie **Tygodnika PRZEGLĄD**

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. **Wysyłka GRATIS**

eprasa.pl 5aa09ba18e



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Co by tu jeszcze popsuć?

Wielka polityka i globalne problemy świata czy tysiące zamarzniętych psów w Polsce? Psów na łańcuchach. Ofiar weta prezydenta Nawrockiego. Mija miesiąc tęgich mrozów. W nocy temperatura spada do minus 15 st. C, a często i niżej. Ludziom jest zimno, a co dopiero mówić o psach przywiązanych krótkimi łańcuchami do nędznych bud. Obraz tego okrucieństwa wyrządzanego zwierzętom to niewyobrażalna groza. Wolontariusze, którzy próbują pomagać psom, słyszą w czasie interwencji, żeby sp… bo Nawrocki pozwolił na łańcuchy. Taki jest efekt cynicznych zagrywek otoczenia prezydenta. Za to, co zrobili, kara musi być równie dotkliwa jak to, co zrobili psom.

Zwykle nie piszę o redakcyjnej kuchni i dyskusjach o tym, jak dochodzimy do wyboru tematu, który jest później na okładce. Tym razem w zespole był wyraźny podział. Prawie wszystkie panie uważały, że trzeba sobie dać spokój z polityką, gdy giną psy, a zima może jeszcze zwiększyć tragiczne żniwo. Część męska nie negowała celowości bicia na alarm, ale uważała, że wystarczy, jeśli damy tekst na ten temat w środku tygodnika. Efekt tych dyskusji widzicie.

A teraz o Trumpie. Tak to już jest na tym ziemskim padole, że zawsze ktoś puka spod dna. Historia naszego gatunku pełna jest rozmaitych dziwolągów, które dorwały się do władzy i rujnowały wszystko, co tylko mogły. Od roku rola ta – przyznać trzeba, że dość niespodziewanie – jest już obsadzona. Przez prezydenta USA. Donald Trump do zasad, na których opiera się ład po II wojnie światowej, wprowadził nowe reguły. A właściwie kompletny brak reguł. To tak, jakby drużynę piłkarską zawieźć na basen i kazać skakać z trampoliny. Sensu nie ma w tym żadnego. Ale jest show.

Czy to, co robi Trump, zaskakuje? Jego życiorys jest znany. To zawodowy oszust i kombinator. Swój majątek zbudował na przekrętach i bankructwach wielu kontrahentów, którym nie zapłacił za pracę. Na tej długiej liście jest też wielu Polaków wykiwanych przy budowie Trump Tower. Nie zapłacił i – dzięki prawnikom – wyszedł z opresji. Może prezydent Nawrocki upomni się o pieniądze swoich rodaków? To wtedy Trump nabrał przekonania, że cwaniactwo i bezczelność mogą być trampoliną do jeszcze większych pieniędzy. I że jak ktoś jest słabszy, to można go traktować z buta. A gdy ta rachuba zawodzi, zawsze można się wycofać. Właśnie to teraz robi jako prezydent USA. Tego się nauczył jako szemrany deweloper i to przeniósł do polityki. Na szczęście ta wąska specjalność, tego w gruncie rzeczy analfabety, przestaje mu dawać profity. Koniec z polityką obłaskawiania i nieustannych ustępstw. Niestety, nie wiemy, jak to się skończy.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 5aa09ba18e

W NUMERZE

KRAJ

8 Psy zamarzają na łańcuchach
Prezydent skazał na niedolę tysiące psów

12 Wojna, którą odpalił Duda
Dyplomacja bez nominacji

15 Mocny w gębie
Partyjny sędzia Dariusz Łubowski

18 Moja Kitteloma
Poplątane losy Ślązaków

38 Jacek Pałkiewicz Honorowym Obywatelem Miasta Ełk

OPINIE

22 Grzegorz W. Kołodko
Zamach na światowy porządek

26 Piotr Kimla
Grzechy słabych w polityce

ZAGRANICA

30 Dworskie szachy
Zawiłości polityki zagranicznej USA

33 Zacieranie austriackiego profilu
Wielokulturowość zagrożona?

36 Turcja trzy lata po trzęsieniu ziemi
Korespondencja znad Bosforu

HISTORIA

40 Okrągły Stół – spojrzenie po latach
Transformacja zaczęła się wcześniej

44 Marek Zieliński – ważny rosyjski agent czy ofiara kontrwywiadu UOP?

SPORT

46 Szalony finał Senegalu
Czy Afrykanie zostaną mistrzami świata?

KULTURA

48 Moje pokolenie wybiera skrajności
– rozmowa z Kamilem Białaszkiem

51 Qulturalia

66 Po jasnej stronie cienia
Debiut artystki Margar

ZDROWIE

52 Gdy pamięć się gubi
Podstępna choroba Alzheimera

OBSERWACJE

56 Wieżowiec w Alpach
Turystyka czy ekologia

58 Safari z maskonurami
Grenlandzka fauna i flora

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Co by tu jeszcze popsuć?

39 Roman Kurkiewicz
Od groteski przez makabreskę do tragedii

55 Tomasz Jastrun
Był Czarnobyl

61 Wojciech Kuczok
Wujek Supersam



18
KRAJ

MOJA KITTELOMA
Poplątane losy Ślązaków

36
ZAGRANICA



TURCJA TRZY LATA PO TRZĘSIENIU ZIEMI
Korespondencja znad Bosforu



58
OBSERWACJE

SAFARI Z MASKONURAMI
Grenlandzka fauna i flora



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. GIAN EHRENZELLER/KEYSTONE /AP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 5aa09ba18e

Wielka Orkiestro Świątecznej Pomocy — nie jesteś nieomylna

Od tego 2026 roku zdecydowałem się nie wspierać WOŚP z przyczyn osobistych. Liczę, że mój list trafi do właściwych osób z tej fundacji. Pod koniec 2025 r. WOŚP opublikowała na swoim Facebooku wpis, w którym odnoszono się w pejoratywny sposób do krytyki, która ich spotkała, traktując ją tak, jakby ktoś co najmniej znieważył matkę admina ich facebookoowego profilu. Wobec tego ja, w kulturalny sposób zwróciłem im uwagę, że ponieważ są osobami publicznymi, muszą się liczyć z krytyką. Żadnych wyzwisk, ciętego języka itp. Grzeczne i kulturalne zwrócenie im uwagi. Co zrobiła WOŚP? Zablokowała mnie. Dla mnie jest to dowód na to, że są tak przyzwyczajeni do tej okołoreligijnej otoczki, która roztacza się wokół nich, że nie umieją przyjąć „na klatę" nawet kulturalnego zwrócenia im na coś uwagi. Droga WOŚP, nie tędy droga.

Tomasz Wasiołka

Ambasador USA i Elon Musk chwalą weto Nawrockiego


Ambasador USA i Elon Musk chwalą weto Nawrockiego

Sprawa jest trudna, a ustawa wprowadzająca Akt o usługach cyfrowych mocno dyskusyjna. Za chwilę okaże się, że internetowi dyskutanci krytykujący sytuację na Ukrainie mogą być ścigani, bo ich punkt widzenia nie jest po myśli polskich polityków głównego nurtu. Ustawa jest potrzebna, nie neguję tego, ale zawetowana wersja powinna być zmieniona.

Damian Paweł Strączyk

Od Paczkowskiego do Nawrockiego

Taka ocena poglądów i dorobku profesora jest moim zdaniem (chociaż nie jestem historykiem) nieuprawniona, a nawet nieuczciwa. Paczkowski był wybitnym, samodzielnie myślącym historykiem, który nie wpisywał się w żadne trendy polityczne i robił to długo, przed 1989 r. Oczywiście, jak w każdym przypadku osoby o tak wielkim dorobku można (i ja to robię) nie zgodzić się z oceną jakiejś postaci czy wydarzenia, ale na ogólną ocenę to w tym przypadku nie może wpłynąć. Coś mi się wydaje, że profesor trafił w czułe miejsce autora tej opinii, a ten zachował się nieprofesjonalnie i nieuczciwie.


Od Paczkowskiego do Nawrockiego

Grzegorz Wiśniowski

•

Cały okres powojenny do 1989 r. nie miał nic wspólnego z komunizmem i ludzie, którzy wówczas rządzili, nie byli komunistami, tzn. z pewnymi wyjątkami. Śmiem twierdzić, że ktoś świadomie dla celów polityczno-propagandowych mijał się z prawdą historyczną.

Tak na marginesie, instytucja IPN nie ma żadnej prawnej i tym bardziej moralnej racji bytu, gdyż ustrój w Polsce nie został siłowo zmieniony, lecz władza została przekazana w dobrej wierze, co okazało się zdradą tych, którym ta władza została przekazana. Ta instytucja po dzień dzisiejszy dzieli, waśni i różni naród polski.

Stelios Lotsios

ZDJĘCIE TYGODNIA



Prezydent Rosji Władimir Putin wita specjalnego wysłannika USA Steve'a Witkoffa i zięcia Donalda Trumpa Jareda Kushnera, Moskwa, Kreml, 22 stycznia 2026 r.

FOT. ALEXANDER KAZAKOV/POOL/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 5aa09ba18e

Na 13. emeryturę wydajemy z budżetu państwa 16 mld zł. Do 20% osób najniżej uposażonych trafia tylko 25% tej kwoty. A **na 14. emeryturę** idzie z budżetu **12,2 mld zł,** z czego tylko 30% dostają najniższej uposażeni.

•

Jakby mało było problemów w systemie opieku zdrowotnej, to jeszcze mocno dokładają się pacjenci. W ub.r. **14% Polaków nie stawiło się na zaplanowanej wizycie lekarskiej (Medical Science Monitor).**

•

Stan uchodźców z Ukrainy na 17 stycznia opublikował tygodnik „Angora". Niemcy – 1 205 640 osób, Polska – 965 180, Czechy – 391 935, Hiszpania – 247 995, Rumunia – 197 240, Słowacja – 138 865, Holandia – 130 865, Irlandia – 117 445, Belgia – 91 715, Austria – 90 820, Norwegia – 83 015, Finlandia – 76 975, Bułgaria – 76 275, Szwajcaria – 69 780, Portugalia – 58 585, Włochy – 58 435, Francja – 51 170, Litwa – 49 855, Szwecja – 48 800, Dania – 46 675, Węgry – 42 315, Grecja – 37 635, Estonia – 34 775, Łotwa – 31 150, Chorwacja – 28 085, Cypr – 24 620 i Słowenia – 10 965.

•

W 2025 r. zarejestrowano **597 428 nowych samochodów.** Najpopularniejsze marki to: Toyota – 92 123 auta, Škoda – 65 508 i Volkswagen – 42 929 sztuk.

•

W trwającym od kilku lat procesie Mateusza Piskorskiego doszło do zmiany prokuratora. W miejsce Anny Karlińskiej, która przeszła na emeryturę, sprawę przejął Jan Drelewski. W czasie rządów PiS zwalczał aktywistów mniejszości seksualnych. Po 10 latach od zatrzymania Piskorskiego przez ABW prokuratura jest na etapie przesłuchiwania świadków oskarżenia.

•

Mychajło Fedorow, nowy minister obrony Ukrainy, ujawnił, że **2 mln Ukraińców w wieku poborowym jest ściganych listem gończym** z powodu ukrywania się przed służbą wojskową, a 200 tys. samowolnie opuściło jednostki wojskowe.

•

Polska kompozytorka **Hania Rani** otrzymała **Europejską Nagrodę Filmową za muzykę** do filmu „Wartość sentymentalna" Joachima Triera.

•

Rada Etyki Mediów uznała, że Wojciech Surmacz w artykule „Zniszczył rektora UKSW. Metody TVN", który poświęcony był reportażowi śledczemu Michała Fui „Ksiądz, rektor i pani Emilia" wyemitowanemu w „Superwizjerze" TVN, naruszył trzy zasady zapisane w Karcie Etycznej Mediów. Surmacz złamał zasady: obiektywizmu, oddzielenia informacji od komentarza oraz szacunku i tolerancji.

•

Supernowoczesny **prom „Jantar Unity"** zbudowany w Gdańskiej Stoczni Remontowej ma 195,6 m długości i 32,2 m szerokości. Może zabrać 400 pasażerów.

•

Prawie 53 tys. recept na antykoncepcję awaryjną, czyli tabletki „dzień po", wystawiono w polskich aptekach w 2025 r.

•

1,91 mln osób zwiedziło w ubiegłym roku Kopalnię Soli „Wieliczka".

•

Najdłuższe, bo 47-metrowe tramwaje, które mogą pomieścić do 300 pasażerów, będą jeździły po Gdańsku. Za 20 sztuk miasto zapłaci 500 mln zł.

PRZEBŁYSKI



Kto się lepiej podlizał?

„Najnudniejsza impreza w 100-letniej historii plebiscytów »Przeglądu Sportowego« na 10 najlepszych sportowców roku". Jeśli tak ją opisał Wojciech Mittelstaedt w „Nie", to tak jest. Widział przecież tych plebiscytów na własne oczy kilkadziesiąt. Zaczynał jako stażysta w „Przeglądzie Sportowym" u legendarnego Zygmunta Weissa, przedwojennego olimpijczyka i dziennikarza. Powszechnie szanowanego komisarza konkursów. Według Mittelstaedta organizatorzy – „Przegląd Sportowy", TVP i Onet – za punkt honoru wzięli sobie podlizanie się przeróżnym sponsorom. A było ich w tym roku zatrzęsienie. Szczytem żenady i lizusostwa była nagroda dla deweloperskiej firmy Profbud. Jej prezes w długiej mowie tak mieszał wątki, że wprowadził nawet Jana Pawła II. Kuriozum był Czempion dla wyścigów konnych na Służewcu, by podlizać się pani prezes Totalizatora Sportowego. Cztery godziny siedzenia w Teatrze Wielkim na twardych krzesłach. To chyba wymyślił Tomasz Sygut, dyrektor TVP (ten z bagażnika).



Biznesy proboszczów w Bytomiu

Nie mają szczęścia ludzie w województwie śląskim do kapłanów. Jak nie dewianci w Zagłębiu, to oszuści i złodzieje w Bytomiu. Do Sądu Okręgowego w Katowicach trafił akt oskarżenia przeciwko 10 osobom, w tym dwóm byłym proboszczom bytomskich parafii.

CBA dostało cynk, że w latach 2014-2020 dochodziło do nieprawidłowości przy pozyskiwaniu środków publicznych na remonty i inwestycje w parafiach.

Ksiądz Tadeusz P., były proboszcz parafii św. Jacka w Bytomiu, ma siedem zarzutów. Przywłaszczenie mienia, pranie brudnych pieniędzy, posługiwanie się podrobionymi dokumentami i fakturami. Łącznie było tego na ponad 30 mln zł.

Z kolei ksiądz Marek P., były proboszcz parafii św. Małgorzaty, ma zarzuty o wartości przekraczającej 2 mln zł. Szykują się wyroki, bo miliony jakoś się rozpłynęły.

Kosztowna dyrektor Ancipiuk



Na Podlasiu ją znają, choć z niezbyt dobrej strony. A prawdę mówiąc, z całkiem złej. Katarzyna Ancipiuk od 2022 r. jest dyrektorką Podlaskiego Muzeum Kultury Ludowej w Wasilkowie. Nie trafiła tam przypadkowo – Ancipiuk jest wieloletnią radną PiS w Białymstoku. A że w tej partii publicznego grosza nigdy nie szanowano, to i za rządów pani dyrektor muzeum potrafiło cztery razy przegrać sprawy sądowe. Z Przemysławem Płoweckim, twórcą dokumentacji budowy karczmy na terenie muzeum. Najpierw chciano od niego 4800 zł kary. Wygrał. Muzeum złożyło apelację. Znowu wygrał. Pozwał muzeum. Zasądzono mu 60 tys. zł i wieloletnie odsetki. Muzeum apelowało. I znowu przegrało.

Zapłacą podatnicy. Za pensję dyrektor Ancipiuk też.

FOT. YOUTUBE (3)

eprasa.pl 5aa09ba18e



PYTANIE TYGODNIA | Co ciągnie Europę w dół?

PROF. MAREK BELKA,
ekonomista, były premier

Europę ciągnie w dół luźny charakter integracji i brak jedności.

PROF. JAN ZIELONKA,
politolog, profesor na Uniwersytetach Oksfordzkim i Warszawskim

W kategoriach statystycznych Unia Europejska nie jest słaba, bo wciąż jest globalnym gigantem gospodarczym i prawnym, porównywalnym z Chinami i znacznie silniejszym niż Rosja czy Indie. Problem nie leży więc w braku obiektywnej siły, lecz w decyzjach podjętych na wczesnym etapie integracji. Po pierwsze, państwa narodowe mają kontrolę nad integracją i zazdrośnie bronią swojej suwerenności, choć coraz bardziej potrzebują Unii do rozwiązania problemów, z którymi boryka się Europa. Efektem jest frustracja napędzająca nacjonalizm i brak solidarności w ważnych sprawach. Po drugie, legitymizację UE oparto na efektywności, a nie na realnej partycypacji obywateli, co działa tylko w „dobrych czasach". Po trzecie, postawiono na integrację gospodarczą kosztem militarnej, licząc na parasol obronny USA. W nowej, bardziej konfrontacyjnej rzeczywistości te decyzje mają skutki odwrotne do zamierzonych przez twórców integracji. Efekt? Europa nie jest w stanie skutecznie korzystać ze swojej siły normatywnej i gospodarczej, zwłaszcza w momentach kryzysu, takiego jak teraz.

DR HAB. KAMIL ZAJĄCZKOWSKI,
politolog, dyrektor Centrum Europejskiego UW

Europejska gospodarka jest dziś mało konkurencyjna i innowacyjna, silnie przeregulowana, a przy tym obciążona bardzo wysokimi cenami energii, które są kilkukrotnie wyższe niż w USA. To pierwszy problem. Europa przegrywa też wyścig technologiczny: wśród 50 największych firm technologicznych świata tylko cztery są europejskie. W ostatnich 15 latach zlikwidowano też ok. 2 mln miejsc pracy w przemyśle, co pokazuje systematyczny spadek siły produkcyjnej kontynentu. Do tego dochodzi wolniejszy rozwój gospodarki cyfrowej oraz opóźnienia w transformacji energetycznej, zarówno wobec USA, jak i Chin. Całość pogłębia słaba pozycja geopolityczna UE, brak realnej podmiotowości oraz ograniczone zdolności wojskowe i produkcyjne, co ujawniła wojna w Ukrainie.

DR MACIEJ SYCHOWIEC,
politolog, Uniwersytet SWPS

Europa zmaga się ze splotem kilku kryzysów. Jednak najbardziej problematyczny jest brak spójnej wizji i konflikty przy podejmowaniu wspólnych decyzji. Wojna i niestabilność geopolityczna podbijają ceny energii i osłabiają gospodarki. Dodatkowo zmagamy się z rosnącymi populizmami, erozją zaufania do instytucji i konfliktami między interesami narodowymi a dobrem ponadpaństwowym. Kryzysy demograficzne i migracyjne obciążają systemy społeczne, a spowolnienie transformacji klimatycznej zwiększa koszty przyszłych katastrof. Mniej groźne są pojedyncze wstrząsy gospodarcze.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl 5aa09ba18e

PSY ZAMARZAJĄ NA ŁAŃCUCHACH

Prezydent skazał na niedolę tysiące psów

Kornel Wawrzyniak

Jesteśmy w malowniczej wsi pod Białą Podlaską. Wszędzie śnieżny puch. Aż się prosi, żeby wyciągnąć starego Canona i złapać to na kliszę. Na zewnątrz jest minus 20 stopni. Trzy wychudzone psy mieszkają na podwórku w jednej klatce. Nie ma tu nawet kawałka dachu, ziemia pod łapami to rozkopane i zamarznięte błoto. Jeden z psów leży na ziemi i się nie rusza. Śpi? Można się łudzić, ale to zwłoki. Nie śmierdzą, bo konserwuje je mróz. Sąsiadka zauważyła je dzień wcześniej i zaalarmowała o sytuacji w internecie. Wstawiła zdjęcia. Nie było sensu wzywać służb. I tak nic by nie zrobiły. Zamarznięty pies leży, jak leżał, od wielu godzin, chociaż dom właściciela jest kilka kroków dalej. Niby są tu jakieś budy, tylko nie ma w nich nawet kawałka słomy, żeby psiaki mogły się ogrzać. Nogi martwego zwierzęcia są w wielu miejscach nadgryzione. Czyżby towarzysze niedoli byli w aż tak wielkiej desperacji? W końcu w starych garnkach obok budy jest jedynie zamarznięta woda.

Cierpienie przegrywa z polityką

Od trzech tygodni w Polsce panują siarczyste mrozy. Centrum Modelowania Meteorologicznego IMGW co dzień ostrzega przed kolejnymi dużymi uderzeniami zimna. Zaleca się nie wychodzić częściej niż to konieczne. A zima jeszcze długo nie odpuści. 21 stycznia meteorolodzy ostrzegali przed mroźnymi nocami. Średnia temperatura w nocy dla niektórych regionów wynosiła nawet minus 18 st. C. Psy podwórkowe w taką pogodę zamarzają. Od ich właścicieli niewiele się bowiem wymaga. W skrócie – ma być buda i miska z wodą. W lokalnych mediach pojawiają się tymczasem kolejne komunikaty o psach, które zamarzły na łańcuchach.

„W gospodarstwie trzy psy były trzymane stale na łańcuchach – bez bud, bez słomy, bez wody i bez jedzenia poza resztkami ze stołu. (…) Żadnego schronienia, tylko przeciągi i mróz. Najgorzej miał pies przypięty przy pomieszczeniu, w którym brakowało części dachu i ściany. Mróz wchodził tam bez żadnej bariery, a konstrukcja mogła w każdej chwili runąć. Do tego temperatury spadające w nocy do minus 15 stopni… Te psy walczyły o życie każdej nocy. (…). Takie warunki to znęcanie”, piszą w mediach społecznościowych aktywiści z Pogotowia dla Zwierząt.







eprasa.pl 5aa09ba18e

– Pies w takich warunkach doświadcza jednocześnie cierpienia fizycznego i psychicznego. Fizycznie odczuwa przenikliwe zimno i ból, który z czasem staje się coraz silniejszy. Łańcuch utrudnia mu ruch i tym samym zwierzę nie ma możliwości rozgrzania się. Co więcej, często w niskich temperaturach łańcuch wrzyna się w ciało psa i tu chyba nie muszę podkreślać z jak wielkim cierpieniem się to wiąże. Psychicznie to poczucie bezradności i strachu. Łańcuch odbiera możliwość ucieczki i schronienia się w innym miejscu. Pies czuje narastającą panikę, która z czasem przechodzi w apatię. W takich warunkach pies często przestaje walczyć, rezygnuje, nie szczeka, nie reaguje i czeka na śmierć – wyjaśnia Monika Majchrzyk-Pyzińska z Fundacji Serce w Futrze.

Wiele miała zmienić tzw. ustawa łańcuchowa. Zakaz trzymania psów na łańcuchach uratowałby wiele burków przed śmiercią na mrozie. Jednak prezydent Karol Nawrocki ustawę zawetował. Dokument miał regulować też wiele kwestii związanych z losem zwierząt domowych. W ustawie jest mowa o większym nadzorze nad działalnością schronisk, jak i o zwiększeniu kar za znęcanie się nad zwierzętami.

Nad dokumentem pracował zespół ponad politycznymi podziałami i w porozumieniu z organizacjami prozwierzęcymi. We wszystkich obozach (oprócz Konfederacji) panowała polityczna wola, aby ustawa weszła w życie. Nawrocki postanowił jednak znaleźć na siłę dziurę w całym i zrobić wyborcom Konfederacji jeden ze swoich politycznych show z serii „prezydenckie weto”. Kolejne przypadki wetowania pokazują, że za decyzjami prezydenta nie stoją przesłanki merytoryczne, lecz jedynie chęć zdobycia politycznych punktów.

Sytuacja psów na łańcuchach jest tragiczna – przy obecnych temperaturach zamarzają w swoich nieocieplonych schronieniach.

Prezydenckiego weta nie udało się odrzucić w Sejmie, gdzie potrzeba było trzech piątych głosów. Mówiący nie tak dawno temu o prawach zwierząt Jarosław Kaczyński nie przyszedł na głosowanie. Wygrała polityka.

– Jeszcze do niedawna wmawiałam sobie, że gdy pies zamarza, nic nie czuje, traci świadomość i powoli wyłączają się narządy. Niestety, teraz już wiem, że nie jest to prawda. Pies odczuwa silny ból i strach. Zwierzę nie rozumie, co się dzieje, dlaczego cierpi i dlaczego nikt nie pomaga. Zamarzanie to powolna i okrutna śmierć – podkreśla Monika Majchrzyk-Pyzińska, chcąc odwołać się do sumienia polityków.

Przepis na polaryzację

Prezydent argumentował, że nie podobają mu się minimalne wymiary dopuszczalnych kojców uzależnione od wagi psa. 10 m kw. w przypadku psa o masie ciała poniżej 20 kg, 15 m kw. w przypadku psa o masie ciała od 20 do 30 kg, 20 m kw. w przypadku psa o masie ciała powyżej 30 kg. Przy uzasadnieniu weta Nawrocki mówił: „Proponowane normy kojców dla psów były kompletnie nierealne. Kojce wielkości miejskich kawalerek to absurd, który uderzałby w rolników, hodowców i zwykłe wiejskie gospodarstwa. To prawo było oderwane od rzeczywistości. Martwe prawo jest gorsze niż brak prawa”.

– Wydaje się, że prezydent nie do końca zrozumiał zamysł „ustawy łańcuchowej”. A chodziło głównie o to, aby zwierzęta domowe miały ustawowo określone minimalne warunki utrzymania. Ma to już miejsce w przypadku zwierząt gospodarskich.







FOT. OTOZ ANIMALS, ANIMAL HELPER, SERCE W FUTRZE

eprasa.pl 5aa09ba18e

„Ustawa łańcuchowa" nie nakazywała nikomu wsadzania psa do kojca. To było jedno z wielu rozwiązań. Szczegóły opisujące kojec stanowiły odpowiedź na „pomysłowość" osób, które nie potrafią należycie dbać o swojego psa. Zwłaszcza, że sporo psów zdjętych z łańcucha trafiłoby do kojca i już nigdy go nie opuściło – wyjaśnia Magdalena Kordas, szefowa Fundacji Mikropsy.

Zapomniane zwierzęta nie mają dostępu do wody, a jedyne, co mogą, to lizać zamarznięty lód w starych garach.

W argumentacji Nawrockiego są wyraźne przekłamania. Po pierwsze, w zgodzie z obowiązującymi przepisami minimalna wymagana powierzchnia mieszkania to 25 m kw. Być może warto jednak zaufać prezydentowi. Mało kto zna się na kawalerkach tak jak on. Zastanówmy się nad argumentem, w którym to 20 m kw. kojca ma uderzyć w rolników i zniszczyć polską wieś. Według portalu Agropolska.pl średnie gospodarstwo w kraju ma ok. 12 ha, czyli 120 tys. m kw. Zatem 20 m kw. to 0,0167% powierzchni takiego gospodarstwa. Spróbujmy przychylniej popatrzeć na argumenty prezydenta. Wezmę więc najniższą średnią, jeśli chodzi o powierzchnię gospodarstw. Taka jest w województwie podkarpackim, gdzie przeciętne gospodarstwo ma ponad 50 tys. m kw. Największy kojec zajmowałby „aż" 0,04% gospodarstwa.

– Zdaniem prezydenta ustawa została źle napisana ze względu na nierealne wymiary kojców. Tutaj zachodzi pewien istotny błąd logiczny. Kojec nie jest wymogiem. Ma być jedną z alternatyw dla łańcucha. Pies może równie dobrze biegać po podwórku, jeśli teren wokół domu jest ogrodzony. Ważne, żeby było schronienie takie jak buda, gdzie zwierzę może się schować przed warunkami atmosferycznymi – mówi Kamila Gulbicka z Fundacji Viva!

Nawrocki gra więc kartą polaryzacji, wytwarzając sztuczny problem i manipulując częścią opinii publicznej. Szczuje wieś rzekomo miastowymi wymysłami. W tej retoryce zawiera się sugestia, że jakaś grupa wpływu mówi m.in. rolnikom i mieszkańcom wsi, jak mają żyć. Znacząca jest tu choćby ta z pozoru niewinna wzmianka dotycząca „miejskich" kawalerek. W starym kawale rolnik miał dwóch synów. Ten mądrzejszy uprawia rolę po ojcu i pracuje na własny rachunek. Ten głupszy wyjechał na studia do miasta. Pracuje w wielkiej korporacji i spłaca ogromny kredyt wzięty na kawalerkę. Miastowi nie pozostają dłużni. Widząc sprzeciw wsi wobec respektowania praw zwierząt, idą w stereotyp zacofanej prowincji. Zaczynają narzekać i mówić o średniowieczu (albo gorzej). Spirala się nakręca.

Odpisz 90% sprawdzianu. Nikt się nie połapie

Prawo dotyczące zwierząt jest w wielu miejscach niedoskonałe. Znamy to z innych sfer życia. Weźmy choćby przepisy drogowe. Większość kierowców nie boi się konsekwencji mimo wyższych kwot mandatów i punktów karnych kasowanych dopiero po dwóch latach.

Łańcuch utrudnia ruch, więc tym samym zwierzę nie ma możliwości rozgrzania się.

Taka postawa wynika z prostego mechanizmu – to prawo trudno egzekwować. Przepisy mogą być najlepsze, ale nic nie znaczą, jeśli każdy wie, że może się wymigać. Podobnie jest z niektórymi właścicielami psów na łańcuchach. – Obecne przepisy mówią o schronieniu przed warunkami atmosferycznymi. W praktyce w niektórych miejscach owym schronieniem, np. przed słońcem, jest stara lodówka, obudowa pralki albo maszyna rolnicza. Mamy okazję obserwować takie cuda podczas interwencji organizacji społecznych, głównie na wsiach – mówi Magdalena Kordas.

Prezydent Nawrocki postanowił w miejsce zawetowanej ustawy zaproponować własną. Okazało się, że ściągał jak na sprawdzianie z języka polskiego. Zmienił puentę i liczył, że nikt nie zauważy braku innych różnic – 90% prezydenckiego projektu to przepisanie tego, co znajdowało się w tym krytykowanym. Z tą różnicą, że prezydent nie napisał ani słowa o minimalnych wymogach dla kojca. To może doprowadzić do tragedii. Właściciel decyduje, jaką powierzchnię może mieć kojec. – A to równie dobrze może oznaczać, że pies będzie miał w nim mniej przestrzeni, niż miał na łańcuchu – wyjaśnia Kamila Gulbicka z Fundacji Viva!

Podobnego zdania jest prawniczka Katarzyna Topczewska, zajmująca się prawami zwierząt. – Pan prezydent, wetując ustawę, stwierdził, że jest ona nieprecyzyjna, mimo że zawierała konkretne wymogi dotyczące kojców. Po czym zaproponował taką treść ustawy, która naprawdę jest niekonkretna, może doprowadzić do tragedii i chaosu prawnego. Postanowił zakazać uwięzi psów, jednocześnie nie określając minimalnych norm dla kojców. Normy obowiązują w sprawie trzymania wszystkich zwierząt – w tym gospodarskich, a prezydent uważa, że psom, zwierzętom żyjącym najbliżej człowieka, są one niepotrzebne. W myśl prezydenckiego projektu kojec o wymiarach metr na metr będzie zgodny z prawem – komentuje adwokatka w OKO.press.

Nowelizacja ustawy o prawach zwierząt miała też szanse uregulować i nałożyć wyższe kary za znęcanie się nad nimi. Ludzki brak wyobraźni i empatii nie zna bowiem granic. – Sytuacja psów na łańcuchach jest tragiczna. To one są głównymi ofiarami zimy, kiedy zamarzają

eprasa.pl 5aa09ba18e

w swoich nieocieplonych schronieniach. Zapomniane, bo spadł śnieg, nie mają dostępu do wody (choć jej zapewnienie jest ustawowym obowiązkiem właściciela), a jedyne, co mogą, to lizać zamarznięty lód w starych garach. Cierpią w milczeniu, zamarzają cicho, bezszelestnie. O ilu takich psach wiemy, a ile jest po cichu wyrzucanych na śmietnik? – pyta Magdalena Kordas z Fundacji Mikropsy.

Nawrocki argumentuje, że brak prawa jest lepszy niż martwe prawo. Jego weto podtrzymuje jednak innego, prawdziwego prawnego trupa. Mamy obecnie przepis, w którym pies może przebywać 12 godzin dziennie na trzymetrowym łańcuchu. Tak naprawdę nikt nie jest w stanie zmierzyć czasu, przez jaki pies pozostaje na uwięzi. Patrol policji musiałby chyba stać przez 12 godzin przy płocie. – Jeżeli pies przebywa na zewnątrz, podstawowym zabezpieczeniem powinna być dla niego solidna, ocieplana buda. Niestety, nadal dla wielu polskich psów to nieosiągalny luksus. Co więcej, znaczna liczba właścicieli psów ignoruje zapisy Ustawy o ochronie zwierząt o przebywaniu psa poza uwięzią. Zapis ten jest w znacznej mierze nieegzekwowalny, a tym samym niezwykle trudno wymóc na właścicielu taki obowiązek – tłumaczy Monika Majchrzyk-Pyzińska z Fundacji Serce w Futrze.

Bracia nasi mniejsi

Łacińskie określenie *Fratres Minores* odnoszące się oryginalnie do członków zakonu franciszkanów często jest mylnie przypisywane do zwierząt. Nie można jednak zaprzeczyć, że ta metafora trafnie odzwierciedla propagowaną przez Franciszka z Asyżu ideę miłości do wszystkich stworzeń. Pytanie, gdzie podziała się ta miłość u Polaka katolika z zasadami (bo jak wiadomo, każdy, kto lubi się ze środowiskami kibolskimi z wzajemnością, musi mieć w życiu tzw. zasady). Obrońcy praw zwierząt jeżdżący na interwencje często podkreślają, że wielu właścicieli nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że źle zajmuje się psem. Część z nich jest wulgarna, niektórzy próbują nawet uniemożliwiać przeprowadzenie interwencji, stosując przemoc.

– Każda interwencja jest trudna, zwłaszcza na płaszczyźnie emocjonalnej. Wspólnie z Dolnośląskim Inspektoratem Ochrony Zwierząt odbierałyśmy Madisona – psa, który całe życie spędził na łańcuchu przy rozpadającej się budzie. Był skrajnie zaniedbany, głodzony, bez stałego dostępu do wody. Na pyszczku miał olbrzymi guz, z którego lała się ropa. Nigdy nie widziałyśmy psa w takim stanie. Nie zapomnę momentu, w którym ten pies, według właściciela miający nas „pożreć w całości", z radością szedł na odciętym łańcuchu, a następnie sam wskoczył do klatki w samochodzie. Jakby wiedział, że właśnie przyszedł ratunek. To Madison sprawił, że dziś pomagam zwierzętom i jeżdżę na interwencje. Jego historia pokazała mi, jak bardzo czekają one na pomoc – wspomina Monika Majchrzyk-Pyzińska.

W kontekście ostatnich wydarzeń w schronisku w Bytomiu i celebryckiej interwencji Doroty „Dody" Rabczewskiej głośno zrobiło się o tragicznych warunkach i nadużyciach przy prowadzeniu tego typu placówek. Według portalu Wyborcza.biz w bytomskim schronisku miało dochodzić do budzących grozę incydentów. Zdrowy pies po nieudanej eutanazji spędził dwa dni w chłodni. Inny miał rozległą ranę na szyi po nieprofesjonalnym założeniu kołnierza. Rabczewska twierdzi, że wiele inwestycji realizowanych było na terenie prywatnych posesji, a nie zgodnie z planem w schronisku. To pokazuje, że potrzebujemy ustawy, która pozwalałaby brać pod lupę działalność schronisk. I właściwie już leżała na stole. Tylko prezydent ją zablokował.

– W Polsce działa przeszło 200 schronisk. Duża część z nich prowadzona jest przez prywatnych przedsiębiorców. A im najczęściej zależy najbardziej na pieniądzach, a nie zwierzętach. Taki przedsiębiorca ma działkę w polu, zgłasza się po numer schroniskowy, inwestuje w boksy, kojce i inne potrzebne sprzęty. Gmina ogłasza przetarg na „opiekę" nad zwierzętami bezdomnymi. Oferta z najniższą ceną wygrywa. Kontrole w schroniskach wyglądają zaś tak, że sprawdza się dokumenty. Przychodzi pani z urzędu, nie wiedząc często, za jakie psy płaci. Kawka, ciasto, papiery i kontrola wypada znakomicie! Podobnie jest z Powiatowymi Inspektorami Weterynarii kontrolującymi schroniska, które sprawdzają jedynie dokumenty, a papier zniesie wszystko – konstatuje Magdalena Kordas.

Pies odczuwa silny ból i strach. Zamarzanie to powolna i okrutna śmierć.

Obecnie w Sejmie złożonych jest kilka projektów dotyczących zmian w Ustawie o ochronie zwierząt. Większość z nich ma być omawiana na posiedzeniu Komisji Nadzwyczajnej ds. Ochrony Zwierząt. Politycy koalicji rządzącej również zapowiedzieli, że zgłoszą kolejny projekt tzw. ustawy łańcuchowej. Marszałek Włodzimierz Czarzasty sugerował w mediach, że być może wniosą to jako projekt poselski.

W świetle tego, że większa część ustawy prezydenckiej przypomina pierwotną, a argumenty uzasadniające weto nawet nie leżały obok merytorycznych, można się zastanawiać, czy prezydent nie spowalnia dla swoich korzyści politycznych sprawności działań państwa. Przypomnijmy też, że pod obywatelskim projektem „ustawy łańcuchowej", która jest bardziej restrykcyjna niż ta zawetowana, podpisało się ponad 500 tys. obywatelek i obywateli. To znak, że Polacy chcą lepszej ochrony dla zwierząt. Niestety, Nawrocki nie chce ich słuchać.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5aa09ba18e

Wojna, którą odpalił Duda

Od ponad dwóch lat nie ma nominacji ambasadorskich

Robert Walenciak

Wiele musi się zmienić, żeby wszystko zostało po staremu. Kolejne spotkanie Karola Nawrockiego i Radosława Sikorskiego pozwala przypuszczać, że są oni na dobrej drodze, by zawrzeć umowę w sprawie ambasadorów. Mamy bowiem nienormalną sytuację: od ponad dwóch lat prezydent RP – najpierw Andrzej Duda, teraz Karol Nawrocki – nie podpisuje nominacji. A jeżeli już, to w drodze wyjątku. W efekcie w najważniejszych państwach ambasadorami kierują chargé d'affaires, co zdecydowanie osłabia pozycję Polski.

Ta blokada jest niezrozumiała, tracą na niej i prezydent, i szef MSZ. Pora więc się porozumieć. Czyli de facto zburzyć wszystko to, co zbudowało w naszej dyplomacji PiS.

Co zbudowało PiS

PiS przejęło MSZ po wygranych wyborach w 2015 r. z głębokim przekonaniem, że oto wkracza do jaskini lwa, na wrogie terytorium, opanowane przez byłych agentów SB, ludzi Geremka i przeciwników PiS. To przekonanie pozostało w PiS do końca.

W efekcie trwający przez lata spór między prezydentem RP a rządem w sprawie ambasadorów, w istocie przepychanka, przekształcony został niemal w bój o znaczeniu ustrojowym. Kancelaria Andrzeja Dudy stale wchodziła w konflikt z MSZ w kwestii nominacji ambasadorów. Wnioski o podpis czekały miesiącami. Ówczesny szef MSZ Witold Waszczykowski głośno mówił, że nie rozumie tej blokady.

„Na biurku pana prezydenta jest wiele nominacji, wielu kandydatów, których można by wysłać. Oczekuję wyjaśnień, o co chodzi, jakie zarzuty, jakie problemy stawia się tym kandydatom, ewentualnie centrali MSZ", wołał Waszczykowski w Radiu RMF FM. Zarazem przypominał, że są to kandydaci zaakceptowani przez MSZ, premiera oraz sejmową Komisję Spraw Zagranicznych. I że ich kandydatury czekają na podpis od miesięcy.

Jeżeli więc dziś dowiadujemy się, że kilkadziesiąt placówek jest kierowanych przez chargé d'affaires, warto pamiętać, że w czasach PiS nie było dużo lepiej. Takie placówki jak Paryż czy Rzym pozostawały nieobsadzone i przez rok. Upór Dudy czasami był zabójczy. Przez wszystkie etapy na drodze do stanowiska ambasadora w Norwegii przebrnął Jarosław Łasiński, ale prezydent nie podpisał mu nominacji i pół roku później MSZ przedstawiało inną kandydaturę (Iwony Woickiej-Żuławskiej).

> Kancelaria Andrzeja Dudy stale wchodziła w konflikt z MSZ w kwestii nominacji ambasadorów. Wnioski o podpis czekały miesiącami.

W ten sposób Andrzej Duda wywalczył przyczółki swojej władzy: Stany Zjednoczone, ONZ, Izrael, Chiny, Watykan – tam pojechali ambasadorzy z jego rekomendacji. Polityka zagraniczna została podzielona: sprawy europejskie to premier, transatlantyckie – prezydent, obronne – trochę prezydent, trochę szef MON, reszta – MSZ.

Ustawa, której nikt nie pamięta

A partia? PiS? Partia też się wpychała i ostatecznie się wepchnęła, gdy szefem MSZ został Zbigniew Rau. To on dokończył czystkę w MSZ i doprowadził do legalizacji upartyjnienia, wprowadzając na początku 2021 r. nową ustawę o służbie zagranicznej.

Ustawa zmieniła pozycję ambasadorów. Oddzieliła ich od korpusu MSZ, postawiła ich w roli nominatów politycznych. Nie wymagano już od nich choćby znajomości języków obcych, przestali być odpowiedzialni za bieżące kierowanie ambasadą, sprawy finansowe itd. Te scedowano na zawodowych dyplomatów. Oni byli jak wiceministrowie związani z rządzącą władzą, od których oczekuje się dymisji, gdy ich rząd odchodzi.

Ustawa wprowadziła również nowe ciało – konwent służby zagranicznej, który w trójkącie prezydent-premier-MSZ miał decydować o kandydatach na ambasadorów. Konwent formalizował więc coś, co działo się nieformalnie.

W ten sposób PiS otworzyło sobie bramy do zagranicznych placówek. Szeroko! Tak szeroko, że protestowała przeciwko temu działająca w MSZ Solidarność. Związkowcy pisali: „Nie odpowiada prawdzie teza o »hermetyczności« polskiej służby zagranicznej. Przeciwnie, w porównaniu ze służbami dyplomatycznymi innych państw Unii Europejskiej dostęp do stanowisk (nawet najwyższych) w służbie dyplomatycznej w Polsce jest bardzo łatwy i nie wymaga specjalistycznego przygotowania zawodowego. Większość zatrudnionych w placówkach zagranicznych nie jest pracownikami etatowymi MSZ. Spośród 89 ambasadorów

eprasa.pl 5aa09ba18e



Pojawiły się przecieki, że Radosław Sikorski będzie elastyczny w sprawie Bogdana Klicha.

i pełnomocnych przedstawicieli RP przy organizacjach międzynarodowych (w ośmiu krajach stanowiska ambasadorów pozostają nieobsadzone i ambasadami RP kierują chargés d'affaires) 29 – czyli jedna trzecia – nie jest dyplomatami zawodowymi. (…) Podobna, i rosnąca, tendencja dotyczy także innych stanowisk w ambasadach i przedstawicielstwach RP za granicą: osoby kierowane do pracy za granicą rekrutowane są głównie nie spośród pracowników MSZ, dyplomatów zawodowych, lecz pochodzą z tzw. naboru zewnętrznego".

•

Po wyborach w 2023 r. nastąpiła zaskakująca zmiana. Otóż PiS, Andrzej Duda, a teraz Karol Nawrocki, no i pracujący w MSZ nominaci PiS, wszyscy oni zapomnieli o ustawie z 2021 r. Jakby jej nie było. Żaden z ambasadorów nie podał się do dymisji, choć, szanując ustawę, powinni. Wszyscy jak jeden mąż wyrazili gotowość służenia nowej władzy. I byli bardzo zdziwieni, gdy minister Sikorski zaczął po kolei odwoływać ich do kraju. Zresztą niezwykle ostrożnie. Andrzej Duda zapomniał, że w ustawie, którą podpisał, jest instytucja konwentu. I zaczął żądać, by stanowiska ambasadorów były z nim ustalane. Tak jak 10-15 lat temu.

Obsesja MGIMO

Radosław Sikorski znalazł się w ten sposób w trudnej sytuacji. Andrzej Duda odpalił bowiem wojnę o ambasadorów. Odmówił podpisywania nominacji ambasadorskich. W ten sposób Polska zaczęła wysyłać na stanowiska szefów placówek nie ambasadorów, ale chargé d'affaires, co obniża rangę placówki i utrudnia działania dyplomatyczne.

Jednocześnie Duda oświadczył, a za nim powtórzył to Nawrocki, że nigdy nie podpisze nominacji członkom Konferencji Ambasadorów oraz dyplomatom, którzy kształcili się w moskiewskiej szkole MGIMO. Innymi słowy dopuszcza jakąś umowę z Sikorskim, ale ma ona granice.

Te granice to raczej prawicowa fobia. Konferencja Ambasadorów zrzesza tych, których PiS wyrzuciło z MSZ. Opracowali oni potem kilka materiałów krytykujących politykę zagraniczną prawicy. To PiS dotknęło, więc wymyślono tezę, że dyplomaci, nawet będący poza MSZ, nie mają prawa krytykować polityki polskiego rządu. Za taki występek Nawrocki chce karać. Można ich wyrzucić z pracy, opisywać w najgorszych słowach, że źle reprezentują Polskę, a oni mają milczeć.

Inną obsesją jest MGIMO, jedna z najlepszych w świecie szkół kształcących pracowników służby zagranicznej. We wszystkich krajach świata jej absolwenci są bardzo cenieni jako znakomicie wykształceni urzędnicy, znający wiele języków i znający – co istotne – Rosję.

W prawicowej Polsce ta wiedza przeszkadza.

Klich, czyli ucho w Waszyngtonie

Specjalne działa prawica wytoczyła przeciwko Bogdanowi Klichowi, który kieruje ambasadą w Waszyngtonie, i przeciwko Ryszardowi Schnepfowi kierującemu placówką w Rzymie. Komunikat jest jasny: zanim Nawrocki zacznie rozmawiać o innych placówkach, oni muszą odejść.

Dlaczego? Niewątpliwie wojna o Klicha jest wojną o to, kto będzie miał swojego ambasadora w USA. Donald Tusk czy Karol Nawrocki? Czy będzie istniał taki układ jak za Dudy – że Stany Zjednoczone to domena prezydenta, czy inny? O to walczy prawica, atakując Klicha, że nie jest zawodowym dyplomatą. Bo oczywiście Bogdan Klich zawodowym dyplomatą nie jest. Jest byłym ministrem obrony, i – co najważniejsze – osobą, której Donald Tusk ufa i którą wysłał do Waszyngtonu.

Ale przyjrzyjmy się jego poprzednikom, tym z czasów PiS. Otóż, PiS miało dwóch ambasadorów w Waszyngtonie. Pierwszym był Piotr Wilczek, drugim Marek Magierowski. Wilczek to historyk literatury, wcześniej w dyplomacji nie pracował, to była jego pierwsza placówka w życiu. Magierowski przez lata był dziennikarzem, potem rzecznikiem prezydenta Dudy, skąd przeszedł do MSZ na stanowisko wiceministra. Stamtąd wyjechał na ambasadora do Izraela, a następnie do USA.

Patrząc na zimno, jeśli chodzi o sprawy administracji państwowej

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl 5aa09ba18e

i stosunków międzynarodowych, i Wilczek, i Magierowski mieli o wiele mniejsze doświadczenie niż Klich. W zasadzie nie ma porównania. Natomiast, co warte zauważenia, obaj byli wskazani przez Dudę. PiS próbuje więc teraz tę sytuację przekuć w obowiązujący zwyczaj.

Tylko że jeżeli przyjrzymy się kolejnym ambasadorom RP w Waszyngtonie w czasach III RP, to teza, że byli to ludzie od prezydenta, jest trudna do obronienia. Ryszard Schnepf, Robert Kupiecki, Janusz Reiter, Przemysław Grudziński, Jerzy Koźmiński raczej wywodzili się z szeroko rozumianego establishmentu, jako pierwszoligowi mieli mocną w nim pozycję. A także doświadczenie w sprawach dyplomatycznych i obronnych. Słusznie, gdyż zadania szefa placówki są o wiele szersze niż obsługiwanie polskiego prezydenta.

Pisał o tym zresztą Jacek Czaputowicz, szef MSZ w czasach PiS: „Prezydent nie powinien rościć sobie prawa do narzucania swoich ambasadorów, nie ma bowiem wiedzy o szerszych uwarunkowaniach, którą posiada MSZ. (…) Utrzymywanie dobrych stosunków z Waszyngtonem, reprezentowanie Polski na szczytach NATO czy występowanie w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ nie jest jeszcze tytułem do tego, by posiadać tam »swoich« ambasadorów. Ambasador podlega ministrowi spraw zagranicznych, reprezentuje wszystkie instytucje państwowe, w tym oczywiście także prezydenta, jednak zakres jego działania jest znacznie szerszy”.

Można w ciemno założyć, że apel Czaputowicza będzie przez Nawrockiego i jego ekipę zignorowany. Że będą chcieli zagrać w sprawie Waszyngtonu o pełną pulę. Tylko czy jest to realne?

Wojna o Klicha jest wojną o to, kto będzie miał swojego ambasadora w USA. Donald Tusk czy Karol Nawrocki?

Owszem, Bogdan Klich już powiedział, że jest gotów ustąpić, jeżeli będzie trzeba. Pojawiły się też przecieki z Pałacu Prezydenckiego, że Sikorski w sprawie Klicha będzie elastyczny. Ale niemal natychmiast otrzymaliśmy dementi Donalda Tuska – że Klich jest i będzie. To chyba zamyka sprawę, zwłaszcza że nie trzeba wielkiej wyobraźni, by przewidzieć, jak praca placówki kierowanej przez zaufanego Nawrockiego by wyglądała.

A może Rachoń?

Na początku grudnia doszło do znamiennego incydentu. Do Waszyngtonu przybyła delegacja Biura Bezpieczeństwa Narodowego z zastępcą szefa BBN gen. Andrzejem Kowalskim na czele. W delegacji uczestniczył też dyrektor Departamentu Zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi gen. Adam Rzeczkowski oraz doradca szefa BBN Nikodem Rachoń, brat dziennikarza TV Republika.

Spotkania z przedstawicielami Pentagonu przygotował polski attaché gen. Krzysztof Nolbert. Tymczasem gdy podjechali pod Pentagon, gen. Rzeczkowski poinformował Nolberta, że nie jest w delegacji i ma czekać w samochodzie. Wyproszono go z rozmów. Minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz pytany o to, co sądzi o incydencie waszyngtońskim, odparł: „Niewpuszczenie naszego attaché to jest chamstwo i złe działanie”.

Można być pewnym, że gdyby Tusk oddał ambasadę w Waszyngtonie ludziom Nawrockiego – Rachoniowi, Kowalskiemu, komuś innemu – właśnie tak by działała. Jako miejsce donosów na rząd, ataków i namawiania ludzi Trumpa, by śmielej atakowali Tuska. Przecież w mediach nie brakuje przechwałek ludzi PiS, że przekazywali współpracownikom Trumpa wypowiedzi Tuska na jego temat i że są z nimi w znakomitej komitywie.

To oczywiste, że premier na coś takiego nigdy się nie zgodzi. Na co więc się zgodzi?

Tusk i Sikorski byli już w podobnej sytuacji w czasach pierwszej kohabitacji z prezydentem Lechem Kaczyńskim. Wtedy jakoś się dogadywano. Ambasadorem w Gruzji została Urszula Doroszewska z Kancelarii Prezydenta. Podobnych karier było zresztą więcej. Lech Kaczyński miał spore możliwości. Nie tylko w sprawach ambasadorów, ale i dyplomatów na niższych stanowiskach. Oni są istotni, pilnują spraw i pilotują je. W polskiej służbie zagranicznej, zwłaszcza w czasach kohabitacji, takich dyplomatów, działających na trochę innych zasadach, na co ambasador się godził, nie brakowało. I Nawrocki pewnie o tym już wie. Zatem? Na razie Sikorski przedstawił swoją propozycję – 80% nowych ambasadorów to będą zawodowcy, 10% – ludzie od Sikorskiego i 10% ludzie od Nawrockiego. Prezydent uznał, że to za mało.

Trwa więc licytacja. Ale w którymś momencie powinno się uznać realia. Że, owszem, samymi chargé d’affaires skutecznej polityki zagranicznej robić się nie da. Ale – z drugiej strony – bojkot ambasadorów też niewiele daje. Bo co z tego, że Nawrocki podstawia nogę, skoro nie ma na nic wpływu. A tak pewne stanowiska w MSZ, ambasadorów, konsulów, mógłby wywalczyć. Pokazać sprawczość i zbudować obszar wpływów.

Piłka w grze.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Odszedł

MACIEJ POLKOWSKI

dziennikarz i społecznik,
pasjonat i znawca piłki nożnej.

Zaczynał w „Przeglądzie Sportowym”,
gdzie doszedł do funkcji redaktora naczelnego (1990-1994).
„Przegląd” przetrwał także dzięki niemu.
O piłce wiedział wszystko. Od tej w gminach – do reprezentacji.
Łatwo nawiązywał kontakty, ale na bliższe relacje trzeba było zapracować.
Od 20 lat pisał do nas. Czytał i lubił nasz tygodnik. Z wzajemnością.

Żegnaj Maćku

Jerzy Domański

eprasa.pl 5aa09ba18e

Mocny w gębie

Sędzia Dariusz Łubowski z Sądu Okręgowego w Warszawie powinien zrzucić togę i zająć się polityką

Andrzej Sikorski



Dariusz Łubowski odmówił ekstradycji do Niemiec Ukraińca Wołodymyra Żurawlowa podejrzewanego o wysadzenie gazociągów Nord Stream. Warszawa, 17 października 2025.

Dariusz Łubowski był niemal bogiem w Sądzie Okręgowym w Warszawie. Od 2018 r. jako kierownik sekcji postępowania międzynarodowego do spraw z zakresu prawa karnego jednoosobowo decydował o stosowaniu europejskiego nakazu aresztowania (ENA). Taka patologiczna sytuacja nie przeszkadzała Zbigniewowi Ziobrze. Pewnie dlatego, że sędzia nie tylko wydawał wyroki po myśli pisowskiej władzy, ale uzasadniał je zgodnie z przekazem partyjnym, recenzując przestrzeganie praworządności w państwach Unii Europejskiej.

Wrogie zachowanie Niemiec

Jesienią 2025 r. Łubowski został okrzyknięty bohaterem narodowym, bo odmówił ekstradycji do Niemiec i zwolnił z aresztu Ukraińca Wołodymyra Żurawlowa podejrzewanego o wysadzenie gazociągów Nord Stream. Zdaniem sędziego, nawet gdyby Żurawlow wysadził gazociągi, to nie zrobiłby nic złego, bo Nord Stream jest częścią infrastruktury krytycznej Rosji, agresora, który napadł na Ukrainę. I nie ma znaczenia, że gazociągi wysadzono w pobliżu duńskiej wyspy Bornholm i mogły tam zginąć przypadkowe osoby.

„Zniszczenie rosyjskich rurociągów i pozbawienie wroga miliardów euro wypłacanych przez Niemcy za pompowany nimi gaz miało głęboki sens militarny. Bo osłabiło potencjał zbrojny Rosji", a „zachowanie Niemiec było z tego punktu widzenia wrogie wobec Ukrainy" – wywodził Łubowski, co zabrzmiało jak powtarzana przez polityków PiS insynuacja, że Niemcy wspierają Rosję w wojnie z Ukrainą.

Rosyjskie rurociągi nie są rosyjskie, należą do konsorcjum zarejestrowanego w Szwajcarii, w którym udziały mają: rosyjski Gazprom oraz prywatne niemieckie spółki Wintershall, E.ON Ruhrgas (obecnie Uniper) i holenderska firma Gasunie. Niedorzeczne jest twierdzenie, że zniszczenie Nord Stream osłabiło potencjał zbrojny Rosji, która czerpie gigantyczne zyski ze sprzedaży gazu do Niemiec. Rosja finansuje zbrojenia, sprzedając gaz i ropę, ale do Chin, Indii i Turcji. W lipcu 2025 r. „Rzeczpospolita" donosiła, że tylko te trzy kraje (w ciągu trzech lat od rozpoczęcia wojny w Ukrainie) wspomogły budżet wojenny Rosji kwotą ok. 400 mld euro. Tymczasem rzekomo sprzymierzeni z Rosją Niemcy przeznaczyli na pomoc walczącej Ukrainie ok. 50 mld euro i są po USA największym krajem darczyńcą pod względem politycznym, finansowym, wojskowym i humanitarnym.

W tym samym czasie gdy wysadzono Nord Stream, Polska też finansowała Putina, kupując rosyjską ropę i gaz. Politycy ówczesnej opozycji rzucali gromy pod adresem rządu PiS, a wiceminister spraw zagranicznych Piotr Wawrzyk tłumaczył, że Polska musi się wywiązać z podpisanych umów z reżimem Putina, bo w przeciwnym razie Rosja mogłaby się domagać odszkodowania (sic!).

Idąc tokiem rozumowania sędziego Łubowskiego, gdyby Żurawlow wysadził na terytorium Polski gazociąg jamalski lub cysterny z rosyjską ropą, nie byłby to akt terroru, ale czyn bohaterski. Absurdalnie przy tym zabrzmiały wywody sędziego na temat koncepcji wojny sprawiedliwej, która stanowi cywilizacyjne podstawy kultury chrześcijańskiej, i odwoływanie się do Cycerona, św. Tomasza, św. Augustyna czy Pawła Włodkowica.

Już wtedy wszystkim powinna się zaświecić czerwona lampka.

FOT. KUBA STĘŻYCKI/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 5aa09ba18e

Łubowski, zamiast odnieść się rzeczowo do materiału dowodowego i prawa międzynarodowego, wygłosił wzniosły manifest polityczno-ideologiczny. Ale nikt nie protestował, bo wyrok w sprawie Żurawlowa był zgodny z oczekiwaniami publicznie wyrażanymi zarówno przez premiera Donalda Tuska, jak i polityków PiS. A Daniel Obajtek nie ukrywał radości, twierdząc, że „presja medialna ma sens".

Kryptodyktatura Tuska i demokracja Orbána

Jednak prawdziwym popisem politycznego zacietrzewienia sędziego Łubowskiego było uzasadnienie uchylenia europejskiego nakazu aresztowania (który wcześniej sam wystawił) ukrywającemu się na Węgrzech Marcinowi Romanowskiemu. Łubowski poszedł po bandzie, kłamiąc że prokuratura nie poinformowała go, że były wiceminister sprawiedliwości dostał azyl na Węgrzech, i nie wiedział nic o tym, że Interpol odmówił wystawienia za Romanowskim czerwonej noty (co rzekomo miało świadczyć o tym, że zbieg był prześladowany politycznie). A już szczytem hipokryzji były wywody o łamaniu praw człowieka i demokracji przez rząd Donalda Tuska. Według Łubowskiego sytuację w Polsce „zakwalifikować można jako kryptodyktaturę", a „naruszenia praw człowieka i porządku konstytucyjnego mają miejsce przy całkowitym milczeniu wszystkich organów Unii Europejskiej", choć żadnych przykładów nie podał.

Od 2018 r. Łubowski jako kierownik sekcji postępowania międzynarodowego jednoosobowo decydował o stosowaniu europejskiego nakazu aresztowania.

Bezczelnością było przypisywanie (za pisowskimi internetowymi hejterami) ministrowi sprawiedliwości Waldemarowi Żurkowi słów, których ten nigdy nie wypowiedział, o porywaniu przez nasze służby specjalne opozycjonistów ukrywających się za granicą i przewożeniu ich do Polski w bagażniku. Łubowski stwierdził, że „te nikczemne i nielicujące z elementarnymi standardami demokratycznego państwa prawnego wypowiedzi są szeroko znane międzynarodowej opinii publicznej". Takie imputowanie można uznać za pomówienie, na które jest paragraf w kodeksie karnym.

Dla sędziego Łubowskiego Polska to kryptodyktatura, ale mafijny, skorumpowany i finansujący rosyjską machinę wojenną reżim Victora Orbána to krynica praworządności i demokracji, a już wyjątkowo groteskowo wybrzmiał wywód, że „skoro Państwo Węgierskie uznało, iż Marcin Romanowski jest w Rzeczypospolitej Polskiej prześladowany z przyczyn politycznych, to ocenę tę należy traktować jako dokonaną w dobrej wierze i ją w pełni respektować".

Łubowski pomija przy tym, że Romanowski to polityczny sojusznik Orbána, a Parlament Europejski już w 2018 r. uruchomił wobec Węgier tzw. procedurę art. 7 unijnego traktatu w związku zarzutami dotyczącymi łamania rządów prawa, w tym podporządkowania polityków wymiaru sprawiedliwości. Komisja Europejska zaś wszczęła kilka postępowań w sprawie naruszenia prawa unijnego: ograniczania wolności społeczeństwa obywatelskiego, wolności mediów i nauki, praw migrantów i osób ubiegających się o azyl czy praw osób LGBTQ. Z powodu upolitycznienia sądownictwa, wszechobecnej korupcji i łamania praw obywatelskich UE zamroziła fundusze dla Węgier.

Białoruś „nie jest państwem"

Niemcy wspierają putinowską machinę wojenną, Tusk wprowadził w Polsce kryptodyktaturę, Orbán to przykład wzorowego demokraty, a prezydent Białorusi Aleksander Łukaszenka – zdaniem Łubowskiego – jest „psychopatycznym dyktatorem, którego nie uznaje żadne cywilizowane państwo", Białoruś zaś „nie jest państwem". Te oryginalne stwierdzenia w imieniu Rzeczypospolitej sędzia wypowiedział, uzasadniając w 2022 r. odmowę wydania Białorusi 24-letniego blogera Sciapana Puciły, oskarżonego przez władze w Mińsku m.in. o organizację spisku w celu obalenia prezydenta, współudział w masowych zamieszkach i podżeganie do nienawiści. Oczywiste, że Pucił nie powinien zostać wydany, ale osobiste wycieczki pod adresem prezydenta Białorusi nie przystoją sędziemu (zgodnie z Kodeksem karnym za znieważenie głowy obcego państwa grozi do trzech lat więzienia), a wywody o tym, że Białoruś „codziennie napada na Polskę i narusza jej integralność", wzięte żywcem z pisowskiej propagandy, były haniebne.

Łubowski nie zauważył, że na granicy polsko-białoruskiej rozgrywał się dramat migracyjny, a tysiące zdesperowanych ludzi (w tym dzieci i kobiety w ciąży) uciekających przed prześladowaniami politycznymi w swoich krajach w nieludzkich warunkach koczowały w przygranicznych lasach i na bagnach. Wielu uchodźców zmarło z powodu głodu, chorób i wycieńczenia, a polskie służby graniczne stosowały wobec bezbronnych osób zakazane push-backi i represjonowały wolontariuszy, którzy nieśli im pomoc. Traktowanie ludzi jako broni wymierzonej w integralności Polski nie przystoi nie tylko sędziemu, ale każdemu człowiekowi, który zalicza się do kręgu cywilizacji chrześcijańskiej.

Królestwo narkotyków i eutanazji

Sędziemu Łubowskiemu puściły też hamulce, gdy odmówił Holandii wydania małżeństwa Ekateriny i Conrada den Hertogów. Para miała sądownie ograniczoną władzę rodzicielską, a ich syn cierpiący na autyzm przebywał w ośrodku opiekuńczym. Hertogowie uprowadzili dziecko z placówki i uciekli do Polski, gdzie wystąpili o azyl, co nagłośniły prawicowe media, przedstawiając

eprasa.pl 5aa09ba18e

Holandię jako kraj barbarzyński. W uzasadnieniu decyzji, zamiast odnieść się do sprawy, Łubowski przypuścił atak na holenderski rząd i sądy. Władzom Holandii zarzucił doprowadzenie do rozwoju międzynarodowej przestępczości narkotykowej, a sądom upolitycznienie.

Sędzia rozwodził się też nad dopuszczalnością eutanazji w Holandii, twierdząc, że „przerażające jest", że zabija się tam chorych ludzi, a odmowę wydania Hertogów uzasadnił prawdopodobieństwem odebrania im praw rodzicielskich, co pogorszy stan dziecka, w efekcie czego „po ukończeniu 12. roku życia może zostać pozbawione życia przez lekarzy bez zgody, a nawet bez wiedzy swoich rodziców" (sic!). Jak twierdził sędzia: „Zatem kwestią najistotniejszą rozstrzyganą w sprawie niniejszej jest nie tylko kwestia naruszania przez Holandię praw człowieka przysługujących rodzicom, dobro czy zdrowie dziecka, ale życie – biologiczne przetrwanie tego konkretnego dziecka. Sąd Okręgowy w Warszawie, nie mogąc wykluczyć takiego biegu wydarzeń, nie weźmie na swoje sumienie życia tego dziecka już pokrzywdzonego przez los i władze holenderskie".

Pełnomocnikiem Hertogów był mec. Bartosz Lewandowski (reprezentuje teraz Marcina Romanowskiego), a sprawę wykorzystali politycy PiS, którzy naciskali na Łubowskiego, aby nie wydawał obywateli Holandii. Gdy sędzia postąpił zgodnie z oczekiwaniami władzy, ziobrowy minister w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Michał Wójcik zaprosił Hertogów do Ministerstwa Sprawiedliwości na konferencję prasową, gdzie ogłosił wielki sukces polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Po wyskoku z Marcinem Romanowskim i skardze prokuratury sędzia Łubowski został wyłączony od rozpoznania ponownego wniosku o wydanie europejskiego nakazu aresztowania wobec byłego wiceministra sprawiedliwości, co PiS uznało za zemstę na wyklętym prawniku. Według doniesień Dagmary Pawełczyk-Woickiej, umieszczonej przez PiS na stołku przewodniczącej neo-KRS, Łubowski ma mieć zmieniony podział czynności w sądzie, co oznacza, że nie będzie już jednoosobowo decydował o stosowaniu ENA. „Podejrzewałam, że taki będzie skutek. Bardzo, ale to bardzo nadepnął Waldemarowi Żurkowi na odcisk", stwierdziła szkolna koleżanka Ziobry, która tak bardzo uwikłała się w zależności towarzysko-polityczne, że wszędzie doszukuje się spisków.

Andrzej Sikorski



Przegląd

Zamów prenumeratę PRZEGLĄDU

DARMOWA dostawa do paczkomatu już w PONIEDZIAŁEK!

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl i zobacz, jakie to proste!

Chcesz dowiedzieć się więcej? Zadzwoń! 22 635 84 10 wew. 118

eprasa.pl 5aa09ba18e

Moja Kitteloma

Katharina nie miała „dziadka z Wehrmachtu”, ale miała śląską babcię z Sandowitz, która nie zdążyła zaznać miłości





Agnes jako nastolatka i śląska babcia kilka lat przed śmiercią

Beata Dżon-Ozimek

– Mój dziadek nie był z Wehrmachtu, a ten, który mógł zostać moim dziadkiem, zginął w 1942 r. pod Moskwą. Służył w Waffen SS, nie został nigdy ojcem – mówi Katharina Rogula, Katja, Kasia. Od 1981 r. żyje w Niemczech. Nauczycielka, ceniona pedagożka, wieloletnia dyrektorka szkół w Bochum pochodzi ze śląskiej rodziny. Byli w niej i powstańcy, i intelektualiści, np. rzeczniczka śląskiego głosu, dziennikarka, senatorka wielu kadencji Maria Pańczyk-Pożdziej, ciocia Kasi. Byli też w tej rodzinie tacy, którym bliżej było do III Rzeszy. Podziały nienadzwyczajne na Śląsku.

Będzie o śląskiej babci, Agnes, Agnieszce, primo voto Wiora z domu Zientek z Sandowitz, Żędowic, Żandowic, jak pisała w swoim zeszycie do języka polskiego ok. 1930 r. Wyszła za mąż z wielkiej miłości w maju 1938 r. Miała 25 lat, kiedy cztery lata po ślubie została wdową. Większą część ich małżeństwa ukochany Vinzent spędził w wojsku i na wojnie. Pisali do siebie listy pełne miłości. Młoda dziewczyna tęskniła. Pragnęła. Nie zdążyła się nacieszyć bliskością, ciepłem i dotykiem Vinzenta.

– Pewnie nikt jej nie pocieszył, nie przytulił, nikt nie dodał otuchy. Moja babcia pięć lat była sama, zanim poznała Pawła Pańczyka, ojca mojej mamy. Miał dwie nastoletnie dziewczynki i chłopca, ich mama zmarła na tyfus. Takie były czasy, musieli sobie jakoś dać radę. Nikt nie pytał o uczucia i czy tego chcą, chcieli przeżyć, może coś nowego zbudować, próbowali zrobić ze swojej sytuacji to, co najlepsze – zastanawia się dojrzała kobieta, wnuczka.

Dopiero teraz ma czas na rozważania o babci. Ma po niej pamiątki: różaniec, zeszyt z kaligrafowanym pismem (na świadectwie ukończenia polskiej szkoły mniejszościowej z polskiego miała dobry, z niemieckiego dostateczny). Wnuczka pamięta z rozmów rodzinnych, że babcia jako młoda mężatka prowadziła przez jakiś czas w szkole mniejszościowej lekcje z języka polskiego i jeździła z kursantami na wycieczki, m.in. do Zakopanego. Agnieszka Zientek

eprasa.pl 5aa09ba18e

zapisywała w zeszycie piękne wiersze Konopnickiej, Mickiewicza i polskie modlitwy. Jest niemieckie świadectwo pierwszej komunii. No i te listy zakochanych. Są też dokumenty z symbolami III Rzeszy, bo Vinzent Wiora zginął za „Grossdeutschland". Pozostał dokument z opisem, jak zginął, wyliczenia wypłaty dla wdowy, list od jego przyjaciela, świadka jego śmierci. I zdjęcia.

Ostatni list Agnes do Vinzenta, po niemiecku, jest obsypany brokatem, ozdobiony rysunkami kwiatów, wszystko własnoręcznie: „Sandowitz, 19 kwietnia 1942 roku. Mój najdroższy Vinzencie, po tygodniu milczenia, ponieważ nie miałam wcześniej możności, chcę napisać Ci kilka linijek z głębi serca. (…) Pola i łąki powoli się zielenią, a drzewa owocowe puszczają pąki. Wszystko budzi się do nowego życia. Dni mijają tak szybko, że z utęsknieniem i niepokojem w sercu czekam na dzień, w którym znów się zobaczymy, szczęśliwi i zdrowi. Drogi Vincencie, kiedy znów przyjedziesz na wakacje? (…) Czekam na Ciebie tak długo, a jednak nasze życzenie pozostaje niespełnione. Wkrótce kwiecień się skończy, potem nadejdzie piękny maj. Od trzech tygodni nadal nie otrzymałam od Ciebie żadnej korespondencji. Dlaczego do mnie nie piszesz? Jesteś na mnie zły? Proszę, napisz do mnie; pozostaje mi tylko czekać, czekać i myśleć".

Nie wiedziała, że od ponad dwóch tygodni jest wdową.

Za płócienną szarą okładką zwróconego Agnes dokumentu „Wehrpass" Waffen SS, należącego do Vinzenta, do dziś znajduje się fragment papieru listowego z niemal dziecięcym, najszczerszym wyznaniem miłości, także w brokacie: „Gdybym była ptaszęciem, pofrunęłabym do ciebie".

O kobiecej przyjaźni, o poczuciu gorszości

30-letnia Agnieszka – o Agnes musiała zapomnieć w powojennych, polskich już realiach – wyszła za mąż w 1947 r., przejęła, jak mówi Kasia, trójkę obcych dzieci i wychowała je. Miała z drugim mężem córkę Małgorzatę, mamę Kasi.

– Nie bardzo im się układało i nie wyszło najlepiej. Paweł Pańczyk zmarł przy stole, jedząc zupę. Moja mama miała 12 lat – zamyśla się Katarzyna.

Agnieszka opiekowała się dziećmi innej kobiety tak jak swoją córeczką, Małgosią. Finansowo wdowie z dziećmi w maleńkich Fosowskich, gdzie mieszkała, było bardzo ciężko. Zawsze nosiła fartuszki, żeby oszczędzać odzież, stąd wnuczka nazywa ją w myślach „Kitteloma", fartuszkowa babcia. Pracowała w Zakładach Chemicznych Nitro w Krupskim Młynie. Prócz wiary w Boga, mocnej podstawy jej życia, codziennego znaku krzyża i modlitwy, ważne były inne kobiety.

– Jej najlepsza przyjaciółka i sąsiadka, którą bardzo polubiłam, pochodziła z czeskiej części Śląska i z nią właśnie mówiła po niemiecku, także wtedy, kiedy babcia chciała żebyśmy, dzieci, bo nas tam było na wakacjach dużo, nie wiedziały, o czym rozmawiają. Ale może w tym, że mówiły ze sobą po niemiecku, nie chodziło o tajemnice przed nami, tylko to było coś, co je jednoczyło, wiązało, jak podobne doświadczenia.

Pokolenie babci było tym, które nie rozmawiało ani nie pytało.

Z nią pewnie dzieliła troski i przeżycia. Może poprzez ten język czuły wspólnotę, to im dawało pocieszenie i otuchę. Tak sobie to tłumaczę – Kasia nie pamięta czasu szykan za mówienie po niemiecku, ale do lat 90. zeszłego wieku nie używało się go na Śląsku poza domem lub zaufanym gronem. Podobnie ze śląskim.

Babcia mieszkała w małym mieszkanku bez ciepłej wody, bez toalety, z „Plumpsklo", czyli wychodkiem na zewnątrz, ale Kasia chętnie do niej jeździła, bo to był inny świat, gdzie ludzie mówili w innym języku, mieli inne obyczaje. Tam się robiło chociażby wielkie pranie, pościel się wieszało na zewnątrz i „szpanowało" firany.

– Wszystkie te kobiety się schodziły, razem prały we wspólnej pralni, potem szłyśmy do magla, gdzie była stara, wielka maszyna i coś napisane nie po polsku, może jeszcze z czasów kaisera. Te kobiety też rozmawiały nie po polsku. Jeszcze nie wiedziałam, że jest coś takiego jak Śląsk albo język śląski. Zawsze mi się to podobało, tego nigdy nie kwestionowałam, tak po prostu było. Tak żyli w tych swoich Fosowskich, w swoim świecie i w swoim języku.

Agnieszka Wiora, potem Pańczyk, pochodziła ze Śląska i mówiła po śląsku. Nawet kiedy starała się mówić czysto po polsku, i tak czuło się inny język w tle. Gdy śląska babcia szła do urzędów czy do szkoły coś załatwić,


Volnische Klassige Minderheitsschule in Sandowitz

Schulentlassungszeugnis

Sandowitz, den 31. März 1931

Świadectwo z 1931 r. z polskiej szkoły mniejszościowej w Sandowitz.

eprasa.pl 5aa09ba18e





Ślub cywilny i kościelny Agnes i Vinzenta.

była według wnuczki bardzo „nieprzebojowa" i niepewna siebie.

– Nie wiem, czy taka była sama w sobie, czy chodziło o tę tożsamość śląską. Czy doznała upokorzeń, czuła się kimś mniej wartościowym właśnie dlatego, że nie czuła się Polką w systemie polskim? Nie wiem, kim się czuła, na pewno nie Polką z przekonania ani nie z serca, bo wiem, jak mój mąż Jarek czuje się Polakiem, ona tego nie miała. Niemką też raczej nie, pewnie czuła się Ślązaczką. Tylko że w czasach, kiedy byłam mała, przyznać się do bycia Ślązakiem było trudną sprawą – mówi Katharina Rogula, rocznik 1970.

Samotność babci

Ta śląska babcia nie była serdeczną babunią, która rozpieszczała, trzymała na kolankach czy śpiewała wnuczce.

– Taka ona nigdy nie była, ale się nie dziwię. Po takim życiu, takich ciężkich przeżyciach... – przyznaje Kasia.

Babcia czasem siadała na swojej leżance i otwierała karton z „czymś".

– Teraz wiem, że to były listy do jej Vinzenta, po cichu czytała sobie i popłakiwała. I pamiętam, że gdy pytałam dlaczego płacze, nigdy nie chciała nic na ten temat powiedzieć. No cóż, pewnie tłumiła ten ból w sercu. Ukochany Vinzent szybko stracił życie, potem poślubiła ojca mojej mamy, a on zmarł 14 lat po ślubie.

Ostatni list Agnes do Vinzenta, po niemiecku, jest obsypany brokatem. Nie wiedziała, że od ponad dwóch tygodni jest wdową.

Nigdy nic nie zastąpiło babci pierwszej miłości. W wieku 79 lat opowiedziała w liście swoje życie wnuczce: „Byłam tylko rok z moim pierwszym mężem. Od 1 czerwca (1939 r. – przyp. aut.) mieliśmy oddzielne mieszkanie, a po dwóch tygodniach wezwali męża na trzy miesiące na szkolenie do Wehrmachtu. Po dwóch miesiącach wybuchła wojna i nie było mowy o zwolnieniu". Pisała o tym, że wcielili go do SS Militaer, o ich spotkaniach na krótkich urlopach od wojska. Obiecała, że opowie jej całe swoje życie, przecież kiedyś też była młoda. Pisała, że jej życie nie było szczęśliwe. Jej małżeństwa nie były takimi, jakich by sobie życzyła, więc jeśli Katja, tak nazywała wnuczkę, ma być z kimś, kto jej nie odpowiada i mieć nieszczęśliwe życie, to lepiej podjąć decyzję, by być samą i nie mieć więcej trosk.

Ta babcia, ta kobieta, wiedziała, co mówi, to było doświadczenie kobiet jej pokolenia: Ślązaczek, Polek z Kresów, Warszawy, Zamościa, Kaszubek, ofiar wojennych okropności. Pisała listy ładnym pismem

eprasa.pl 5aa09ba18e

w języku niemieckim, kończyła „Deine lb. Oma” (twoja kochająca babcia).

Tajemnice nie do opowiedzenia

– Babcia miała swoją tajemnicę, kiedy siadała z tym swoim kartonem z ukochanymi listami. To było jej, nie chciała tym się dzielić. Może to dobrze, że taką tajemnicę się ma. Tak jest też z tym, co się czuje w sercu, obojętnie kiedy, gdzie się żyje, bo nikt nie może mi powiedzieć, jak i kim mam się czuć. Chyba takie nastawienie jest typowe dla tamtej generacji Ślązaków, którzy przeżyli swoje, woleli nie wracać do tego, tylko żyć dzisiejszym życiem. Wychowywali w tym duchu swoje dzieci. A one z kolei żyły już w innym społeczeństwie, język się zmieniał. My mówiliśmy w domu po polsku, mój tata był Polakiem z warszawskiej rodziny, urodził się w Pirmasens (Nadrenia-Palatynat), gdzie jego mamę wywieziono na roboty przymusowe. Zastanawiam się, czy ja czuję się Ślązaczką, Polką czy Niemką, i nie mogę jednoznacznie odpowiedzieć. Myślę, że każdy ma w sobie jakąś tajemnicę. Ważne, by rozmawiać na ten temat, dowiadywać się, jak było, ale też, żeby zostawić niektóre rzeczy takie, jakie są – uważa Kasia. Sama z doświadczeniem migranckim rozumie, że dla niektórych przynależność do języka i społeczności oznacza stabilność, identyfikację, ale czasami ogranicza. – Pomaga, ale może też nie pomagać.

Kilka lat temu Kasia była z rodziną na spływie rzeką Mała Panew.

– Mama zawsze mówiła „Malapanew”. Pan, który przydzielał kajaki, nagle wydał mi się dobrze znany i bliski. Poczułam wzruszenie. Nie znałam go, nie wiedziałam, o co chodzi, ale jego język, sposób mówienia to było to. Dotarło do mnie, że musi być z Fosowskich albo z okolicy. Potwierdził. Powróciła do mnie babcia, wakacje. Poczułam, jak poprzez język, mowę, akcent można wywołać emocje, jakbym odzyskała na chwilę przeszłość.

Mówi się czasem „zostawiać ślady”.



List do męża.

– Moja babcia zostawiła swoje ślady, może nieświadomie, a my dzięki rozmowie o niej rozpracowujemy je bardziej świadomie i też zostawiamy ślady. I mamy coraz więcej pytań, na które nie mogę odpowiedzieć. Zastanawiam się, dlaczego nie mogę. Widocznie nie mówiło się na ten temat. Do tej pory nikt się nie zainteresował życiem tej prostej kobiety, nie chciało się o tym mówić albo chciało się zapomnieć. A może nie było ważne – zamyśla się wnuczka. Ten wątek osobistej tajemnicy, jak go nazwać? Kasia szuka ładnego słowa, może „aura”? Każdy ma tę swoją.

– Babcia mówiła mojej mamie, kiedy poznała mojego tatę, nie-Ślązaka, że nieważne, skąd on pochodzi i jak wygląda, jakiego koloru jest jego skóra, najważniejsze, że ją kocha i szanuje. Pozostawiła po sobie przekaz: otwartość na innych. Ten przekaz, który babcia w tamtych czasach już tak odczuwała, co było bardzo nietypowe, niezwykle pasuje do „dzisiaj” – przyznaje Kasia.

„Kochanego rumaka” albo „Drahtesel”, drucianego osiołka, jak częściej nazywała swój rower, babcia odstawiła ze smutkiem w wieku 81 lat, kilka miesięcy przed śmiercią.

Kasia Rogula tworzy rodzinną mapkę genealogiczną, widać na niej, że z generacji na generację rodzina się otwiera i przynależność np. do narodowości coraz bardziej się rozkrusza, zmienia: – Mieszamy się, co jest szansą na to, żeby czuć i żyć różnorodnością.

– Ale jeśli ktoś powie jakiś głupi kawał o Ślązakach albo kiedy kobiety mówią o „Ślązarach”: „Ślązary to umią pucować”, Ślązary to czy tamto, to mnie aż skręca w brzuchu. Czuję się „mieszanką”, ale nie czułabym się pewnie tak dotknięta takim komentarzem, gdybym w sercu nie miała śląskości. Jako dorosła osoba rozumiem, że to nie jest kwestia polsko-niemiecko-śląska, takie sytuacje zdarzają się na całym świecie zawsze i wszędzie. Ta moja śląska babcia ze swoimi tajemnicami, nieutuleniem w niespełnionej miłości i życiową mądrością jest przy mnie, ale chyba bardzo brakuje jej mojej mamie. Bo jej pokolenie było tym, które nie rozmawiało, nie pytało.

Beata Dżon-Ozimek

Zastanawiam się, czy ja czuję się Ślązaczką, Polką czy Niemką, i nie mogę jednoznacznie odpowiedzieć – mówi Kasia z doświadczeniem migranckim.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (6)

eprasa.pl 5aa09ba18e

ZAMACH na światowy porządek

Sojuszniczość nie polega na serwilizmie, a oprócz polityki jest jeszcze moralność

Grzegorz W. Kołodko

Idee demokracji można głosić. To przychodzi najłatwiej. Można też bez pytania wpraszać się z nimi do innych i pouczać, jak mają urządzać swój ustrój polityczny i gospodarczy. Naturalnie w interesie ich własnego ludu… Nie przeszkadza to w niegodnych postępkach, których przykładów we współczesnej historii nie brakuje.

Amerykańskie przywództwo

Takie są fakty:

• w 1953 r., w reakcji na nacjonalizację naftowego monopolu British Petroleum, przy pomocy CIA i brytyjskiego wywiadu MI6 obalono w Iranie demokratycznie wybrany rząd Mohammada Mosaddegha i zainstalowano proamerykańskiego szacha Rezę Pahlawiego;

• w 1954 r. CIA obaliła demokratycznie utworzony rząd Jacoba Arbenza w Gwatemali, co pociągnęło za sobą brutalną 40-letnią wojnę domową;

• w 1956 r. USA poparły reżim Ngo Dinh Diema, który odżegnał się od narodowych wyborów w Wietnamie – ich przeprowadzenie uzgodnione zostało wcześniej w porozumieniu genewskim, co sprowokowało 19-letnią wojnę, w której zginęło 2,5 mln ludzi, z czego prawie 2 mln to ludność cywilna;

• w 1960 r. CIA wspierała przewrót w Kongu i zabójstwo prezydenta Patrice'a Lumumby, którego miejsce na 37 lat zajął skorumpowany dyktator Mobutu Sese Seko;

• w 1964 r. demokratycznie wybrany prezydent Brazylii João Goulart został usunięty w wyniku wspieranego przez CIA zamachu stanu, co zapoczątkowało 20-letnią władzę junty wojskowej;

• w 1966 r. po drugiej stronie Atlantyku, w Ghanie, przy udziale CIA obalony został rząd prezydenta Kwame Nkrumaha, w miejsce którego zainstalowany został prozachodni gen. Emmanuel Kwasi Kotoka;

• w 1967 r. amerykańskie zamiłowanie do demokracji dało o sobie znać w Europie, gdzie CIA skutecznie wsparła obalenie Andreasa Papandreu, liberalnego premiera Grecji, i przejęcie władzy na siedem lat przez dyktaturę wojskową (tzw. junta czarnych pułkowników);

• w 1973 r. w Chile CIA skutecznie pomogła gen. Augustowi Pinochetowi w obaleniu demokratycznie wybranego prezydenta Salvadora Allende, co umożliwiło dwie dekady dyktatorskich neoliberalnych rządów;

• w 1976 r. w sąsiedniej Argentynie USA wsparły zamach stanu, który obalił demokratyczną prezydent Isabel Perón i pomógł w przejęciu władzy przez prawicową wojskową dyktaturę generała Jorge Videli;

• w latach 1984-1986 w Nikaragui, mimo zwycięstwa sandinistów w demokratycznych wyborach, Amerykanie za republikańskiej prezydentury Ronalda Reagana aktywnie wspierali prawicowych rebeliantów Contras, a służące temu środki finansowe pochodziły z nielegalnej sprzedaży broni reżimowi irańskiemu (pół wieku wcześniej prezydent Franklin Delano Roosevelt, gdy zwrócono mu uwagę, że wstyd zadawać się z krwawym dyktatorem Nikaragui Anastasiem Somozą, gdyż jest to „son of a bitch", odrzekł: „He may be a son of a bitch, but he's our son of a bitch");

• w 1991 r. i ponownie w 2004 r. USA były uwikłane w zamachy stanu na Haiti, wymierzone w rządy prezydenta Jeana-Bertranda Aristide'a;

• w 2009 r. USA zaangażowały się ponownie w Ameryce Środkowej w usunięcie ze stanowiska i zmuszenie do opuszczenia kraju prezydenta Hondurasu Manuela Zelai;

• w 2013 r. Stany Zjednoczone po cichu poparły dokonany w Egipcie przez gen. Abda al-Fattaha as-Sisiego zamach stanu, który obalił demokratycznie wybranego prezydenta Muhammada Mursiego, i chętnie wspierają autorytarne rządy w Kairze miliardową pomocą wojskową.

Obłuda obrońców demokracji

Przykłady można mnożyć, dowody przytaczać. Skoro w każdym tego typu przypadku zaangażowane były (i są) tajne służby, a oficjalne źródła informacji z reguły (i chętnie) mijają się z prawdą, o wielu sprawach nie wiemy. Dopiero z czasem odkryje je, acz nie wszystkie, historia. Wiemy, że pośród orędowników i propagatorów pięknych idei demokracji wiele jest hipokryzji i zakłamania, prywaty oraz cynizmu i dlatego po czynach trzeba ich sądzić. Przede wszystkim należy uważnie przyglądać się faktom, badać problemy interdyscyplinarnie, kompleksowo

eprasa.pl 5aa09ba18e



Donald Trump prezentuje podpisaną Kartę Rady Pokoju. Davos, 22 stycznia 2026 r.

i porównawczo, aby wyciągać wnioski poprawne nie politycznie, lecz merytorycznie, aby formułowane teoretyczne interpretacje sprzyjały dobrym praktykom w sferze polityki rozwoju społeczno-gospodarczego.

Uderzać musi dwulicowość mocarstw zachodnich, zwłaszcza USA – tego najgorętszego zwolennika wolności i demokracji. Przejawia się to w równoczesnej krytyce jednych państw z reżimami autorytarnymi i oszczędzaniu drugich, z którymi utrzymywane są aktywne kontakty. Niekiedy ta krytyka jest agresywna, aż wroga, jak w przypadku antyrosyjskiej i antychińskiej retoryki oraz praktyki poprzedniej i obecnej administracji amerykańskiej, co w istocie sprowadza się do rusofobii i sinofobii. Zachodni politycy i media nie żałują ostrych uwag i mocnych słów pod adresem autorytarnej Białorusi, szczędzą ich natomiast w stosunku do równie autorytarnego Azerbejdżanu. Pod słownym obstrzałem cały czas jest Kuba, choć bardziej od niej autorytarne są Zjednoczone Emiraty Arabskie. Niezwykle ostro krytykowana jest Wenezuela, dużo chętniej niż zdecydowanie wyprzedzająca ją w autorytaryzmie Erytrea.

Nie mylmy się; kryterium przyjmowania postawy za lub przeciw, nachalnej krytyki lub dyskretnej tolerancji, dyskryminacji lub współpracy nie jest demokracja lub jej brak, lecz polityczna i ekonomiczna interesowność. Gdyby Łukaszenka, prezydent Białorusi, był antyrosyjski albo przynajmniej proamerykański, byłby w Waszyngtonie tak samo serdecznie witany jak Saparmurat Nijazow, prezydent Turkmenistanu – jednego z najbardziej autorytarnych krajów, ale za to bogato wyposażonego przez naturę w gaz i leżącego na mapie świata w strategicznie ważnym regionie – którego spotkał zaszczyt goszczenia na czerwonym dywanie w Białym Domu. Gdyby Iran był proamerykański, to autorytaryzm jego ustroju byłby tak samo mało ważny jak jeszcze surowszy od niego ustrój sąsiedniej Arabii Saudyjskiej.

Polska klasa polityczna ma szanse zachować się godnie i potępić międzynarodowe awanturnictwo USA, podobnie jak czyni to Hiszpania.

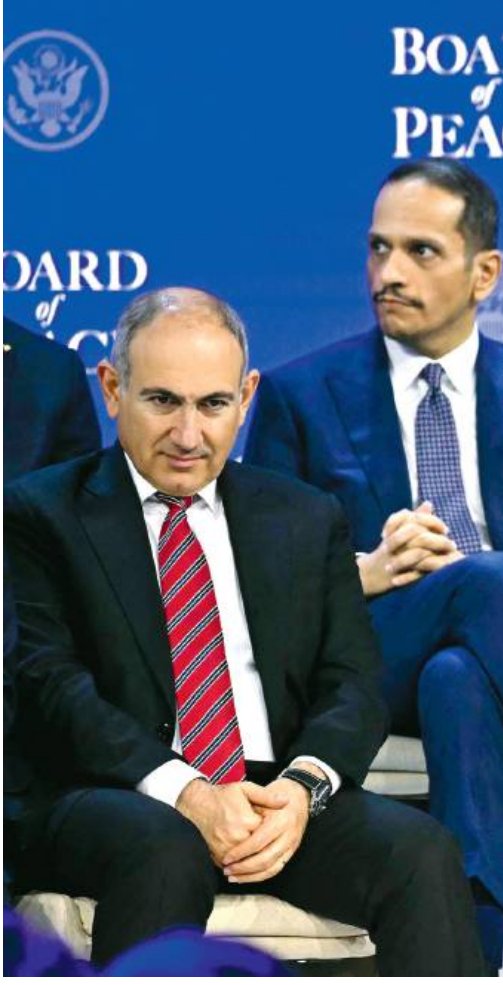
O akceptacji politycznej krajów decyduje przeto ich przydatność w realizacji zachodnich celów geopolitycznych i gospodarczych, a nie honorowanie praw człowieka i stan demokracji. Szkoda, że w tej materii tak niewiele się zmieniło przez cały wiek. W 1917 r., kiedy Brytyjczycy wysłali wojska, aby zajęły Bagdad, lord Charles Hardinge, wysokiej rangi dyplomata i polityk, z rozbrajającą szczerością (i totalnie

FOT. FABRICE COFFRINI/AFP/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 5aa09ba18e

niedyplomatycznie) napisał do Gertrude Bell, wybitnej badaczki podróżującej wtedy w tamtym rejonie: „Naprawdę nie ma znaczenia, czy na symbole arabskiej władzy wybierzemy trzech najgrubszych Bagdadczyków, czy trzech z najdłuższymi brodami". Znaczenie miało to, czy byli probrytyjscy.

Od tamtych imperialnych czasów język i retoryka polityczna zmieniły się głęboko, ale w geopolityce wciąż pilnowanie własnych interesów dominuje nad werbalnie deklarowaną ideologią i dbałością o potrzeby innych. O ile w czasach rywalizacji amerykańsko-radzieckiej – a więc i demokratyczno-autorytarnej – pogadanek i połajanek adresowanych do innych nie szczędziła żadna strona, o tyle współcześnie gorliwością grzeszą głównie USA i Wielka Brytania. Szczególnie hojnie darzą nimi kraje tak różne jak Chiny i Turcja, Rosja i Wenezuela, Nikaragua i Rwanda, Pakistan i Kenia, oszczędzając wiele innych, też niehołubiących demokracji. Do Amerykanów i Brytyjczyków w krytykowaniu konkretnych rozwiązań systemowych i zachowań politycznych chętnie dołączają niektórzy politycy i biurokraci Unii Europejskiej oraz zachodnioeuropejscy przywódcy.



Wśród orędowników i propagatorów idei demokracji wiele jest hipokryzji, zakłamania, prywaty i cynizmu. Dlatego po czynach trzeba ich sądzić.

Imperialistyczne interwencje

O tym wszystkim pisałem już kilka lat temu w książce „Świat w matni. Czwarta część trylogii" (Wydawnictwo Prószyński i S-ka, 2022, s. 90-94). To bynajmniej nie wyczerpuje długiej listy operacji zmierzających do zmiany raz to tylko władzy nieprzychylnej Stanom Zjednoczonym, innym razem czyjegoś ustroju, nawet jeśli był demokratyczny, ale zarazem niedostatecznie proamerykański. W trakcie poprzedniej zimnej wojny, w latach 1947-1989, polityka zagraniczna Waszyngtonu wielokrotnie używała siły i sięgała do tajnych działań oraz rozmaitych manipulacji w celu obalania władzy innych państw. Czasami wspierając innych, jak w roku 1975 przy okazji napaści Indonezji na emancypujący się po kolonialnym portugalskim zniewoleniu biedny Timor Wschodni, leżący na styku oceanów Indyjskiego i Spokojnego, kiedy indziej bezpośrednio, używając własnej brutalnej siły wojskowej, jak w przypadku inwazji na małą wyspiarską Grenadę na Morzu Karaibskim w 1983 r. Lindsey O'Rourke w książce „Covert Regime Change: America's Secret War" (Cornell University Press, 2021) faktograficznie opisuje ok. 70 takich przypadków. Później też ich nie brakowało – za prezydentur Billa Clintona, George'a Busha ojca i syna oraz Baracka Obamy. Wystarczy przypomnieć zbrojne interwencje bez mandatu Rady Bezpieczeństwa ONZ w Iraku (2003) i Libii (2011). Średnio podczas minionych ośmiu dekad tak mniej więcej raz na rok…

Liczne próby obalenia reżimu w Wenezueli nie udawały się aż do teraz, kiedy już w sposób zupełnie jawny, bez jakiejkolwiek żenady USA pogwałciły prawo międzynarodowe. I już nawet nie udają, że chodzi o obronę ideałów demokracji, bo same przyznają, że rzecz leży w dostępie do zasobów naturalnych. Z równą bezczelnością, podważając integrację NATO, odgrażają się, że zamierzają zawładnąć Grenlandią, terytorium związanym z Danią, państwem sojuszniczym, choć co to za sojusz, w którym jeden mógłby zabrać drugiemu to, co by się mu przydało? Polska klasa polityczna ma szanse zachować się godnie i potępić międzynarodowe awanturnictwo USA, podobnie jak czyni to Hiszpania, której prozachodniość i przynależność do NATO w tym nie przeszkadzają. Sojuszniczość nie polega na serwilizmie, a oprócz polityki jest jeszcze coś takiego jak moralność.

Zadufany w sobie prezydent Donald Trump buńczucznie głosi, że w pierwszym roku swojej drugiej prezydentury zakończył aż osiem wojen, chociaż tak naprawdę nie zakończył żadnej. W istocie jest to dyktatorski i imperialistyczny w swoich zapędach maniak, który chce Stanom Zjednoczonym podporządkować co najmniej całą zachodnią półkulę, poczynając od zawłaszczenia Grenlandii, której potrzebuje „dla bezpieczeństwa narodowego", bo jakoby „jest wszędzie usiana rosyjskimi i chińskimi statkami". Teraz będzie kończył wojny, które sam zacznie?

Kto następny?

Państw nieprzestrzegających porządku światowego opartego na ustalonych zasadach (słynne amerykańskie *rules based world order*) nie brakuje. Według ocen Economist Intelligence Unit aż 60 państw (34,9% analizowanych) to państwa autorytarne zamieszkiwane przez 40% ludzkości. Jest więc na kogo

eprasa.pl 5aa09ba18e



Spotkanie Rady Pokoju w ramach Światowego Forum Ekonomicznego.

napadać. Raczej nie na takie autokratyczne reżimy jak Azerbejdżan, bo choć ma ropę naftową, to za blisko Rosji, czy Mjanma, której cennych surowców też nie brakuje, ale leżą w bezpośrednim sąsiedztwie Chin. Jest jeszcze 58 innych… Stany Zjednoczone, które tak lubią pouczać innych, na czym polegają zasady stosunków międzynarodowych, w sposób jawny, wręcz bezczelny je łamią. Cynizm Trumpa 2.0 i jego akolitów – poczynając od czołowych amerykańskich polityków, takich jak wiceprezydent J.D. Vance oraz sekretarze stanu Marco Rubio i obrony (teraz, po przemianowaniu, bardziej adekwatnie, bo wojny) Pete Hegseth, z których każdemu marzy się zostać 48. prezydentem USA – jest porażający.

Wycofanie się z kolejnych organizacji międzynarodowych zajmujących się m.in. ochroną zdrowia, przeciwdziałaniem ocieplaniu klimatu, regulacją handlu, współpracą naukową oraz kulturą, osłabianie ONZ i rujnowanie jej agend, deptanie butem MAGA międzypaństwowych i wielostronnych zasad fair play nie tylko nadwyręża i tak już niedostatecznie silną instytucjonalną tkankę stosunków międzynarodowych, lecz eroduje również siłę samych Stanów Zjednoczonych, czego ich megalomański lider nie pojmuje, a jego poddani będą z czasem ciężko żałować.

Donald Trump to dyktatorski i imperialistyczny w swoich zapędach maniak.

Jeśli przez zasady porządku światowego rozumieć honorowanie w polityce takich wartości jak ukształtowany po II wojnie światowej i zmodyfikowany po zakończeniu pierwszej zimnej wojny system międzynarodowych praw, norm, traktatów i organizacji, który ma chronić prawa człowieka oraz ukierunkowywanie postępowania jednych państw wobec drugich przy poszanowaniu ich suwerenności, promowanie wielostronnie korzystnej współpracy międzynarodowej, zapobieganie konfliktom, zwłaszcza zbrojnym, i troszczenie się o stan środowiska naturalnego, to obecnie doprawdy grozi nam koniec świata, jaki znamy. Teraz już nawet nie ma zastosowania inna, do niedawna hołubiona przez amerykańskie elity polityczne zasada: „Rób to, co ci mówimy, a nie to, co sami robimy” (Do what we say, not what we do). Teraz nie mamy już postępować tak, jak głosi Waszyngton, no bo głosi, że wolno robić to, co się chce, jeśli tylko to się opłaca, nie bacząc na prawa innych i na ponoszone przez nich koszty, niekiedy tragiczne.

Prof. Grzegorz W. Kołodko jest dyrektorem Centrum Badawczego Transformacji, Integracji i Globalizacji Akademii Leona Koźmińskiego

eprasa.pl 5aa09ba18e

Grzechy słabych w polityce

Za agresję, wybuch wojny nie zawsze odpowiedzialni są silni

Piotr Kimla

Podejmuję temat, który – wedle mojego rozeznania – niezwykle rzadko staje się przedmiotem uwagi polskich politologów. Chodzi o negatywną rolę, jaką w sferze politycznej mogą odgrywać słabi. Nie mocarstwa i ich przywódcy, ale przywódcy słabych państw albo słabe ludy pozbawione państw. Chcę pokazać, że nie tylko silni, lecz także słabi mogą ponosić odpowiedzialność za rozlew krwi, cierpienie wielkich rzesz ludzi, zniszczenie i śmierć, choć są święcie przekonani, że są święci. Dzieje się tak, biorąc rzecz najogólniej, gdy słabi bezceremonialnie, kierując się zmyśleniami i marzeniami, postanawiają zignorować prawa funkcjonujące w politycznej domenie. Kiedy, nurzając się we własnym wzmożeniu moralnym, stygmatyzują silnego przeciwnika jako moralnie obrzydliwego i prowokują go do przywrócenia właściwych relacji na linii siła-słabość. Kiedy za pomocą argumentów moralnych pragną osiągać cele pozamoralne. Kiedy pragną przechytrzyć silnych nie w długim procesie wzrastania w siłę, lecz poprzez pustą gestykulację, jaką jest pozorowanie przez nich siły.

Siła jako wartość

Śledząc rodzimy dyskurs na temat siły, na temat potęgi w polityce, nie ma się wrażenia, że osoby wypowiadające się w tych kwestiach mają jakieś trudności z opanowaniem różnorodnych definicji. Rozumieją i przywołują wielość ujęć związanych z kategorią siły. Odróżniają potęgę potencjalną (zasoby społeczne, którymi dysponuje dane państwo i które mogą służyć do budowy sił zbrojnych) od potęgi militarnej, lecz zarazem wiedzą, że obie są ze sobą powiązane. Większość odrobiła lekcję z Clausewitza i bierze pod uwagę, że na siłę składa się także trudno wymierzalne „napięcie woli" – próbuje się je określić poprzez odniesienie do wagi sprawy dla każdej strony, o którą toczy się spór. Napięcie to potrafi zniwelować czasem dysproporcje w stosunkowo łatwo wymierzalnej sile militarnej. Potrafi sprawić, że 409 tys. żołnierzy pokonuje 674 tys. przeciwników, szczególnie gdy napięcie woli połączy się z mądrą strategią. Tak przedstawiały się liczby (wliczając rezerwy) w momencie wkraczania Napoleona do Rosji 23 czerwca 1812 r.

Niektóre spośród podstawowych wartości, jakie ceni świat, nie znajdują poważania w oczach Polaków.

Badacze i komentatorzy powtarzają czasem za Robertem Dahlem, że potęga to zdolność kontrolowania innych państw lub wpływania na ich zachowanie. Jako że są Polakami, przeważnie zaznajomili się z ustaleniami Władysława Studnickiego, Stanisława Cata-Mackiewicza oraz braci Bocheńskich i zdają sobie sprawę z relatywności siły. Ściślej, że nasza potęga rośnie także wtedy, gdy nasz potencjał się zmniejsza, pod warunkiem jednak, że nasi partnerzy-oponenci tracą jeszcze szybciej. I na odwrót – nasza siła maleje, choć w liczbach bezwzględnych się zwiększa, jeśli nasi partnerzy-oponenci zyskują szybciej od nas. Stale także można usłyszeć modne rozróżnienia na hard power, soft power i smart power.

A jednak stojąc na polskiej ziemi i wpatrując się w horyzont aksjologiczny, można czasem popaść w stan głębokiej konfuzji. Niektóre spośród podstawowych wartości, jakie ceni świat, nie znajdują – i to nie tylko werbalnie, lecz nieraz faktycznie – poważania w oczach Polaków. Kult porażki zamiast kultu zwycięstwa, chwała zwyciężonym zamiast chwały zwycięzcom. Przede wszystkim wszakże gloryfikacja słabości jako moralnych wyżyn i degradowanie siły jako moralnej zgnilizny. Wszystko to rodzi potrzebę ukazania tej ostatniej w mniej zdeformowanym świetle, a co za tym idzie – jako jednej z największych wartości. Nie tylko zresztą w świecie polityki, która bez siły nie istnieje, lecz także w innych dziedzinach.

Pozytywny wymiar siły zachował się w polszczyźnie w zwrotach typu: silny charakter. Określenie kogoś w ten sposób nie jest inwektywą, lecz ma jednoznacznie pozytywny wydźwięk. W codziennych zmaganiach egzystencjalnych Kowalski poszukuje siły, chociaż rzadko nazywa rzeczy po imieniu. Będąc przykładowo studentem, dąży do pozyskania wiedzy i umiejętności, których nie mają inni i które czynią go silniejszym od innych. Silniejszym w argumentacji, w rozumowaniu, bardziej niż inni pożądanym na rynku pracy i dzięki temu lepiej zarabiającym. Wydaje się zatem, że w sferze prywatnej Polacy nie przeinaczają pojęcia siły i dążą do jej pomnożenia. Rozumieją, że ich siła daje im życiową stabilizację i ochronę. Rozumieją także, że u źródeł wielkich widowisk sportowych, którymi się ekscytują,

eprasa.pl 5aa09ba18e



Premier Węgier Viktor Orbán (trzeci z lewej), prezydent Indonezji Prabowo Subianto (w środku) i minister spraw zagranicznych Jordanii Ayman Safadi na spotkaniu z prezydentem USA Donaldem Trumpem podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos, 22 stycznia 2026 r.

leży m.in. siła mięśni zawodniczek i zawodników.

Polacy zdają się wszakże mieć problemy z przeniesieniem owego dobroczynnego wpływu siły z życia prywatnego na politykę. Mają problemy z klarownym uzmysłowieniem sobie, że także w polityce siła daje ochronę i stabilizację. Być może dlatego, że od wieków, ściślej od postradania państwa w XVIII w., nasi przodkowie usiłowali walczyć z silnymi środkami słabych. Środkami moralnymi, których celem jest zohydzenie silnych i ukazanie siły jako bezdusznej, ślepej przemocy.

Zmaganie słabych z silnymi

Jeśli zgodzimy się, że siła jest wartością na tym świecie, to warto od razu dodać, że jej podstawową cechą jest przechodniość. Oznacza to, że silni nie są silni na zawsze, słabi zaś nie są na wieki skazani na słabość. Fakt ten w decydujący sposób definiuje sferę polityczną. Definiuje ją jako domenę ciągłych zmagań pomiędzy silnymi a słabymi. Silnymi, którzy dążą do utrzymania swojej supremacji. Słabymi, którzy pragną się wzmocnić, dołączyć do grona silnych, zepchnąć dzisiejszych silnych w otchłań słabości.

Rzecz jasna narzędzia używane przez obie strony zaangażowane w rywalizację nie są identyczne. Słabi, dopóki tacy są, najczęściej nie mogą występować przeciwko silnym z otwartą przyłbicą. Bardzo często imają się środków zakulisowych, niemających wiele wspólnego z rycerskością. Plotka, obmowa, podstęp, pełne manipulacji posługiwanie się chwytającymi za serce hasłami, szantaż moralny, sabotaż, zbiorowa kontestacja i obstrukcja decyzji silnych – to tylko niektóre sposoby mieszczące w arsenale środków słabych.

Nie chcę przez to powiedzieć, że silni nigdy nie stosują wymienionych środków. W tym miejscu jednak pragnę uwyraźnić, że stałym elementem strategii słabych jest prezentowanie siebie jako moralnie wyższych od „zdegenerowanych" silnych. Czynnikiem degenerującym silnych ma być samo w sobie posiadanie siły. Wcześniej podkreślałem, że siła to coś pozytywnego. Zatem w narracji słabych siła musi zostać w jakiś sposób zohydzona, zdegradowana, zdeformowana. Rzeczywiście tak się dzieje, zostaje bowiem utożsamiona z agresją.

Silni decydują się na pogwałcenie reguł raczej w wyjątkowych sytuacjach. Nie jest to ich codzienna praktyka.

Innymi słowy – wedle słabych – silni muszą z konieczności, prędzej czy później, nadużyć siły. Trzeba przyznać, że to niezwykle zręczny i sugestywny argument. Czy w przeszłości nie mieliśmy przykładów brutalnego nieraz obchodzenia się silnych ze słabymi? Potrzeba chwili zastanowienia, by uprzytomnić sobie, że argument ten nie jest jednak argumentem, który winno się przyjąć bez zastrzeżeń. Siła i agresja nie są pojęciami tożsamymi, chociaż w narracji słabych takimi się stają.

FOT. MANDEL NGAN/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 5aa09ba18e

Wypada zatem podkreślić, że czym innym jest siła, czym innym zaś zaczepne wykorzystanie siły, czyli agresja. Nie istnieje konieczny związek pomiędzy siłą a jej agresywnym zastosowaniem. Przykładowo, jeśli ktoś jest bajecznie wyszkolonym karateką, posiadającym przewagę nad 99% populacji, nie oznacza to z konieczności, że prędzej czy później musi skatować na ulicy Bogu ducha winnego przechodnia. Co więcej, jeśli doszedł do wysokiego poziomu wyszkolenia, to jego życie naznaczone jest dyscypliną, wytrwałością w dążeniu do celu, umiejętnością podniesienia się po kontuzjach i innych przeciwnościach. Jest zatem wielce prawdopodobne, że mamy do czynienia z człowiekiem o dobrze ukształtowanym, silnym charakterze. Czy jest możliwe, że ów hipotetyczny karateka zboczy na manowce i wykorzysta swoje umiejętności przeciwko bezbronnemu człowiekowi na ulicy? Rzecz jasna, jest to możliwe. Nie jest jednak czymś koniecznym.

Słabość, cierpienie, poniżenie uszlachetnia, uwzniośla moralnie – dają się słyszeć głosy z obozu słabych. Ponownie nie istnieje w tym punkcie żadna konieczność. Cierpienie, słabość może uszlachetniać doskonałych chrześcijan, bo daje im okazję do nadstawienia drugiego policzka oraz do miłowania swoich prześladowców i katów. Daje okazję do osiągnięcia szczytu człowieczeństwa, jeśli przystać na tezę, że polega ono na pokonywaniu własnej natury. Ilu jednak doskonałych chrześcijan, pogromców skłonności ludzkiej natury – wyrażającej się w starotestamentowym „oko za oko, ząb za ząb" – stąpa po świecie? Żywię obawy, że w każdym społeczeństwie jest to odsetek tak mały, iż w rozważaniach natury politycznej można, a nawet należy go pominąć. Znakomitą większość słabych cierpienie i poniżenie nie uszlachetnia, lecz rozjusza, prowadzi do wykształcenia resentymentów i wznieca żądzę odwetu. Oznacza to jednak, że słabi, pod względem moralnym, nie są ani na jotę lepsi od silnych.

W pełni świadomi tego stanu rzeczy byli w starożytności imperialiści ateńscy, gdy mówili słabym Melijczykom, że gdyby owi słabi wyspiarze melijscy mieli potęgę równą ateńskiej, postępowaliby dokładnie tak samo, to znaczy zmuszali do uległości słabszych od siebie. Słabi zatem dążą do tych samych celów co silni, pragną tych samych rzeczy co silni. Nie mogąc wszakże ich uzyskać, z racji braku środków, obchodzą się smakiem, co wiedzie do wykształcania w nich wspomnianego resentymentu. Dlatego można zaryzykować stwierdzenie, że gdy dochodzą do wymarzonej siły, co czasem się zdarza, rządzą o wiele gorzej, okrutniej, pazerniej i nieumiarkowaniej od silnych.

Jak dekadę temu odnotował na łamach „Przeglądu" Bronisław Łagowski: „Partia uciśnionych [słabych – P.K.] unika stosowania przemocy, dopóki obawia się odwetu; gdy poczuje się bezkarna, potrafi terroryzować tak samo lub gorzej jak partia władzy [silni – P.K.]. Sztukę walki, jaką posiada książę [silni – P.K.], lud [słabi – P.K.], który jej nie posiada, zastępuje nierzadko większym okrucieństwem i większym nakładem kłamstwa. Różnica polega na tym, że książę jest przeważnie cyniczny, a partia uciśnionych zakłamana. Lud musi wierzyć, że jego sprawa jest święta w przeciwieństwie do sprawy drugiej strony, którą święcie uznaje za niecną, co – jak wiemy – nie musi być prawdą i przeważnie nie jest". I jeszcze ten sam filozof polityki w tym samym tonie: „Wobec ucisku normalną ludzką reakcją jest opowiedzieć się po stronie uciskanych, jednakże różnica między uciskanymi [słabymi – P.K.] a księciem [silnymi – P.K.] nie jest natury moralnej. Uciskani wyzwoleni z krępujących więzów potrafią być równie lub jeszcze bardziej okrutni niż ich władcy. Przecież nie zaczynają oni być złymi dopiero po wyzwoleniu. Już tacy musieli być, gdy walczyli »prawdą«, religią, patriotyzmem. Toczyli walkę za pomocą wielkich uczuć, które były fałszywe".

Trzeba jednakże przyznać, że w arsenale słabych jest jeden szlachetny sposób na powściągnięcie ujawniających się niekiedy zaborczych zapędów silnych. Tym sposobem jest podporządkowanie ich regułom prawnym, regułom sprawiedliwości. Zasady prawne zrównują silnych i słabych. Kiedy słabi powiadają, że są dla wszystkich korzystne, trudno odmówić im racji. Najsilniejszy argument słabych w procesie namawiania silnych do zaakceptowania reguł ma, jak się wydaje, charakter utylitarny i związany jest ze wspomnianą wyżej przechodniością siły. Silni muszą przystać na argument, że „z czasem wszystko upada" i że nie pozostaną silnymi po wieczne czasy. Jeśli zatem dziś, będąc silnymi, zlekceważą reguły prawne, to do czego się odwołają, gdy osłabną? Będą zdani na łaskę, na czysto woluntarne widzimisię przyszłych silnych, zamiast na reguły, które czynią życie jasnym, przewidywalnym i bezpiecznym.

Panuje kult porażki zamiast kultu zwycięstwa, gloryfikacja słabości jako moralnych wyżyn i degradowanie siły jako moralnej zgnilizny.

Nie sposób odmówić mocy logicznej tak zarysowanej perswazji. I może rzeczywiście byłaby ona nie do odparcia, gdyby stale na ziemi żyło jedno i to samo pokolenie ludzi. Tak jednak nie jest i ma to głębokie polityczne reperkusje. Dzisiejsi silni wykazują tendencję do pozostawiania kłopotu utrzymania potęgi swoim następcom. Sami zaś działają i zachowują się tak, jakby nie byli świadomi, że ich potęga nie jest wieczna. Pamiętają, że dojście do potęgi oznaczało narażenie się wielu państwom współzawodniczącym o potęgę, a zatem zrezygnowanie z potęgi byłoby krokiem bardzo nieprzemyślanym i ryzykownym. Pamiętają, że „zostać tyranem jest rzeczą niesprawiedliwą. Jednak przestać nim być jest na pewno rzeczą niebezpieczną". Nie ulega wątpliwości, że odchodzą nieraz od krępujących ich norm sprawiedliwości, znajdujących odzwierciedlenie w prawie. Powracają do starej zasady, że reguły

eprasa.pl 5aa09ba18e

sprawiedliwości mogą rozstrzygać tylko wtedy, gdy naprzeciw siebie stają przeciwnicy o mniej więcej równym potencjale. Stają wówczas na stanowisku, że – z uwagi na możliwość poniesienia niepowetowanych strat – warto odwołać się do reguł. Warto ustanowić arbitra dogodnego dla obu stron i warto zaakceptować jego werdykt, nawet wówczas, gdy wypada niekorzystnie. Kiedy jednak przewaga jednej strony jest oczywista, a dodatkowo w grę wchodzą sprawy najwyższej wagi, silniejsi osiągają swoje cele, słabsi muszą ustąpić.

Wypada wszakże stanowczo podkreślić, że silni decydują się na pogwałcenie reguł raczej w wyjątkowych sytuacjach. Nie jest to ich codzienna praktyka. Zazwyczaj decydują się być na bakier z prawem tylko wówczas, gdy na szali ważą się najżywotniejsze interesy państwa, i zawsze starają się swoje odejście od norm prawnych zakamuflować, zbudować dla siebie wiarygodne alibi.

Odpowiedzialność słabych za przemoc w polityce

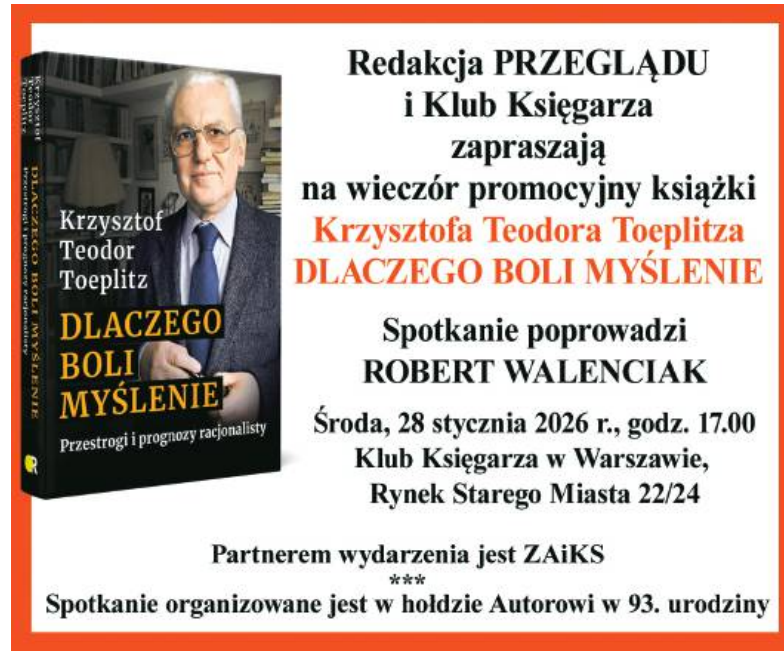
Wydaje się zrozumiałe, że słabi – w swoim dobrze pojętym interesie – powinni rozumieć reguły związane z relacjami słabi-silni. Akceptując je, dają wyraz znajomości sfery politycznej i poprawnie poruszają się w jej obrębie. A jednak zdarza się, że słabi nie chcą zaakceptować swojego statusu i chcą osiągnąć siłę nie w wyniku długotrwałego procesu wzmacniania się, lecz natychmiast. Pozostaje im wtedy sztuczne symulowanie, pozorowanie siły.

Naturalnie z punktu widzenia praw rządzących polityczną domeną słabi podejmują w ten sposób niezwykle niebezpieczną grę. Grę, która może kosztować ich istnienie własnego państwa. Mimo to prężenie muskułów przez słabych, rzucanie rękawicy silnym odbywało się w przeszłości niejednokrotnie i nie sposób wykluczyć go w przyszłości. Słabi, decydując się na ten krok, mają zawsze w zanadrzu mnóstwo uspokajających argumentów. Są przeświadczeni, rzecz jasna, o wielkości moralnej swojej sprawy i moralnej zgniliźnie mocniejszego przeciwnika. Są przeświadczeni, że Bóg lub bogowie będą po ich stronie, ponieważ „w słusznej sprawie występują przeciw krzywdzicielom". Uspokaja ich myśl, że rezultaty wojen wypadają nieraz inaczej, aniżeli wynikałoby to z czystego zestawienia sił, ponieważ niedobory materialne i ludzkie daje się czasem zrekompensować „ambicją i wolą walki". Wierzą w zapewniania swoich sojuszników o pomocy i przyjaźni.

Wiemy z przeszłości, że takie nieliczące się ze statyką polityczną działania słabych paradoksalnie nie zawsze kończyły się dla nich katastrofą. Czasami silni puszczali płazem ową błazenadę słabych, bo trudno określić inaczej ów gwałt na rzeczywistości, jakim jest symulowanie siły, gdy jest się słabym. Waga sprawy nie była dla nich na tyle duża, aby powiedzieć „sprawdzam". Zdarzało się także, że słabi występowali w bardzo korzystnej dla siebie koniunkturze. Koniunktura ta, na marginesie mówiąc, nie była sprokurowana przez słabych, bo nie mieli oni po temu środków, była raczej czystym trafem. Nasze zwycięskie powstanie wielkopolskie nie oznaczało przecież, że Polska na przełomie lat 1918 i 1919 była potężniejsza od Niemiec. Powstanie wybuchło w sprzyjającej koniunkturze, a dodatkowo zwycięskie państwa ententy zabroniły w gruncie rzeczy Niemcom walczyć, grożąc interwencją. Czasami jednak silni nie mogą pozwolić sobie na ignorowanie fanfaronady słabych, ich pustej gestykulacji pretendującej do siły. Wybija wówczas zazwyczaj ostatnia godzina zuchwałości słabych.

Wyłuszczam te dość oczywiste sprawy, ponieważ trzeba podkreślić, że za agresję, wybuch wojny itd. nie zawsze odpowiedzialni są silni. Tak sprawy wyglądają w narracji słabych. Widzimy jednak, że odpowiedzialność za zło, cierpienie, przemoc w polityce mogą ponosić także słabi, którzy nieprzemyślanymi aktami swojej woli i wyobraźni, swoim wishful thinking pragną przekreślić potęgę determinizmu politycznych praw rządzących tą sferą. Słabi czasami po prostu zapominają, że przy stokroć mniejszych środkach od silnych muszą stokroć ostrożniej ważyć każde posunięcie polityczne. Lekceważąc to zalecenie, zdają się zapominać, że eksterminacja wciąż jest możliwa.

Prof. Piotr Kimla jest pracownikiem Katedry Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego



eprasa.pl 5aa09ba18e

Dworskie szachy

Debata na temat amerykańskiej polityki zagranicznej przypomina ćwiczenia z psychologii, a nie ze stosunków międzynarodowych

Mateusz Mazzini

Prawie ćwierć wieku temu Stany Zjednoczone przy wydatnej pomocy Wielkiej Brytanii dokonały pierwszego wielkiego wyłomu w powojennym porządku światowym, opartym na suwerenności, multilateralizmie i prymacie instytucji nad wolą polityczną przywódców. W zbiorowej pamięci Zachodu inwazja na Irak być może już wyblakła, a w niektórych miejscach – jak w Polsce – nigdy na dobre nie zaistniała, ale przedstawiciele globalnego Południa doskonale wiedzą, jakie były tego konsekwencje.

Znacznie ciekawsze jest jednak to, że nawet po upływie tylu lat, dziesiątkach rozmów, napisanych esejów, książek, zrealizowanych filmów dokumentalnych czy przesłuchań w amerykańskim Kongresie nadal tak naprawdę nie wiadomo, dlaczego do tej inwazji doszło.

Suma wszystkich strachów

Metodologia poszukująca jednego, może nie wyłącznego, ale dominującego powodu, który pchnął amerykańską administrację do obalenia reżimu Saddama Husajna i wieloletniej, całkowicie bezowocnej politycznie okupacji tego kraju, jest jednak całkowicie nieadekwatna do rzeczywistości. Rację ma bowiem publicysta „New York Timesa" Ezra Klein, który w niedawnej rozmowie z Jonathanem Blitzerem z „New Yorkera" stwierdził, że jedyne, co z całą stanowczością można stwierdzić na temat tej inwazji, to fakt, że była opcjonalna. Ale nie było jednej ręki, która pociągnęła za spust. Jednego momentu, który zdecydował o wysłaniu wojsk. Jednego gestu Saddama, jednego momentu sprzeciwu Francji na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ. Tamta wojna była po prostu sumą wszystkich strachów ówczesnej Ameryki. Dokładnie tak jak niedawna operacja wojskowa w Wenezueli.

Próba racjonalizowania działania Donalda Trumpa i jego ekipy wobec reżimu Nicolása Madura jest z góry skazana na porażkę, ponieważ skuteczna byłaby tylko w przypadku logicznych działań amerykańskiej władzy. Tymczasem nie ma żadnych dowodów na to, że racjonalizm jest podstawą kalkulacji strategicznej USA ani że takowa kalkulacja w ogóle istnieje. Nie tylko w samych wystąpieniach Trumpa, ale też w komunikatach jego współpracowników czy w kluczowych dokumentach dotyczących polityki zagranicznej, na czele z Narodową Strategią Bezpieczeństwa, próżno szukać ciągów przyczynowo-skutkowych, precyzyjnie określonych celów czy synergii priorytetów pomiędzy różnymi instytucjami posiadającymi kompetencje dyplomatyczne. Prędzej towarzyszą im sprzeczność, argumentacyjny bałagan i chaos informacyjny.

Jako pierwszy wypunktował to w grudniu na portalu Project Syndicate politolog Stephen Holmes, zauważając, że wspomniana strategia nie jest nawet konsekwentna w kwestii tego, gdzie dziś znajduje się Ameryka. „Raz jesteśmy wielcy, raz ryzykujemy totalny upadek. Raz wygrywamy, raz przegrywamy", pisał Holmes, wskazując na niespójność przekazu w dokumencie. Nieco bardziej sarkastycznie podsumowała to na łamach „The Atlantic" Anne Applebaum, pisząc, że ze wszystkich znanych dzieł literackich amerykańska strategia bezpieczeństwa najbardziej przypomina Biblię – też ewidentnie miała kilku autorów, zawiera wzajemnie sprzeczne tezy i czyta się ją fatalnie, bo nie stanowi spójnej całości, tylko coś w rodzaju tomiku z aforyzmami.

W wystąpieniach Trumpa czy w Narodowej Strategii Bezpieczeństwa próżno szukać ciągów przyczynowo-skutkowych i precyzyjnie określonych celów.

Administracja Trumpa przekuła teorię w praktykę już 3 stycznia tego roku, aresztując Madura i pokazując światu, że nie ma pojęcia ani ochoty decydować, co dalej będzie się działo z Wenezuelą. Jeszcze w sobotę 3 stycznia, około godz. 16 czasu polskiego sekretarz stanu Marco Rubio zapewniał, że USA „nie mają planów dalszej ingerencji w sprawy Wenezueli". Ale dwie godziny później Trump na konferencji prasowej w Mar-a-Lago stwierdził, że Ameryka będzie tym krajem zarządzać.

W kolejnych dniach już sam Rubio przyznawał, że jakaś forma presji militarnej jest prawdopodobna, a okręty amerykańskiej marynarki

eprasa.pl 5aa09ba18e



Wiceszef personelu w Białym Domu Stephen Miller (nz. z sekretarzem stanu Markiem Rubiem) otwarcie fantazjuje na temat Ameryki czystej rasowo. 8 października 2025 r.

wojennej pozostaną na Morzu Karaibskim jeszcze przez kilka tygodni, jeśli nie dłużej.

Zarządzanie przez chaos

Widać więc od razu, że w amerykańskiej polityce zagranicznej panuje chaos – przy czym, wbrew obiegowej opinii domorosłych speców od geopolityki – nie jest to celowy zabieg samego Trumpa. Nie gra on z resztą świata w jakieś wyrafinowane, wielowymiarowe szachy, tylko co chwilę zmienia zdanie, bo uważa, że może.

Dla niego funkcją bycia prezydentem USA jest możliwość kształtowania właściwie wszystkiego, co się dzieje na planecie, w sposób impulsywny, oparty na instynkcie, bez patrzenia na konsekwencje. Dlatego wszelkie próby dorabiania ideologii do działań prezydenta za pomocą takich słów jak „doktryna" czy „strategia" są bezsensowne.

W gruncie rzeczy Trump jest dość prostym w obsłudze mężczyzną, o wąskich horyzontach poznawczych i transakcyjnym podejściu do rzeczywistości. W dodatku te transakcje nie muszą wcale być spektakularne ani biznesowo udane. Ważne, żeby generowały chwytliwe nagłówki i chociaż przez chwilę zapewniały uwagę mediów – paradoksalnie tych tradycyjnych, z telewizją i prasą drukowaną na czele. Zamiast więc tworzyć wielkie ramy poznawcze czy analityczne, lepiej wsłuchać się w tych, którzy z Trumpem mieli nieraz do czynienia osobiście.

Stephen Holmes: „Raz jesteśmy wielcy, raz ryzykujemy totalny upadek. Raz wygrywamy, raz przegrywamy".

W tym miejscu należy przytoczyć trzy cytaty, które właściwie wyczerpują temat. Pierwszy to słowa Olivii Nuzzi, związanej swego czasu z „Vanity Fair", a wcześniej głównej publicystki politycznej w „New York Magazine", skąd odeszła po romansie z Robertem Kennedym Jr. Nuzzi wielokrotnie przeprowadzała wywiady z Trumpem – niedawno w rozmowie z „New York Timesem" stwierdziła, że prezydent lubi „atencję, blondynki i magazyny – dokładnie w tej kolejności".

Drugi cytat to słowa Maggie Haberman, publicystki „New York Timesa" i autorki niedawno wydanej w Polsce biografii prezydenta USA „Iluzjonista. Jak Donald Trump zmienił Amerykę". Haberman zapytana przez Ezrę Kleina przed wyborami w 2024 r., czym dla Trumpa jest prawda, odpowiedziała, że prawdą jest wszystko, za co nie spotkają go konsekwencje.

Z kolei Jared Kushner, w pierwszej kadencji główny doradca, w drugiej pozainstytucjonalny dyplomata do zadań specjalnych, powiedział Bobowi Woodwardowi w 2017 r., że praca dla teścia przypomina życie w świecie „Alicji w Krainie Czarów". Zacytował Kota z Cheshire, który mawiał, że jeśli ktoś nie wie, dokąd zmierza, każda droga go tam zaprowadzi.

Polityka faktów dokonanych. Najpierw działania, potem wytłumaczenie. Konsekwencje i tak poniosą inni. Największe – amerykańskie społeczeństwo, bo sam Trump nigdy.

Nie znaczy to jednak, że prezydent nie jest przewidywalny. Pod wieloma względami jego poglądy są wręcz szokująco stałe. Jak chociażby w przypadku ceł, które już w latach 80. chciał nakładać na Japonię, a potem na Niemcy za eksport samochodów do USA, wreszcie na Chiny. Trump wydaje się autentycznie przekonany, że cała światowa gospodarka może zostać zredukowana do bilateralnych stosunków handlowych, a wszelkie niedociągnięcia w bilansie da się wyrównać.

Podobnie jest z każdą instytucją wielostronną: NATO krytykował jeszcze przed rozpadem Związku Radzieckiego, Unii Europejskiej nienawidzi za sztywne ramy prawne, z kolei ONZ uważa za zbędną. Liczy się projekcja siły, schlebianie mu przez

FOT. FRANCIS CHUNG/POLITICO/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 5aa09ba18e

możliwie największą liczbę polityków oraz osobisty zarobek.

Właśnie te komponenty widać w niemal każdej jego interwencji w politykę zagraniczną. Operacja w Wenezueli tak bardzo mu się spodobała, że jeszcze trzy tygodnie później chwalił się nią na Forum Ekonomicznym w Davos. Cieszył się też, że wielu dziękowało mu za usunięcie Madura ze stanowiska. No i oczywiście zarobił – choć nie wiadomo jeszcze ile. Pierwszą aukcję wenezuelskiej ropy wygrała zarejestrowana w Genewie firma Vitol, której jeden z głównych dyrektorów, John Addison, był darczyńcą Trumpa w kampanii wyborczej.

Jednocześnie, jak ujawnił portal Semafor, opiewająca na kwotę pół miliarda dolarów transakcja nie została w pełni rozliczona w USA. Przychody z aukcji zdeponowano bowiem na koncie zarejestrowanym w Katarze, a nie w Stanach Zjednoczonych. Nie wiadomo, czy wrócą kiedyś za ocean ani kto faktycznie sprawuje nad nimi kontrolę.

Z Grenlandią było dokładnie tak samo. Najpierw groźba zbrojnego przejęcia kontroli nad wyspą, potem cła dla europejskich sojuszników, sekretarz generalny NATO Mark Rutte obsypujący Trumpa komplementami, spadki indeksu S&P 500, skup obligacji, potem wycofanie się z groźby ceł, ogromny zysk i – powrót do normy.

Inaczej sytuacja wygląda za jego plecami, bo tam znajdują się politycy o znacznie bardziej spójnym ideologicznie światopoglądzie. Często ze sobą walczą, podzieleni na skłócone frakcje rywalizujące o uwagę prezydenta. Ponieważ jednak w bieżącej kadencji w Białym Domu ani w rządzie federalnym nie ma nikogo, kto by Trumpa powstrzymywał przed realizacją najgorszych i najbardziej niebezpiecznych planów, czasami wektory tych frakcji okazują się skierowane w tę samą stronę. Jeśli nagle interesy są zbieżne – spust zostaje pociągnięty.

Chodzi o łupy

Tak mniej więcej tłumaczyć należy atak na Caracas. Trump tego chciał, bo zobaczył szansę na zarobek i efektowną, skuteczną operację wojskową. Sekretarz stanu Marco Rubio, który miesiącami pieczołowicie urabiał grunt i swoją pozycję w sprawie Wenezueli, chciał udowodnić szefowi, że jest w stanie realizować jego cele, jak również wyplenić jedno z ostatnich ziaren komunizmu w Ameryce Łacińskiej. Syn kubańskich emigrantów, politycznie dojrzewający na południu Florydy, gdzie diaspora z Hawany zawsze wyznawała reaganowski światopogląd, być może jest niespecjalnie aktywnym, wręcz leniwym szefem departamentu stanu, ale ideologicznego ognia mu nie brakuje.

Trump nie gra z resztą świata w wyrafinowane szachy, tylko co chwilę zmienia zdanie, bo uważa, że może.

Kolejną postacią, która odegrała tu rolę, był Pete Hegseth, sekretarz obrony czy raczej wojny, nieustannie walczący o przetrwanie. W Waszyngtonie tajemnicą poliszynela jest jego zadawniona niekompetencja. W dodatku do pracy w Pentagonie zrekrutował ludzi podobnych sobie. Dlatego resort jest de facto ręcznie sterowany przez wiceprezydenta J.D. Vance'a, który wysłał tam swoich ludzi, na czele z własnym doradcą ds. bezpieczeństwa Andym Bakerem. Hegseth wystąpił w Mar-a-Lago właściwie tylko po to, by skomplementować Trumpa, choć sprawiał wrażenie, jakby nie miał bladego pojęcia o szczegółach operacji wojskowej.

No i wreszcie Stephen Miller, nominalnie wiceszef personelu w Białym Domu, a praktycznie „sekretarz do spraw imperializmu", jak nazwał go w rozmowie ze mną jeden z byłych amerykańskich dyplomatów proszący o zachowanie anonimowości.

Miller Trumpem zafascynował się, zanim ten jeszcze wszedł do polityki. To on jest autorem polityki wzmacniania ICE, służby imigracyjnej atakującej już coraz częściej bez powodu każdego, kto nie jest biały i ma obcy akcent. Już w pierwszej kadencji Trumpa chciał przeprowadzić ofensywę militarną na kraje Ameryki Łacińskiej, ale ówczesny szef Pentagonu, gen. James Mattis, przekonywał go, że „nigdy nikt czegoś takiego nie zrobił i nawet nie powinien próbować". Co Millera tylko rozwścieczyło, bo jako klasyczny rewolucjonista, postrzegający swoją rolę w kategoriach dziejowych, nie będzie tolerował takich sformułowań. Po prostu nie wierzy w nie, co udowodnił 3 stycznia.

Stephen Miller, Żyd z pochodzenia, otwarcie fantazjuje na temat Ameryki czystej rasowo. Asha Rangappa, była agentka FBI, dzisiaj wykładowczyni Yale i autorka na platformie The Freedom Academy, powiedziała mi, że w praktyce oznaczałoby to deportację 40% obywateli USA. Na moje stwierdzenie, że to raczej niemożliwe, odbiła piłeczkę, mówiąc, żebym „nie starał się znaleźć logiki w celach politycznych tej administracji".

Po takiej konstatacji właściwie nie ma już o czym mówić. Argumenty Trumpa na temat Wenezueli nie mają większego sensu. Ameryka walczy z kryzysem narkotykowym, ale spowodowanym przez narkotyki syntetyczne, przychodzące z Meksyku, nie przez kokainę i heroinę z Wenezueli. Napędzanie rewolucji technologicznej ropą jest bez sensu w obliczu działań Chin, produkujących najwięcej na świecie prądu ze źródeł odnawialnych. Usuwając brutalnego dyktatora, ale pozostawiając na miejscu autorów represji, nie rozwiąże się problemu imigracji.

Chodzi więc tylko i wyłącznie o łupy. Skalpy, które poszczególni członkowie administracji przynoszą swojemu imperatorowi. Zapewne po to, by na koniec kadencji, gdy odechce mu się już, jak sam twierdzi, rządzić „krajem i światem", wskazał na swojego następcę właśnie tego, kto da mu największe lenno.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 5aa09ba18e

Zacieranie austriackiego profilu

Jak Austria radzi sobie z wcale nienowymi wyzwaniami? Muzułmańscy uczniowie w wiedeńskich szkołach obowiązkowych są już większością

Beata Dżon-Ozimek

EsRAP pyta: „Jakie reguły tu rządzą?". Rapują „Rozmowę o Wiedniu", a kończą słowami: „uczynimy Wiedeń lepszym". EsRAP to znany austriacki duet hiphopowy rodzeństwa Esry i Enesa Özmenów, dzieci tureckich gastarbeiterów. Dorastali w wielokulturowej Ottakring, 16. dzielnicy Wiednia. Są głosem ludzi z migrancką historią, drugim pokoleniem zaangażowanym społecznie, politycznie, protestującym i kontestującym. Śpiewają o dylematach tożsamości, wykluczeniu, rasizmie, miłości do miejsc, w tym o skomplikowanym uczuciu do Wiednia. Esra, o drapieżnym czasem wizerunku, jest także kobiecą twarzą nowoczesnego islamu.

Przeszło dziewięciomilionowa Austria z liczącą ponad 2 mln mieszkańców stolicą zmienia paradygmaty życia społecznego w obliczu nowych danych. Rządzi koalicja socjaldemokratów, ludowców i liberałów, miesza młodość i odwagę polityków z chrześcijańskim konserwatyzmem, tradycją socjaldemokratów i „czerwonego Wiednia". A mają co robić.

Ludowcy z ÖVP i ci z „bardzo prawej" strony, czyli wolnościowcy z FPÖ, grzmią o „straconym edukacyjnie pokoleniu", o katastrofie edukacyjnej, systemie na krawędzi. Chodzi m.in. o język niemiecki, którym w jednej z dzielnic Wiednia aż 72% uczniów szkół obowiązkowych nie posługuje się w codziennym życiu. Pierwsze i drugie pokolenia imigrantów nie znają go, nie używają na co dzień. Zdaniem części polityków przeszkadza to w rozwoju intelektualnym dzieci niemieckojęzycznych – jednocześnie rośnie liczba uczniów ze specjalnymi potrzebami językowymi. Wolnościowcy od lat chcą zakazu używania języka innego niż niemiecki w szkołach na przerwach czy w całodziennych przedszkolach dla dzieci imigrantów. Próbowali takie zapisy wprowadzić w krajach związkowych Górna i Dolna Austria. Bezskutecznie.

W 2020 r. w Austrii mieszkało 2,14 mln osób pochodzenia migracyjnego – 24,4% ogółu ludności. Ich odsetek w ciągu dziesięciu lat wzrósł o 5,9%. W 2024 r. było ich 2,509 mln – 27,8% ogółu ludności. Niemal 1,875 mln osób należy do tzw. pierwszego pokolenia – oni i ich rodzice urodzili się za granicą.

Największe grupy urodzonych za granicą to Syryjczycy (28 503 tys.), Ukraińcy (24 995 tys.), Niemcy (21 655 tys.), Rumuni (13 644 tys.) i Węgrzy (9924 tys.). Dane z początku 2025 r. pokazują trochę mniejszą liczbę – 1,855 mln cudzoziemców (dane za integrationsfonds.at).

41,2%, czyli najwięcej

W roku szkolnym 2023/2024 ok. 26% uczniów w całej Austrii posługiwało się językiem potocznym innym niż niemiecki. W Wiedniu to prawie połowa dzieci, dalej są kraj związkowy Vorarlberg – 25% i Salzburg – 21%. W zależności od rodzaju szkoły dane te się różnią, podobnie jak w dzielnicach: w najludniejszej i barwnej etnicznie Favoriten to 72% uczniów, podobnie w Ottakring i Simmering, gdzie 67% uczniów nie mówi po niemiecku. Bardziej nobliwe dzielnice stolicy, jak Josefstadt i Innere Stadt to ok. 22-25% dzieci niemówiących po niemiecku.

Do kwestii nieznajomości języka urzędowego obowiązującego w Austrii dochodzi kwestia religii wyznawanej przez uczniów i nauczanej w szkole. Tu dane pobudzają populistycznych polityków i medialnych awanturników, ale każą też realnie podejść do tych społecznych wyzwań – po raz pierwszy islam stanowi dominujące wyznanie religijne w szkołach. Według aktualnego raportu Austriackiego Funduszu Integracyjnego (ÖIF) rok szkolny 2024/2025 to istotny punkt zwrotny w składzie wyznaniowym uczniów w wiedeńskich publicznych szkołach obowiązkowych. Spośród ok. 112 600 uczniów szkół podstawowych, gimnazjów, szkół specjalnych i technicznych w Wiedniu 41,2% uczniów to wyznawcy islamu, wyprzedzają oni chrześcijan stanowiących 34,5% (17,5% katolików, 14,5% prawosławnych, 1,7% protestantów).

Fakt ten wielu niepokoi, stawia pytania o przyszłość miasta i kraju. Nie powinien jednak zaskakiwać – dane i proporcje zmieniały się od lat – tylko przez rok liczba muzułmańskich uczniów w Wiedniu wzrosła o prawie 2 punkty procentowe.

Publiczna edukacja austriacka staje przed problemem nazwanym w społecznym dyskursie „zacieraniem austriackiego profilu szkół", religijnie i językowo. Jeszcze pół wieku temu nie obawiano się obecności islamu w szkołach, owej austriackiej „osobliwości" w Europie, związanej ze statusem prawnego uznania islamu w 1912 r. Lekcje islamu są dostępne w Austrii od roku szkolnego 1982/1983. Badania pokazują, że młodzi muzułmanie w Wiedniu są nie tylko średnio znacznie bardziej religijni, ale też głoszą antysemityzm, wrogość wobec osób LGBTQ+ i odrzucanie równości mężczyzn i kobiet.

Bettina Emmerling z liberalnej partii NEOS, radna odpowiedzialna m.in. za integrację i edukację

eprasa.pl 5aa09ba18e

w stolicy mówi, że nikt w Wiedniu nie powinien opierać swojego stylu życia na fundamentalistycznej interpretacji tekstów religijnych, które są antykobiece, antymniejszościowe, antypaństwowe lub antydemokratyczne. Stąd konieczność wprowadzenia obowiązkowego wspólnego przedmiotu nauczania „Życie w demokracji", począwszy od szkoły podstawowej. „Nauczanie demokracji, wartości i etyki musi odbywać się na wspólnych podstawach", uważa Emmerling.

Historyczny krok w zakresie ochrony dziewcząt?

Tymczasem w parlamencie austriackim w listopadzie 2025 r. zagłosowano za zakazem noszenia przez dziewczęta chust wymaganych przez islam. Dotyczy to uczennic do 14. roku życia. Od tego momentu młodzież ma też prawo decydować, czy chce się uczyć religii, czy nie. Zakaz obowiązuje wyłącznie na terenie szkoły. Nie dotyczy wyjść, imprez plenerowych czy zajęć pozaszkolnych.

Większość parlamentarna stanęła za „ochroną młodych dziewcząt przed presją społeczną i zapewnieniem jednolitego traktowania we wszystkich szkołach". To desperacka próba ograniczania wpływu religii na życie młodych kobiet przynajmniej w szkołach, z których każda ma wypracować własne procedury do chwili wejścia w życie zapisów zakazujących noszenia chust w roku szkolnym 2026/2027. Od lutego br. rozpocznie się faza przejściowa – ma to być kampania informacyjna z wykorzystaniem danych naukowych, rozmowy z rodzicami, rodzinami i spotkania w szkołach. Łamanie zakazu grozi karą w wysokości od 150 do 800 euro. Niezapłacenie grzywny ma skutkować nawet dwoma tygodniami więzienia.

Ustawa została przyjęta zdecydowaną większością głosów. Wyjątkiem była partia Zielonych, której przedstawiciele obawiają się naruszania praw konstytucyjnych. Stawiają na utworzenie szkolnych służb socjalnych i psychologicznych na wypadek konfliktów, których w szkołach jest wiele i które – w związku z zakazem zakrywania dziewczęcych głów – mogą eskalować.



Protest przeciwko zakazowi noszenia chust przez kobiety w Austrii, Wiedeń, 4 lutego 2017 r.

FPÖ przedstawiła „dziewięciopunktowy plan na rzecz szkoły wolnej od przemocy" i domaga się zakazu noszenia chust oraz zakazu „zasłaniania twarzy" w publicznych szkołach obowiązkowo dla „wszystkich pracowników szkół, zwłaszcza nauczycielek". Minister edukacji Christoph Wiederkehr z partii NEOS chce, by placówki edukacyjne były bezpieczną przestrzenią rozwoju osobistego, choć konflikty i przemoc w szkołach są codziennością, skutkują zawieszeniami uczniów, odcięciem dróg edukacji i pokazują bezradność dorosłych, demaskując brak skutecznej strategii. 35-letni Wiederkehr, który powołał w 2021 r. Wiedeńską Radę Integracji, odważnie proponuje zmianę paradygmatu – nie kary, ale pomoc, ponowne włączanie uczniów do społeczności klas, koniecznie programy wsparcia dla chłopców. Do tego wzmocnienie poczucia samodzielności dziewcząt, ochrona przed narzuconymi schematami płciowymi w związku z religią. Ricarda Berger z FPÖ uważa, że potrzebna jest ustawa zakazująca islamu politycznego, a nowy zakaz nie zakończy „ucisku dziewcząt i kobiet", może być jedynie „pierwszym krokiem" w tym kierunku.

W jednej z dzielnic Wiednia aż 72% uczniów szkół obowiązkowych nie posługuje się w codziennym życiu językiem niemieckim.

Ministra ds. integracji, rodziny i UE z konserwatywnych ludowców, 31-letnia Claudia Plakolm, mówi jednym głosem z liberałami i zakaz noszenia chust w szkołach uznaje za „historyczny krok w zakresie ochrony dziewcząt". Uważa, że powinny móc dorastać bez narzuconych ról płciowych, bez poczucia, że ich ciała są czymś złym i należy je zakrywać. Zapowiada „zero tolerancji" wobec każdego, kto będzie utrudniać rozwój dziewczynek, a w przypadku nacisków i gróźb wobec uczennic, czego można oczekiwać, reakcją będzie „wczesna interwencja", po niej – „faza sankcji".

FOT. ABACA PRESS/FORUM

eprasa.pl 5aa09ba18e

Nico Marchetti z tej samej partii mówi, że równowaga między wolnością religijną a ochroną praw dzieci musi przechylić się na korzyść praw dzieci, a ekstremizm nie ma wstępu do szkół.

Socjaldemokraci z SPÖ akcentują znaczenie „wzmacniania pozycji dziewcząt i wdrażania programów dla chłopców", aby pomóc im w prowadzeniu udanego życia i ochronić młodych ludzi przed „wczesnym końcem kariery". Zwłaszcza że aż 9% osób od 15. do 24. roku życia nie uczy się ani nie pracuje (kwalifikuje się do grupy NEET, czyli Not in Education, Employment, or Training). Wśród młodych ze środowisk migracyjnych stanowią oni 13%, prawie dwa razy więcej niż wśród rówieśników bez pochodzenia migracyjnego. Najbardziej dotknięci NEET są młodzi ludzie z pierwszego pokolenia imigrantów – jest ich 14%.

O dusze dzieci od trzech dekad, pod przykrywką edukacji antyuzależnieniowej „Say No to Drugs", dobija się też kościół scjentologiczny, międzynarodowa sekta nieuznawana w Austrii za wspólnotę religijną. Scjentolodzy, oskarżani m.in. o zniewalanie i wykorzystywanie finansowe członków swojego kościoła, prowadzą wykłady i warsztaty w szkołach w Wiedniu i okolicach, edukację antynarkotykową w klubie Box-Union Favoriten oraz stoiska informacyjne na imprezach publicznych.

Uczniowie austriackich szkół, zarówno dziewczynki, jak i chłopcy, oprócz indywidualnych problemów związanych choćby z okresem dojrzewania, zagrożeniem hejtem czy samą nauką, mają także te wynikające z różnic kulturowych, oczekiwań w szkole i w domach. A to bardzo dużo do udźwignięcia.

Uważam to za szokujące

Tymczasem przeciętny Austriak mówi: „41,2% – przepraszam, ale uważam to za szokujące. Islam stanowi zatem zdecydowaną większość w naszych szkołach. Zasadniczo nie ma znaczenia, kto jaką religię praktykuje w czasie wolnym. Ważne jest, kiedy przekonania religijne wpływają na opinię publiczną, demokrację i prawa kobiet – i wyraźnie to widać. Obowiązkowy przedmiot »Życie w demokracji« jest zatem mile widziany!".

Znajoma socjaldemokratka mówi, że to zabawne, jak wiele osób martwi się tym, że muzułmańskie dzieci mogą w przyszłości zagrozić demokracji, a jednocześnie głosują na takie partie, jak FPÖ, które z pewnością „zniszczą naszą demokrację, gdy nadarzy się okazja".

„W Ameryce widać bardzo wyraźnie, jak szybko wszystko może się dziać. Tam też wielu ludzi w to nie wierzyło, a teraz, nawet jako obywatel USA, musisz się obawiać, że trafisz do jakiegoś lochu bez procesu. W dyskusjach w mediach społecznościowych czytam, że jeśli te 41,2% rzeczywiście żyje tą wiarą, a przede wszystkim uważa ją za autorytet w »życiu świeckim«, to wszystkie dzwonki alarmowe powinny się włączyć i pilnie potrzebne są działania. (...) Jeśli rodzice rzeczywiście praktykują tę wiarę i odpowiednio socjalizują dzieci, największy problem wydaje się wynikać ze sprzeczności między »nauczaniem szkolnym« a wpływem domu, ponieważ dzieci będą bardziej słuchać rodziców niż szkoły". Albo że „dobre, wspólne, kosmopolityczne, przyszłościowe i skuteczne zajęcia z etyki dla szystkich uczniów są już dawno potrzebne" i „każdy, kto myśli, że 41% populacji Wiednia wyznania muzułmańskiego nie doprowadzi do zmiany dominującej kultury w ciągu wielu lat, jest ślepy", więc „nie pozostaje nic innego, jak podtrzymywać takie wartości jak równość, demokracja, akceptacja osób LGBTQ+, nauka". „Czyli w końcu przyznamy, że mamy ogromny problem?". A zaraz obok, że to nic dziwnego, że w tej napiętej atmosferze w umysłach współobywateli rodzi się tyle negatywnych i przerażających obrazów.

Młodych z migranckimi historiami od 20 lat pokazuje bezpłatny magazyn „Biber", założony w 2006 r. przez Simona Kravagnę, Rudiego Kobzę i Andreasa Wiesmüllera. Oswaja, oddaje imigrantom głos, tłumaczy, pyta muzułmanki, chrześcijan i koptów. „Biber" wychował nowe pokolenie „migranckich" dziennikarzy, w tym zastępczynię redaktora naczelnego w najstarszej wiedeńskiej (tylko internetowej już) gazecie „Wiener Zeitung", pochodzącą z Polski redaktor Aleksandrę Tulej.

„Biber", dziś półrocznik, ukazuje się w ok. 100 tys. egzemplarzy i trochę, jak duet EsRAP, łagodzi lęki przed migrantami i odebraniem Austrii jej „austriackości" – cokolwiek to oznacza.

Imigrant z Nigerii, młody inżynier, mówi w „Biberze", że trzeba inwestować w język: „Bez możliwości porozumienia czujemy się wykluczeni". ÖIF zapewnia wszystkim imigrantom – niezależnie od pozwolenia na pobyt – kompleksowe kursy języka niemieckiego online i materiały do nauki za pośrednictwem ogólnodostępnego portalu językowego, największej bezpłatnej internetowej platformy do nauki niemieckiego w obszarze niemieckojęzycznym. To wielka wartość.

Publiczna edukacja austriacka staje przed problemem nazwanym w społecznym dyskursie „zacieraniem austriackiego profilu szkół".

W najnowszym numerze „Biber" publikuje studia Instytutu Gallupa (IG) na temat wartości wynikającej z wielokulturowości. Dyrektor operacyjna w austriackim IG Andrea Frönaschütz wyjaśnia: „Młodzi ludzie pochodzenia migranckiego żyją często w dwóch lub nawet więcej kulturach. Codziennie balansują między najróżniejszymi oczekiwaniami i uwarunkowaniami społecznymi. To czyni ich odpornymi, kreatywnymi i gotowymi do dostosowywania się. Kto da im sposobność wykazania ich talentów, wzmocni nasze społeczeństwo".

Czy zatem mamy tylko bać się zmian społecznych, które w oczywisty sposób zachodzą, czy jednak przyjąć je do wiadomości i wziąć z nich to, co najlepsze?

Beata Dżon-Ozimek

eprasa.pl 5aa09ba18e

Turcja trzy lata po trzęsieniu ziemi

Miasta miały być odbudowane w ciągu roku, tymczasem wielu ludzi wciąż mieszka w kontenerach

Marcelina Szumer-Brysz
Korespondencja z Turcji



Normalne życie w miasteczkach kontenerowych.

Kiedy ziemia zaczęła się trząść, Elena Emektaş była sama w akademiku. Gdy obok waliły się budynki, spakowała się w jedną walizkę i wyszła na dwór. – To zabrzmi dziwnie, ale cieszę się, że nikogo wtedy ze mną nie było. Ominął mnie strach o bliskich, panika i krzyki. Po prostu zadziałałam automatycznie. Wzięłam najpotrzebniejsze rzeczy i wyszłam.

Elena nie znała wtedy jeszcze skali katastrofy i nie wiedziała, że miasto, w którym studiuje, Antakya (Hatay), zostało niemal zrównane z ziemią. Dziś uważa się za szczęściarę. Przeżyła katastrofę, podobnie jak jej rodzina w nieodległym İskenderunie. – Nie jeździły żadne autobusy i bałam się, że nie dotrę do domu, ale na szczęście uczelniany kierowca też jechał do İskenderunu i zabrał mnie. Gdy stanęłam przed rodzicami kilka godzin później, po prostu nie uwierzyli – wspomina.

Katastrofa na stulecie

To wszystko działo się trzy lata temu, 6 lutego 2023 r., gdy południową Turcję nawiedziło jedno z największych trzęsień ziemi w historii kraju. Wstrząsów było kilka, epicentrum największego, o magnitudzie 7,8 znajdowało się w Kahramanmaraş. Łącznie skutkami katastrofy zostało dotkniętych ponad 11 prowincji. Jeszcze trwała akcja ratunkowa, w którą zaangażowani byli strażacy i grupy poszukiwawcze z wielu krajów, w tym z Polski, a Turcy już oskarżali rząd i służby o opieszałość. Do wielu miejscowości pomoc docierała z wielogodzinnym, a czasem wielodniowym opóźnieniem. Rozgorzała też dyskusja o tym, jak zagospodarowano pieniądze z pobieranego od 20 lat podatku od katastrof. Podatek ten, wprowadzony po tragicznym trzęsieniu z 1997 r., płacą obywatele. W zamyśle miał służyć m.in. przygotowaniu służb na kolejną katastrofę.

Gdy jedni grzebali zmarłych w powstałych naprędce mogiłach przy autostradach (na cmentarzach zabrakło miejsc), drudzy zastanawiali się, dlaczego prezydent dopiero po kilkudziesięciu godzinach pojawił się na miejscu katastrofy. Media nagłaśniały przekręty, jakich miał się dopuścić turecki Czerwony Półksiężyc, bo nie dla wszystkich starczyło namiotów, niektórzy po kilka dni koczowali na mrozie, zamieniając przystanki autobusowe w prowizoryczne schronienia. Wielu wzywało rząd do dymisji. Niektórzy komentatorzy uważali nawet, że kataklizm wpłynie na wynik wyścigu prezydenckiego, który toczył się akurat, gdy Turcja przygotowywała się do obchodów stulecia powstania republiki.

Prezydent Recep Tayyip Erdoğan zapewnił, że tureckie miasta zostaną odbudowane w ciągu roku. I faktycznie – jeszcze nie opadł kurz po trzęsieniu, a na budowy wjechały koparki i wyszli robotnicy. Choć naukowcy apelowali o rozsądek, mówiąc o zagrożeniu wstrząsami wtórnymi, budowy ruszyły. I trwają do tej pory.

Gdy kilka miesięcy po katastrofie odwiedziłam Hatay, po centrum miasta nie było śladu. Były za to tony gruzu, po którym codziennie chodzili ludzie z ocalałych mieszkań. Nikt, z kim wtedy rozmawiałam, nie wierzył w zapewnienia, że miasto zostanie odbudowane w ciągu roku. Niektóry twierdzili, że i za 50 lat nie wróci do normalności. Dziś w Hatay nie ma już gruzu. Krajobraz zdominowały dźwigi i sprzęt budowalny.

– Faktycznie sporo zbudowali, ale to nie takie proste – uważa Elena.

eprasa.pl 5aa09ba18e

– Odbudowa potrwa jeszcze bardzo długo. Nie jestem pewna, czy miasto kiedyś się podźwignie. Niektórzy ludzie wciąż mieszkają w osiedlach kontenerowych.

Wśród nich jest rodzina z pobliskiego Samandağ, której historia obiegła ostatnio tureckie media. Po trzech latach mieszkania w kontenerze doczekali się nie nowego domu, lecz pożaru tego prowizorycznego – wybuchł w połowie stycznia i kompletnie strawił kontener.

Gazeta „Evrensel" poinformowała, że tylko w prowincji Adıyaman w kontenerach wciąż mieszka prawie 14 tys. rodzin, czyli 46,5 tys. osób. Choć rząd chwali się przekazywaniem obywatelom kluczy do mieszkań, sytuacja nie jest tak różowa.

– W regionie İndere budowa 16 tys. domów wciąż jest w toku. Klucze faktycznie zostały przekazane, ale prace budowlane trwają. Występują braki w infrastrukturze, problemy z przyłączami gazu ziemnego, elektryczności i wody pitnej – mówił dziennikarzom Tuncay Kaya, sekretarz zarządu Związku Tureckich Izb Inżynierów i Architektów z Adıyaman. Dodaje, że wiele budów stanęło w martwym punkcie z powodu inflacji. – Problemem są płatności. Za mieszkania płaci się w czterech etapach. Po uzyskaniu pozwolenia na budowę, po wylaniu fundamentów, po zakończeniu stanu surowego i po oddaniu budynku do użytkowania. Gdy pieniądz traci na wartości, ludzi, którzy wpłacili pierwsze raty, nie stać na kolejne, więc budowa się zatrzymuje.

Mieszkaniowy sukces czy porażka

Bo mieszkania budowane przez rząd w ramach kilku programów nie są darmowe. Na te budowane przez TOKI – turecką administrację rozwoju mieszkalnictwa – można uzyskać nieoprocentowany kredyt do spłacenia w ciągu 18 lat. Niestety, nie każdy może sobie na niego pozwolić.

Z osiedlami TOKI, twierdzi Tuncay Kaya, jest jeszcze jeden problem. – W rejonie İndere zagospodarowano olbrzymi obszar, ale brakuje infrastruktury socjalnej – zauważa



Odbudowa kraju po trzęsieniu ziemi potrwa jeszcze wiele lat.

i dodaje, że po ostatnich opadach śniegu w mieście nie wiadomo było, kto ma odśnieżać teren nowego osiedla, bo jego status nie jest jeszcze jasny.

Zgoła inaczej sytuację przedstawiają urzędnicy. Jak czytam na stronie TOKI, w ciągu niespełna trzech lat w całym regionie wybudowano prawie 453 tys. domów i budynków użytku publicznego. Ministerstwo odpowiedzialne za programy odbudowy chwali się z kolei, że trwają też prace rekonstrukcyjne na historycznych placach i bazarach, które ucierpiały w trakcie trzęsienia, a nowe mieszkania powstały w 11 prowincjach, na 3,5 tys. placach budowy przy udziale 182 tys. architektów. Najwięcej budynków wzniesiono tam, gdzie zniszczenia były największe, w mieście Eleny.

Ale to nie w Hatay prezydent Recep Tayyip Erdoğan ma spędzić przypadającą 6 lutego rocznicę trzęsienia ziemi. Polityk, który obiecywał ofiarom kataklizmu ekspresową odbudowę i dziś zapewnia, że słowa dotrzymał, wybiera się do Osmaniye. Ma tam odebrać raport o postępie prac i „nakaże" – twierdzą tureckie gazety – jak najszybsze zrekompensowanie strat obywatelom, których domy zostały zniszczone. Ma też spotkać się z tymi, którzy już odebrali klucze, złożyć kondolencje rodzinom ofiar i wziąć udział w modlitwie w intencji poszkodownych.

Nie traćcie nadziei

Kondolencje, także od polityków, usłyszała ostatnio Ayten Tuncer. Kobieta po trzęsieniu pochowała matkę i ojca, ale nie mogła pochować siostry, której ciała nie odnaleziono. Jakiś czas temu Ayten odebrała telefon z prokuratury z prośbą o identyfikację zwłok. Na zdjęciu rozpoznała siostrę, jej tożsamość potwierdziły też badania DNA. Okazało się, że Nesrin Tuncer przez trzy lata spoczywała na cmentarzu dla osób niezidentyfikowanych w Toygarlı. W rozmowie z dziennikarzami Ayten Tuncer wyraziła radość, że siostra w końcu doczekała się nagrobka, ale wyznała też, że wraz z informacją o odnalezieniu jej ciała wrócił cały ból, który czuła 6 lutego. „Nie traćcie nadziei", zaapelowała jednak do tych wszystkich – a wciąż jest ich bardzo wielu – którzy do dziś nie wiedzą, co się stało z ich bliskimi. ■

Wiele budów stanęło w martwym punkcie z powodu inflacji.

FOT. AFP/EAST NEWS, ZUMAPRESS/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

eprasa.pl 5aa09ba18e

JACEK PAŁKIEWICZ Honorowym Obywatelem Miasta Ełk

Jacek Hałas



Jacek Pałkiewicz odebrał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Ełku z rąk prezydenta Tomasza Andrukiewicza.

12 stycznia Ełk stał się miejscem wydarzenia o szczególnym znaczeniu symbolicznym i kulturowym. Tytuł Honorowego Obywatela Miasta Ełku nadano Jackowi Pałkiewiczowi, wybitnemu podróżnikowi, odkrywcy, reporterowi i autorowi, którego życie i dorobek od dziesięcioleci wymykają się prostym definicjom.

Tomasz Andrukiewicz, od 20 lat prezydent Ełku, podkreślił, że to wyjątkowe wyróżnienie, przyznawane jest osobom o szczególnych zasługach, autorytecie i dorobku. – Ełk jest ogromnie dumny z Ciebie – mówił prezydent. – Z tego, że właśnie tu się wychowałeś, stąd wyruszyłeś w świat i że z Ełkiem nierozerwalnie splata się początek drogi, która zaprowadziła Cię do wielkich odkryć, i trwałego miejsca w historii światowej eksploracji. Twoje dokonania są dla nas wszystkich źródłem inspiracji i dowodem na to, że marzenia zrodzone nad Jeziorem Ełckim mogą zaprowadzić aż na krańce świata. Chcieliśmy, by uroczystość ta stała się symbolicznym zwieńczeniem obchodów 600-lecia lokacji Ełku, a jednocześnie pięknym akcentem w 30. rocznicę odkrycia przez Ciebie i Twój zespół źródeł Amazonki. Ten moment na długo pozostanie w naszej pamięci. Dziękuję za zaufanie i za to, że przyjąłeś to wyróżnienie z taką klasą, pokorą i życzliwością. Więź z Ełkiem jest dla nas powodem do dumy, a Twoje słowa – zobowiązaniem, by nadal pielęgnować wartości otwartości, odwagi i ciekawości świata.

Uroczystość zgromadziła przedstawicieli władz samorządowych, środowisk naukowych i kulturalnych, a także mieszkańców Ełku, dla których idea honorowego obywatelstwa nie jest jedynie formalnym tytułem, lecz wyrazem wspólnotowej dumy i świadomego wyboru autorytetów.

Jacek Pałkiewicz od lat pozostaje jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci polskiej eksploracji. Jego dokonania – od wypraw przez pustynie, dżungle i obszary polarne, po udział w ustaleniu źródeł Amazonki, uznawany za jedno z ostatnich wielkich odkryć geograficznych XX w. – wpisują się na trwałe w historię światowej geografii. Jednak to, co szczególnie wybrzmiewało podczas ełckiej uroczystości, to nie tylko skala jego osiągnięć, lecz także ich sens: konsekwentne przekraczanie granic, zarówno fizycznych, jak i mentalnych.

Pałkiewicz od zawsze łączył rolę odkrywcy z rolą uważnego obserwatora i reportera. Jego wyprawy nie były jedynie sportowym wyczynem czy spektakularną przygodą, lecz próbą zrozumienia świata w jego różnorodności i złożoności. Dzięki książkom i reportażom potrafił przybliżyć czytelnikom odległe kultury, krajobrazy i historie ludzi żyjących na obrzeżach cywilizacji, czyniąc z eksploracji akt dialogu, a nie dominacji.

W tym kontekście tytuł Honorowego Obywatela Miasta Ełku nabiera szczególnej wymowy. Jest on nie tylko formą uhonorowania jednostkowego dorobku, ale także wyrazem wartości, z którymi miasto pragnie się utożsamiać: otwartości na świat, ciekawości poznawczej, odwagi w myśleniu i szacunku dla wiedzy. Ełk, miasto położone na styku kultur i historii, poprzez ten gest symbolicznie wpisuje się w szerszą mapę odniesień intelektualnych i moralnych.

W swoim wystąpieniu Jacek Pałkiewicz podkreślał, że przyjmuje wyróżnienie z głębokim wzruszeniem, traktując je nie tylko jako nagrodę, lecz także jako zobowiązanie. To słowo – zobowiązanie – powracało zresztą wielokrotnie w trakcie uroczystości. Honorowe obywatelstwo nie zamyka bowiem drogi, lecz ją otwiera: ku dalszemu dialogowi, inspiracji i obecności autorytetów w przestrzeni publicznej.

W osobie Jacka Pałkiewicza Ełk uhonorował człowieka drogi – nieustannie w ruchu, ale zakorzenionego w wartościach, które pozostają niezmienne niezależnie od szerokości geograficznej.

Wydarzenie, sfilmowane przez ekipę Łukasza Weigta, reżyser Julię Popielską i operatora kamery Piotra Krupę, zostanie włączone do 90-minutowego filmu dokumentalnego o ostatnim wiktoriańskim eksploratorze, który w swojej wielobarwnej podróży życia widział dużo więcej niż prekursor epoki odkryć geograficznych Marco Polo. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5aa09ba18e



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Od groteski przez makabreskę do tragedii

Kiedy Hegel zapisywał słynne zdanie „Sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu”, dawał do zrozumienia, że każdą epokę zaczyna się rozumieć dopiero po jej schyłku, upadku, końcu. Pytanie: „Gdzie jest dzisiaj nasza Sowa Minerwy?” nastręcza oczywiście kłopotów miłośnikom zero-jedynkowych odpowiedzi na trudne pytania, ale pozwala także mieć nadzieję, że wiemy więcej, niż skłonni jesteśmy przyznać.

Nasza epoka, liczona od kapitulacji hitlerowskich Niemiec, spuentowana narodzinami nowego porządku światowego opartego na Karcie Narodów Zjednoczonych i powstaniu ONZ, właśnie dogorywa lub zmarła. Poniższe słowa preambuły już nie odnoszą się do rzeczywistości, w której dość nagle, aczkolwiek spodziewanie, się znaleźliśmy: „MY, LUDY NARODÓW ZJEDNOCZONYCH, ZDECYDOWANE uchronić przyszłe pokolenia od klęski wojny, która dwukrotnie za naszego życia wyrządziła ludzkości niewypowiedziane cierpienia, przywrócić wiarę w podstawowe prawa człowieka, godność i wartość jednostki, równość praw mężczyzn i kobiet oraz narodów wielkich i małych, stworzyć warunki umożliwiające utrzymanie sprawiedliwości i poszanowanie zobowiązań wynikających z umów międzynarodowych i innych źródeł prawa międzynarodowego, popierać postęp społeczny i poprawę warunków życia w większej wolności, I W TYM CELU postępować tolerancyjnie i żyć ze sobą w pokoju jak dobrzy sąsiedzi, zjednoczyć swe siły dla utrzymania międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa, zapewnić przez przyjęcie zasad i ustalenie metod, aby siła zbrojna używana była wyłącznie we wspólnym interesie, korzystać z organizacji międzynarodowych w celu popierania gospodarczego i społecznego postępu wszystkich narodów, POSTANOWILIŚMY ZJEDNOCZYĆ NASZE WYSIŁKI DLA WYPEŁNIENIA TYCH ZADAŃ (…) i niniejszym tworzą organizację międzynarodową pod nazwą »Organizacja Narodów Zjednoczonych«”.

Pewnie śmiesznie i dość felietonowo byłoby napisać parodię tego tekstu na modłę Rady Pokoju (czyli realnie Wojny, wyzysku, ludobójstwa), ale szkoda wysiłku. Podczas spotkania w Davos chyba ostatecznie rozsypał się dawny ład, do wielu wreszcie dotarło, że Trump nie jest jakimś wypadkiem przy pracy demokracji, jest kwintesencją i spełnieniem oczekiwań kapitalizmu w jego najgorszym wydaniu, choć może być jeszcze gorzej. Z racji niedomagań intelektualno-umysłowych chłop wali kawę na ławę, czy ma to sens, czy nie, czy i jakie ma konsekwencje, czy brzmi to potwornie, czy tylko brutalnie. Próby dopatrywania się czegoś innego, że tylko bogate, hegemoniczne USA są wyznacznikiem wszystkich posunięć politycznych władz i wojska (deep state – mroki przeszłości myślenia życzeniowego), są bez sensu. I że realnie zyska na tym sam Trump oraz jego rodzina – konkretnie i szybko. Orwell nie tyle przewraca się w grobie, ile z niego wylatuje na Marsa razem z Muskiem.

Na wielu największe wrażenie wywarło wystąpienie premiera Kanady Marka Carneya, który powiedział bez ogródek: „Wiedzieliśmy, że historia opartego na międzynarodowych zasadach porządku świata jest częściowo fałszywa, że najsilniejsi zwalniają się z nich, gdy jest to dla nich wygodne, że zasady handlowe są egzekwowane asymetrycznie. I wiedzieliśmy, że prawo międzynarodowe stosuje się z różną surowością w zależności od tożsamości oskarżonego lub ofiary. (…) Ta fikcja była użyteczna, a amerykańska hegemonia w szczególności pomogła zapewnić dobra publiczne, otwarte szlaki morskie, stabilny system finansowy, bezpieczeństwo zbiorowe i wsparcie dla ram rozwiązywania sporów. Ta umowa już nie działa. Mówiąc wprost, jesteśmy w trakcie przełomu, a nie transformacji”.

I dalej konsekwentnie: „Ale bądźmy trzeźwi i spójrzmy, dokąd to prowadzi. Świat fortec będzie biedniejszy, bardziej kruchy i mniej zrównoważony, a jest jeszcze jedna prawda – kontynuował Carney. – Jeśli wielkie mocarstwa porzucą nawet pozory zasad i wartości na rzecz nieskrępowanego dążenia do swojej potęgi i interesów, korzyści z transakcjonizmu staną się trudniejsze do powtórzenia. (…) Hegemoni nie mogą ciągle monetyzować swoich relacji. Sojusznicy będą dywersyfikować swoje działania, aby zabezpieczyć się przed niepewnością. Będą kupować ubezpieczenia, zwiększać opcje, aby odbudować suwerenność – suwerenność, która kiedyś opierała się na zasadach, ale będzie coraz bardziej zakorzeniona w zdolności do przeciwstawiania się presji”.

Na ile Europa podpisze się pod tą diagnozą? Trudno powiedzieć, choć osobista impertynencja Trumpa może odegrać jakąś rolę. Polski prezydent chętnie wtuliłby się w ramiona Pomarańczowego Potwora, a zrozumienie wywodu Kanadyjczyka chyba jednak Nawrockiego zbytnio przerasta. Tę nową rzeczywistość trzeba będzie poukładać na nowo. Czy na sprawiedliwszą niż pod skrzydłami amerykańskiego hegemona? Warto na to liczyć i warto o to się upominać. Dobranoc, Sowo Minerwy. Zanim nasi specjaliści od realpolitik zaczną nam tłumaczyć korzyści z podlizywania się Amerykanom. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5aa09ba18e

OKRĄGŁY STÓŁ
spojrzenie po latach

Zbliża się rocznica rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu (6 lutego 1989 r.). Jego znaczenie jest coraz częściej podważane i deprecjonowane przez prawicę, z prezydentem Nawrockim na czele. Warto więc przypomnieć dwa teksty naszych felietonistów (ukazały się w „Przeglądzie" 6/2019). Podkreślają one wagę i doniosłość, nie tylko dla Polski, tego historycznego wydarzenia.

Bronisław Łagowski

Bez sentymentu

Wybory 4 czerwca rozstrzygnęły problem władzy, ale nie problem ustroju. Ten został rozstrzygnięty przed wyborami i przed Okrągłym Stołem.

Ocena Okrągłego Stołu zależy od odległości, z jakiej się patrzy na to wydarzenie. Oglądana z zachodniej zagranicy ugoda między wrogimi obozami, z których jeden był uzbrojony, a drugi miał oparcie w społeczeństwie, jawi się jako akt politycznej mądrości. Nieczęsto zdarza się pokojowe rozwiązanie tak zapiekłego konfliktu, mającego przyczyny aktualne, a także zastarzałe, nagromadzone przez 40 lat rządów, którym brakowało demokratycznej legitymizacji. Oglądany z bliska, z polskiej perspektywy, Okrągły Stół już tak jednoznacznie oceniany być nie może.

Strona solidarnościowa nie dawała pełnej miary swojej nienawiści z powodu strachu, że panująca jeszcze władza może nie być tak słaba, jak się wydawało, a gdyby taka była, to trzeba pamiętać, że nawet słabe stworzenia przyparte do muru znajdują w sobie niespodziewaną energię i mogą być niebezpieczne. Emocje, z jakimi strona solidarnościowa przystępowała do ugody, to były nienawiść i strach. O ile wstyd przyznać się do strachu, o tyle obawa, że „komuniści" mogą nas oszukać, była wyrażana cały czas. Pełną miarę swojej nienawiści strona solidarnościowa zaczęła dawać, gdy już nie było kogo się bać. I nie myślmy, że ta nienawiść do byłych przeciwników i ich symboli wyczerpuje się na naszych oczach. To potrwa, dopóki solidarnościowa formacja będzie panować nad Polską. Antykomunizm bez komunizmu, fantasmagoryczna walka z Polską Ludową i przeniesienie antysowietyzmu na prawosławną Rosję to główne treści „mitu założycielskiego" obozu solidarnościowego.

Pouczam „patriotów" i takiego samego rodu „liberałów": jeśli dacie sobie wyperswadować tę nienawiść, to upadniecie wskutek braku wewnętrznego spoiwa.

Z jakimi przekonaniami przystąpili do Okrągłego Stołu reprezentanci władzy? W przeważającej mierze byli to ludzie poczciwi, którzy nie wiedzieli, jakie mają przekonania. Skłaniali się do poglądu, że rację mają przeciwnicy, a nie oni. Racja jest tam, gdzie stoi klasa robotnicza. Skąd czerpali pojęcia polityczne? Przecież nie ze swoich pustych gazet i czasopism. Nie docenia się faktu, że najciekawszą lekturą członków aparatu były drukowane nasłuchy Wolnej Europy, a najambitniejszą lekturą paryska „Kultura", w której znajdowali teksty dobre lub złe, ale zawsze polemiczne. Krótko mówiąc, obóz partyjny był – przy najlepszej woli – intelektualnie całkowicie bezradny. Ale, przyznaję, chcieli dobrze. Stanęli przed ostrymi i pilnymi problemami: jak zmienić ustrój, który w obecnej postaci istnieć nie może i nie powinien, i jak sobie poradzić z Solidarnością, której żadna zmiana ustroju nie zadowoli, jeśli nie ona, lecz kto inny obejmie władzę.

Komunizm (także w wersji realnego socjalizmu) polega na zniesieniu gospodarki rynkowej. Jeżeli przywraca się własność środków produkcji i wolność gospodarczą, to tym samym znosi się komunizm. To zostało dokonane przez rząd Rakowskiego i Wilczka, zanim powołano Okrągły Stół. Solidarności to, rzecz jasna, nie zadowoliło i Jaruzelski miał z nią kłopot taki jak poprzednio. Przy Okrągłym Stole nie rozważano, jaki ustrój ma w Polsce panować: komunizm czy kapitalizm, ponieważ ta kwestia była już rozstrzygnięta. Chodziło o „niekonfrontacyjne" podzielenie się władzą polityczną. Ogłoszenie wolnych wyborów już w samym

eprasa.pl 5aa09ba18e



Obrady Okrągłego Stołu, Warszawa 16 marca 1989 r.

założeniu rozstrzygało, że strona partyjno-rządowa je przegra, nie spotkałem człowieka, który by w prywatnej rozmowie twierdził, że będzie inaczej. Ale wybory nie z tego powodu nie były w pełni demokratyczne, że z założenia przesądzały, iż wygra je Solidarność, a druga strona je przegra. Wybory były w pewnym sensie oszukańcze, ponieważ zmowa okrągłostołowa nie dopuściła do nich 40%, a może tylko jednej trzeciej – to też dużo – elektoratu. Społeczeństwu nie dano czasu na zorganizowanie się w stronnictwa i ogłoszenie swoich programów. Na stosunkach wewnętrznych w Polsce nadal ciąży ten fakt, że ekipa Jaruzelskiego nie dopuściła do pluralizmu politycznego, gdy można było to zrobić, a później uległa Solidarności, która nie chciała mieć współzawodników w obozie „antykomunistycznym" i twardo swoją wolę egzekwowała. Dopuszczenie do udziału w wyborach innych ugrupowań Solidarność uznałaby za dywersję przeciw sobie. Za taką akcję dywersyjną uznała słabe próby Stronnictwa Pracy zorganizowania się i wystąpienia z własną listą. Cenzura nie pozwalała pisać o tym stronnictwie.

Adam Schaff, który może nie był wielkim filozofem, ale nieźle orientował się w stosunkach politycznych, podsuwał Jaruzelskiemu myśl, że partia (z której został wyrzucony) powinna podzielić się władzą, ale nie z Solidarnością, broń Boże, w której widział zarodki tego, co dziś mamy, lecz z chadecją. Polska terminologia polityczna jest fantastycznie nieprecyzyjna i nie wiadomo dokładnie, co znaczy „chadecja". Jeden z redaktorów „Tygodnika Powszechnego" (nie Turowicz) powiedział mi: „Gdyby władzę miała przejąć chadecja, to ja już wolę PZPR". Był to człowiek, którego moglibyśmy widzieć w grupie kierowniczej chadecji. Chadecja nie mogłaby zastąpić Solidarności w roli głównego rozmówcy PZPR, ale mogłaby dać głos tej części społeczeństwa, którą partia i Solidarność zgodnie skazały na polityczny niebyt.

Wybory 4 czerwca rozstrzygnęły problem władzy, ale nie problem ustroju. Ten został rozstrzygnięty przed wyborami i przed Okrągłym Stołem.

Nie dochodzi się do demokracji drogą wyborów. Jeśli wybory się ogłasza, to znaczy, że demokracja już jest. Polityka byłaby piękna, gdyby za pomocą wyborów można było obalić totalitaryzm. Ten wyborów nie ogłasza. Wszystko można sfałszować, pieniądze, wino i na co jeszcze padnie wzrok fałszerza. W krajach poradzieckich głosy liczą dokładnie, fałszują w inny sposób: nie pozwalając części społeczeństwa wyłonić swoich reprezentantów. Takie były wybory urządzone przez Okrągły Stół. Skutki cierpimy nadal.

Przy Okrągłym Stole nie rozważano, jaki ustrój ma panować: ta kwestia już była rozstrzygnięta. Chodziło o „niekonfrontacyjne" podzielenie się władzą.

FOT. SZULECKI WITOLD JAROSŁAW/EAST NEWS

eprasa.pl 5aa09ba18e

Okrągły Stół? Jaki Okrągły Stół?

O tym, że transformacja jest wspólnym dziełem obozu solidarnościowego i lewicy, się nie mówi

Jan Widacki

Przypomnijmy w największym skrócie najważniejsze wydarzenia lata 1980 r. Strajki zapoczątkowane na Wybrzeżu rozlały się po całym kraju. Przerażenie władzy było ogromne. Z jednej strony, wystraszyła się własnych obywateli, z drugiej – bała się „bratniej pomocy" innych państw Układu Warszawskiego z ZSRR na czele. Chcąc złapać oddech, podpisano porozumienia ze strajkującymi: w Gdańsku, Szczecinie, Jastrzębiu-Zdroju, a także z rolnikami w Ustrzykach i Rzeszowie. Dotyczyły one postulatów strajkujących. Większość miała charakter ekonomiczny i była skrajnie nierealistyczna, a więc niewykonalna. Zgodzono się np. na „podniesienie zasadniczego uposażenia każdego pracownika o 2 tys. zł na miesiąc", „zagwarantowanie automatycznego wzrostu płac równolegle do wzrostu cen i spadku wartości pieniądza", „obniżenie wieku emerytalnego dla kobiet do 55 lat, a dla mężczyzn do 60", „skrócenie czasu oczekiwania na mieszkanie".

Godząc się na te postulaty, a równocześnie na postulaty z pozoru niepolityczne, takie jak „akceptacja niezależnych od partii wolnych związków zawodowych" czy „zagwarantowanie prawa do strajku", przy równoczesnym poszanowaniu konstytucji PRL (tej z 1952 r.), gwarantującej formalnie m.in. wolność słowa i druku, władza zastawiła na siebie pułapkę. Społeczeństwo dostało instrumenty walki o spełnienie postulatów, które były nie do zrealizowania. Nowo powstały związek zawodowy Solidarność wkrótce zrzeszył ponad 10 mln ludzi. Społeczeństwo poczuło swoją siłę. Władza znalazła się na straconej pozycji. Korzystając z wąsko uchylonych drzwi do wolności, społeczeństwo zaczęło zgłaszać coraz śmielsze postulaty, także natury ściśle politycznej. Coraz powszechniej, choć zrazu ostrożnie, kwestionowano panujący ustrój (słynne „socjalizm tak – wypaczenia nie" Lecha Wałęsy), podległość ZSRR, kierowniczą rolę PZPR.

Stół i jego następstwa to największy sukces Polaków od stuleci. Wspólne osiągnięcie obydwu stron.

Niewydolna już wcześniej gospodarka centralnie sterowana, oparta na wiecznych niedoborach, dobijana była ciągłymi strajkami, podejmowanymi z lada powodu. Równocześnie miliony Polaków zaczęły śnić sen o wolności. Sen. Bo rzeczywistość była taka, jaka była. Żył jeszcze Breżniew i funkcjonowała jego doktryna, istniał Układ Warszawski. W Polsce stacjonowała Północna Grupa Wojsk Armii Radzieckiej. Wszyscy nasi sąsiedzi: Związek Radziecki, Czechosłowacja i Niemiecka Republika Demokratyczna, patrzyli z niepokojem na rewolucję Solidarności, gotowi czynnie ją przerwać. Waliła się gospodarka.

W tej sytuacji gen. Wojciech Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Czy uratowało to nas przed radziecką interwencją, czy nie, o to jeszcze przez dziesięciolecia będą się spierać historycy. Jaruzelski był pewien, że gdyby nie wprowadził stanu wojennego, interwencja by nastąpiła. Pamiętamy stan wojenny jako okres internowania setek działaczy Solidarności, aresztowań wielu jej liderów, manifestacji brutalnie rozpędzanych przez ZOMO, węszącej wszędzie bezpieki. Ale, o czym pamiętamy już słabiej albo zgoła nie pamiętamy wcale, był to także okres prób reformy państwa (tak!). W 1982 r. utworzono Trybunał Konstytucyjny i Trybunał Stanu. W 1983 r. weszła w życie ustawa, która po raz pierwszy w pewnym stopniu regulowała kompetencje Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa, a w 1987 r. ustanowiono urząd Rzecznika Praw Obywatelskich. Równocześnie pogłębiał się kryzys ekonomiczny. Gospodarka była w stanie ruiny. Społeczeństwo, które przez krótki czas przed stanem wojennym zasmakowało wolności, tym trudniej znosiło teraz jego represje. Rosła frustracja. Fala strajków w 1988 r. nie tylko nie obaliła władzy, ale również spotkała się ze stosunkowo słabym poparciem zmęczonego już społeczeństwa. Jednak właśnie te strajki przekonały przywódców Solidarności, że w ten sposób władzy nie obalą. Wśród wielu przedstawicieli władzy, głównie młodszego pokolenia, rosło zaś przekonanie, że tak dalej rządzić się nie da.

Z tego zrodziła się idea Okrągłego Stołu. Zdecydowano się na rozmowy, prowadzono je w Pałacu Namiestnikowskim (dziś Prezydenckim). Rozmowy w mniejszym gronie toczono w willach MSW w Magdalence i w centrum Warszawy, przy ul. Zawrat. Przedstawiciele strony solidarnościowej i strony rządowej osiągnęli kompromis. Jego owocem były częściowo wolne wybory do Sejmu 4 czerwca 1989 r. Po tych wyborach przedstawiciele Solidarności, jako Obywatelski Klub Parlamentarny, w koalicji ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym

eprasa.pl 5aa09ba18e

i Stronnictwem Demokratycznym utworzyli pierwszy niekomunistyczny rząd pod prezesurą Tadeusza Mazowieckiego. Dokonała się zmiana władzy i zmiana ustroju.

Było to możliwe, gdyż zmieniły się także warunki zewnętrzne. Po śmierci Breżniewa i dwóch kolejnych jego następców sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego został Michaił Gorbaczow. Zaczęły się pierestrojka i głasnost. Związek Radziecki znalazł się w głębokim kryzysie gospodarczym, politycznym i narodowościowym. A próba naprawy podjęta przez Gorbaczowa okazała się kuracją, której pacjent nie przeżył. Rozpad ZSRR po puczu Janajewa w 1991 r. pozwolił później na dokończenie reform w Polsce i w pozostałych krajach regionu.

Na pierwszego prezydenta Zgromadzenie Narodowe wybrało Wojciecha Jaruzelskiego. Początkowo w rządzie pozostawali jeszcze gen. Florian Siwicki jako minister obrony narodowej i gen. Czesław Kiszczak jako minister spraw wewnętrznych. Ich obecność, a przy tym lojalność wobec nowej władzy, chroniła przed buntem resortów siłowych, umożliwiając ich przebudowę i oddanie pod cywilną kontrolę. Gen. Jaruzelski dobrowolnie skrócił swoją kadencję. Pierwszym prezydentem wybranym w powszechnych wyborach został Lech Wałęsa. Sejm wybrany w czerwcu 1989 r. (zwany często Sejmem kontraktowym) po przeprowadzeniu zasadniczych reform państwa też dobrowolnie skrócił kadencję. Następny został już wybrany w całkowicie wolnych wyborach.

W czasie Okrągłego Stołu i po nim byłem po stronie solidarnościowej. Brałem udział w przebudowie struktur państwa polskiego. Ale od samego początku byłem też gorącym zwolennikiem idei grubej kreski Tadeusza Mazowieckiego. Dla ścisłości dodam, że Mazowiecki użył określenia gruba linia. Chodziło w skrócie o to, że wrogie sobie dotąd strony – jak dziś byśmy powiedzieli „dwa polskie plemiona" – zakończyły wojnę. Skończyła się odkreślona grubą linią przeszłość. Teraz razem chcą budować przyszłość. Polska jest jedna i jest dla wszystkich Polaków. Bez względu na to, po której stronie Okrągłego Stołu zasiadali. Stół i jego następstwa to największy sukces Polaków od stuleci. Wspólne osiągnięcie obydwu stron.

Gruba kreska od razu miała też przeciwników. Uważali, że kompromis jest przejawem słabości, a może nawet zdrady. Krzyczeli, że z komunistami nie należało się układać, tylko trzeba ich zniszczyć. A skoro przyjęto taki kompromis, bo nie było innego wyjścia, teraz należy dokończyć dzieła. Stąd powracające pomysły lustracyjne, dekomunizacyjne, dezubekizacyjne. Obca im była nie tylko zasada pacta sunt servanda, ale nawet zwykła ludzka uczciwość. To przeciwnicy grubej kreski jako pierwsi na nowo podzielili naród. O tym, że polska transformacja jest wspólnym dziełem obozu solidarnościowego i lewicy, po prostu się nie mówi.

Idea grubej kreski odeszła wraz ze środowiskiem Unii Wolności. Platforma Obywatelska, rządząca przez osiem lat, nie potrafiła zlikwidować Instytutu Pamięci Narodowej, sama uchwaliła kompromitującą ustawę dezubekizacyjną. „Gazeta Wyborcza" nie wiem na czym opierała przekonanie, że „SLD mniej wolno".

Wynaturzona, pisana na nowo historia największe polskie osiągnięcie po roku 1918, jakim był Okrągły Stół, traktuje niemal jak zdradę. Nazywanie autentycznego przywódcy, jakim w latach 80. był Lech Wałęsa, esbeckim agentem „Bolkiem", węszenie spisków i agenturalnych powiązań prowadzić musi do logicznego wniosku, że komunizm w Polsce obalili w gruncie rzeczy gen. Kiszczak, jego oficerowie i ich tajni współpracownicy, przy pomocy różnych „wallenrodzików" w rodzaju prokuratora Piotrowicza, sędziego Kryże czy prof. Zybertowicza, przy bliżej nieokreślonej, ale niewątpliwie wielkiej roli braci Kaczyńskich. Schizofrenia paranoidalna stała się doktryną. ■

KSIĄŻKI

ANTONI I JEGO DZIECI



Rafał Skąpski, mimo wielkiej aktywności w organizacjach autorów i wydawców, znajduje czas na opisywanie historii swojej rodziny, jej postaw społecznych, wyborów życiowych, nieszczęść, które ją dotknęły, i jej sukcesów. Tym razem przybliża postać pradziadka, Antoniego Skąpskiego (1813-1915), autora wspomnień, które w wersji nieocenzurowanej ukazały się jeszcze w czasach PRL.

W pierwszych dziesięcioleciach zaboru austriackiego, gdy polskość była szczególnie tłumiona i zwalczana, a wielu się jej wyrzekało, Antoni po lekturze książek Niemcewicza, Mickiewicza i innych jeszcze mocniej poczuł się Polakiem. Jeszcze bardziej wrastał w polskość i razem z innymi członkami rodziny bronił jej w czasie Wiosny Ludów czy powstania styczniowego.

Oczywiście Rafał Skąpski nie ogranicza się do pamiętnika pradziadka, w interesujący sposób opisuje jego życie, a także losy jego rodzeństwa i potomków. Różnie się one potoczyły, ale nigdy nie zaprzeczyły głównemu przesłaniu Antoniego – pracy dla Polski.

Książka jest dowodem na to, jak ważna może być historia rodzinna i lokalna – w wielu przypadkach nawet ważniejsza i ciekawsza od tej wielkiej, politycznej, często przeinaczanej, zmitologizowanej. Pora, by do sztafety pokoleń, wydanych już wspomnień pradziadka i babki, doszły wspomnienia Rafała Skąpskiego, kontynuatora dziedzictwa Antoniego i jego potomków, nie tylko męskich.

Paweł Dybicz

Rafał Skąpski, *Antoni i jego dzieci*, Fundacja Historia i Kultura, Warszawa 2025

eprasa.pl 5aa09ba18e

Marek Zieliński – ważny rosyjski agent czy ofiara kontrwywiadu UOP?

W październiku 1993 r. funkcjonariusze Urzędu Ochrony Państwa zatrzymali na gorącym uczynku mjr. Marka Zielińskiego podczas wręczania materiałów szpiegowskich attaché wojskowemu ambasady Rosji płk. Władimirowi Łomakinowi. Łomakina wydalono z Polski. Zieliński został skazany na dziewięć lat więzienia. Dziś pojawiają się próby zdeprecjonowania trwającej wiele lat akcji kontrwywiadu UOP złapania szpiega na gorącym uczynku. O sprawie mówi **gen. Andrzej Kapkowski**, w tamtym czasie zastępca dyrektora Zarządu Kontrwywiadu UOP, odpowiedzialny za kierunek wschodni.

•

Marek Zieliński to były oficer Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL, który w latach 1981-1993 współpracował z wywiadem wojskowym (GRU) ZSRR, a następnie Federacji Rosji, za co w 1994 r. został prawomocnie skazany na dziewięć lat pozbawienia wolności.

Był to pierwszy rosyjski agent zdemaskowany przez Służbę Kontrwywiadu UOP. Dwuznaczność wokół sprawy i agenta stworzył dr Marek Świerczek w książce „Śpiące psy" i w rozmowie z red. Rafałem Dudkiewiczem, przeprowadzonej 22 października 2025 r. w placówce IPN Przystanek Historia. Zdaniem autora Marek Zieliński nie zasługiwał na miano agenta, był bowiem mało znaczącym źródłem informacji, niedbale traktowanym przez oficerów GRU. W dodatku w 1988 r. odszedł ze służby, tracąc dotychczasowe możliwości operacyjne. Jako tzw. płotka został rzekomo wystawiony przez GRU kontrwywiadowi UOP, by ochronić innego ważnego agenta. Kontrwywiad tym sposobem dał się ograć. Jego oficerowie byli mało profesjonalni. Zabiegając u nowych przełożonych o uznanie, kierowali się prywatnymi ambicjami, a nie interesem bezpieczeństwa państwa. Czy powyższa narracja jest trafna? W moim przekonaniu rozmija się z kanonami myślenia kontrwywiadowczego i prowadzi do błędnych wniosków.

• Marek Zieliński nie był błahym źródłem niedbale traktowanym przez GRU. Miał duże możliwości wywiadowcze. Pracował w wydziale analitycznym Departamentu III MSW, zajmującym się zwalczaniem opozycji politycznej, był też członkiem zespołu doradców ministra Czesława Kiszczaka. Dawało mu to dostęp do tajnych opracowań przeznaczonych dla kierownictwa MSW i państwa. Z dokumentów tych wykonywał kserokopie i przekazywał je oficerom GRU. Czynił to aż do odejścia na emeryturę w 1988 r. W okresie współpracy był przekazywany na kontakt kolejnym rosyjskim oficerom: A. Zadorożnemu, A. Tiszczence, J. Towmie i ostatniemu attaché wojskowemu Władimirowi Łomakinowi, co jednoznacznie wskazuje, że ciągle był przydatny.

• Po 1990 r. GRU nie zrezygnował z dalszego wykorzystywania Zielińskiego, choć musiał zdawać sobie sprawę, że już pozostaje w zainteresowaniu polskiego kontrwywiadu. Ryzyko takie akceptował także Marek Zieliński. Wprowadzono go w nowe zapotrzebowania wywiadowcze, polegające na wyszukiwaniu w środowisku MSW osób przydatnych do werbunku przez GRU. Takie zadania powierza się tylko zaufanym agentom. Współpracy w nowych warunkach nadano bardziej zakonspirowany charakter, ustanawiając kalendarz spotkań z oznaczeniem terminów podstawowych i zapasowych. Zróżnicowano też miejsca tych spotkań, ustalając nowe, odległe od centrum miasta. Wszystkie przedstawione okoliczności bezspornie dowodzą, że Zielińskiego traktowano jako wartościowego, sprawdzonego i lojalnego agenta. Niepobranie od niego formalnego zobowiązania o współpracy nie świadczyło o niskiej randze agenta. Przeciwnie, jest to często stosowane przez służby specjalne wobec agentów, których zaangażowanie i wiarygodność nie budzą wątpliwości, a w przypadku Marka Zielińskiego tak właśnie było.

• Deprecjonowanie jego znaczenia poprzez odniesienie do agentów wpływu, jak to robi Marek Świerczek, jest zwykłym chwytem socjotechnicznym. Zieliński był cennym agentem informacyjnym i takim go GRU akceptowało, zgodnie z obowiązującą w świecie wywiadów zasadą, że wprawdzie agentura wpływu jest najważniejsza, ale informacyjna też jest niezbędna. Stwierdzenie, że wywiad rosyjski odstępuje od werbowania źródeł informacyjnych, nie odpowiada prawdzie. Istnieje bardzo wiele dowodów na to, że w latach 1986-2005 wywiad rosyjski intensywnie przebudowywał swoją agenturę w Polsce, werbując – często pod obcą flagą – perspektywiczne źródła informacyjne. Niedawno zdemaskowany inny agent GRU Tomasz L. (skazany na karę 12 lat pozbawienia wolności) był źródłem typowo informacyjnym.

• Nieprawdziwa jest też opinia, że Marek Zieliński utracił wartość operacyjną, gdyż przeszedł na emeryturę. Kontrwywiad UOP dysponuje faktami, że w omawianym okresie nie tylko wywiad rosyjski prowadził rozpoznanie możliwości wykorzystania polskich oficerów odchodzących

Marek Zieliński w ciągu 25 lat służby przez 12 lat współpracował z wywiadem rosyjskim. Czynił to dobrowolnie.

eprasa.pl 5aa09ba18e

ze służby. Dla Rosji misję taką wykonywał płk Wiktor M., używający w rozmowach z Polakami argumentu, że przegraliśmy bitwę, ale nie wojnę. W 1992 r. głośny był temat rosyjskiego programu utworzenia z byłych oficerów służb specjalnych krajów socjalistycznych międzynarodowej tajnej organizacji. „Opiekuńcze" propozycje padały też ze strony niektórych państw zachodnich, co dowodzi, że na początku lat 90. odchodząca ze służby kadra oficerska była atrakcyjnym celem wielu wywiadów.

• Wywiad rosyjski nie ograł kontrwywiadu UOP i nie wystawił Marka Zielińskiego do aresztowania, by ochronić innego ważnego agenta. Taką operację przeprowadza się, gdy poważny agent sygnalizuje obawę o swoje bezpieczeństwo, a wystawienie „płotki" ma powstrzymać zagrożenie dla niego. Nie stwarza się przy tym ryzyka wpadki dla oficera służby działającego na przykryciu dyplomatycznym. Tymczasem aresztowanie Zielińskiego nie powstrzymało żadnych ofensywnych działań kontrwywiadu UOP, a zatrzymanie łącznikującego go Władimira Łomakina stworzyło niepotrzebny dla Rosjan incydent polityczno-dyplomatyczny. Nie spowodowało też zaprzestania jakiegokolwiek prowadzonego rozpracowania. GRU nie osłoniło żadnego agenta. Sprawa Zielińskiego pozwoliła poznać rosyjskie metody werbowania i łącznikowania agentury oraz zakres zainteresowań, a także zaowocowała nowymi naprowadzeniami. Przyjęto śmiałe założenia co do potencjału agenturalnego wywiadu rosyjskiego w Polsce. Było to pierwsze starcie z gigantem, który – jak wykazała sprawa Zielińskiego – zdążył już stworzyć silną bazę operacyjną w Polsce. Sprawa Zielińskiego nie była sprawą przegraną, bilans niewątpliwie jest dodatni.



Andrzej Kapkowski był szefem Urzędu Ochrony Państwa w latach 1996-1997.

• Zatrzymanie Łomakina i Zielińskiego było dla obu zaskoczeniem, co dobrze świadczy o tajności prowadzonego przez kilka lat kontrwywiadowczego rozpracowania. Teza o wystawieniu Zielińskiego jako przynęty nie ma potwierdzenia w faktach.

Zatrzymanie Łomakina i Zielińskiego było dla obu zaskoczeniem, co dobrze świadczy o tajności rozpracowania kontrwywiadowczego.

• Służba Kontrwywiadu UOP nie popełniła błędu. Nie mając żadnych dowodów na współpracę Marka Zielińskiego z GRU w okresie 1981-1990, podjęła grę kontrwywiadowczą, by takie dowody uzyskać. Grę prowadzono za pośrednictwem Andrzeja Anklewicza, ważnego oficera MSW, którego Zieliński doprowadził do styku z Władimirem Łomakinem. W działaniach osiągano zamierzone efekty do momentu, w którym gra została zerwana na polecenie ministra spraw wewnętrznych Antoniego Macierewicza. Po impasie i trudnych operacyjno-analitycznych działaniach gra została wznowiona z wykorzystaniem czynnego oficera S. W grze tej kontrwywiad po raz drugi potwierdził, że Marek Zieliński nadal wystawia GRU interesujące osoby i przekazuje Władimirowi Łomakinowi tajne dokumenty. Mimo że w trakcie realizacji zatrzymania wystąpiły nieprzewidziane okoliczności, to Rosjanie nie mogli zaprzeczyć prowadzeniu przez Władimira Łomakina działalności szpiegowskiej. W ciągu 48 godzin musiał on opuścić Polskę jako persona non grata.

• Marek Zieliński nie był ofiarą UOP. W ciągu 25 lat służby przez 12 lat współpracował z wywiadem rosyjskim. Czynił to dobrowolnie. W latach 1981-1988, nie mając służbowego tytułu do uczestnictwa w sojuszniczej wówczas współpracy ze służbami rosyjskimi, utrzymywał świadome, wywiadowcze kontakty z rezydenturą GRU w ambasadzie Rosji w Warszawie. O powiązaniach tych nie informował przełożonych. Po 1990 r. podjął się realizacji nowych zadań, pomagając wywiadowi GRU w rozbudowie sieci agenturalnej.

• Funkcjonariusze kontrwywiadu UOP prowadzący rozpracowanie Marka Zielińskiego i Władimira Łomakina kierowali się wyłącznie interesem bezpieczeństwa państwa, a nie, jak twierdzi Marek Świerczek, osobistymi ambicjami. Przełożonymi nie manipulowano ani nie wprowadzano ich w błąd. Janusz F., Zbigniew S. i Zbigniew M. byli zweryfikowanymi, bardzo profesjonalnymi oficerami kontrwywiadu z bogatym dorobkiem zawodowym. Szkoda, że Marek Świerczek nie uznał za stosowne porozmawiać przed napisaniem książki z żyjącymi Januszem F. i Zbigniewem M., jak i z niżej podpisanym.

Andrzej Kapkowski, były szef UOP

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 5aa09ba18e

Szalony finał Senegalu

Czy Afrykanie zostaną mistrzami świata?

Wojciech Kuczok

Komuż z nas, miłośników futbolu, nie zdarzyło się w czasach podwórkowych grać w meczach najwyższej rangi, derbach międzyosiedlowych, na Górnym Śląsku określanych jako pojedynek „nasz platz na wasz platz”? Presja zwycięstwa była wtedy większa niż na co dzień, a z braku arbitrów częstokroć dochodziło do sytuacji spornych, w których koronnym okazywał się argument siły – mocniejsi w muskułach ogłaszali wtedy werdykt, a mocniejsi w gębie mówili: „No to my już nie gramy”. Zaprawdę, pamiętam, że wiele takich gier kończyło się przed czasem z powodu zejścia z boiska drużyny pokrzywdzonej, która musiała się zadowolić moralnym zwycięstwem.

Tegoroczny finał Pucharu Narodów Afryki przejdzie do historii piłkarskich kuriozów jako mecz o niewyobrażalnej, szekspirowskiej wręcz dramaturgii.

W życiu bym nie podejrzewał, że do takiej sytuacji może dojść w finale mistrzostw kontynentalnych, rozgrywanym przez dwie futbolowe potęgi (Maroko – wciąż czwartą drużynę świata i Senegal – regularnego uczestnika mundiali, który sprał naszą reprezentację przed ośmioma laty).

Tegoroczny finał Pucharu Narodów Afryki przejdzie do historii piłkarskich kuriozów także jako mecz o niewyobrażalnej, szekspirowskiej wręcz dramaturgii. Owóż, to wyrównane spotkanie przebiegało bez ekscesów aż do czasu doliczonego, gdy ku rozpaczy gospodarzy Senegalczycy zdobyli gola. Zdobyli go prawidłowo, ale sędzia dopatrzył się przewinienia i bramki nie uznał. Gdyby taką bramkę zdobyło Maroko, kongijski arbiter bez wątpienia nie odważyłby się jej anulować. Chwilę później dopatrzył się faulu w polu karnym Senegalu i podyktował baaaaardzo „miękki” rzut karny dla gospodarzy. Tego było już za wiele, na trybunach rozpoczęły się zamieszki, a piłkarze Senegalu zeszli z boiska na znak protestu i nie zamierzali dokończyć gry.

Skończyłoby się to wszystko walkowerem i potężnym skandalem, gdyby nie Sadio Mané, dla którego to było pożegnanie z mistrzostwami Afryki – przez prawie kwadrans sam jeden nakłaniał kolegów, żeby zachowali się jak mężczyźni i wrócili na murawę, mimo że sędzia zapowiedział, iż strzał z 11 m będzie ostatnim zagraniem meczu.

W końcu Mané dopiął swego, jego kompani smętnie weszli na murawę, by patrzeć, jak przed bramkarzem Senegalu staje król strzelców całego turnieju Brahim Diaz, który miał tylko przypieczętować triumf swojej drużyny. Tyle że Diaz wykonał jedenastkę najgorzej w historii, po prostu lekko podając piłkę do rąk Édouarda Mendy’ego. Pozostanie tajemnicą, czy Marokańczyk nie uniósł presji (znamy takie przypadki, nawet z finału mundialu, gdy w 1994 r. decydującą jedenastkę fatalnie przestrzelił Roberto Baggio), czy wyczuł szwindel i po prostu nie chciał wygrać nieuczciwie. Sensacyjnie zatem Senegal wrócił do gry i wykorzystał przewagę psychologiczną w dogrywce – zwycięską bramkę kropnął Pape Gueye, na co dzień pomocnik Villarreal. Senegal zwyciężył więc po raz drugi w historii w niesamowitych okolicznościach.

Absolutnymi rekordzistami kontynentu są Egipcjanie, siedmiokrotni triumfatorzy, którzy tym razem odpadli w półfinale właśnie z Senegalem po bramce Sadio Mané – wrócili do domu bez medalu, ograni w meczu o III miejsce w karnych przez Nigerię.

Brązowi medaliści to wielki przegrany eliminacji mundialu, zwłaszcza że Nigeria nie zakwalifikowała się do mistrzostw świata po raz drugi raz z rzędu; niespodziewanie na boiskach amerykańskich zabraknie w czerwcu także reprezentacji Kamerunu, ośmiokrotnych uczestników mundiali. Sadio Mané będzie za to mógł sobie powetować nieobecność na mundialu w Katarze, z którego wykluczyła go kontuzja – do USA pojedzie jako bohater narodowy, lider nadzwyczaj silnych Lwów Terangi i od początku będzie musiał dawać z siebie wszystko, bo jego drużyna wylosowała „grupę śmierci” z Francją i piekielnie silną Norwegią.

Czy Afryka sięgnie w końcu po medal mundialu? Najbliżej byli Marokańczycy przed czterema laty, docierając do półfinału i na kolejnej imprezie nikt ich już nie będzie ważył lekce. Mają jedną z najsilniejszych linii defensywnych, prowadzoną przez najlepszego lewego obrońcę na świecie, Achrafa Hakimiego, a i Brahim Diaz będzie miał okazję do rehabilitacji. Afryka wysyła na mundial rekordową liczbę reprezentacji – oprócz Maroka i Senegalu mogą tam namieszać także Egipcjanie z gwiazdorskim duetem napastników (Omar Marmoush z Manchesteru United i Mohamad Salah z Liverpoolu), poza tym zagrają jeszcze Wybrzeże Kości Słoniowej, Ghana, Algieria, Tunezja i absolutny debiutant: Republika Zielonego Przylądka.

Szansę w barażach dostanie jeszcze Demokratyczna Republika Konga, która jako Zair występowała już na mundialu w 1974 r. Występ to

eprasa.pl 5aa09ba18e



Sadio Mané walczy o piłkę z Bilalem El Khannoussem z Maroka w finałowym meczu Pucharu Narodów Afryki 2025. Rabat, 18 stycznia 2026 r.

skądinąd pamiętny i nieszczęsny – kiedy drużyna dowiedziała się, że ich premie przejedli działacze ze świty Mobutu Sese Seko, postanowiła zbojkotować mecz z Jugosławią. Ostatecznie zagrała, bo sama FIFA pod presją zapłaciła piłkarzom, ale wynik był katastrofalny, jeden z najwyższych w historii mundiali, Afrykańczycy przegrali 0:9 i przed ostatnim meczem z Brazylią dowiedzieli się od swojego satrapy, że w razie kolejnej kompromitacji nie mają po co wracać do domu. Ostatecznie udało im się przegrać z canarinhos „tylko" 0:3.

Z drużynami afrykańskimi nigdy nie jest nudno. Maroko zdało egzamin jako organizator, stadiony ma zaiste piękne, a już za cztery lata będzie gospodarzem kolejnego światowego championatu. Ściślej: jednym z sześciu gospodarzy. Idea mundialu w różnych krajach, a nawet na różnych kontynentach średnio mi się podoba – zwłaszcza dla kibiców jest to nadzwyczaj uciążliwe, jeśli chcą wiernie podążać za swoją drużyną narodową, poza tym jednak jakaś magia była zawsze w tym „skoszarowaniu" na jednym terytorium. Za chwilę mundial nie będzie się różnił od eliminacji, wszak nasza reprezentacja grupowe mecze rozegrała w pięciu krajach, wliczając w to Polskę – tymczasem mundial 2030 zacznie się w… Ameryce Południowej (pierwsze mecze w Paragwaju, Urugwaju i Argentynie), a pozostałe w Hiszpanii, Portugalii i Maroku.

Maroko zdało egzamin jako organizator, stadiony ma zaiste piękne, a już za cztery lata będzie gospodarzem kolejnego światowego championatu.

Co do najbliższej imprezy, mam poważne obawy, czy w ogóle dojdzie do skutku. Jeśli nieszczęśnikowi z Białego Domu wespół z jego kremlowskim przyjacielem Putinem uda się nie wywołać do czerwca III wojny światowej, z pewnością narobi sobie wśród większości krajów uczestniczących w mundialu wrogów, nagrabi sobie wystarczająco, żeby doszło do bojkotu największej imprezy futbolowej świata.

Wychowałem się za żelazną kurtyną, pamiętam więc doskonale, jak pół świata zbojkotowało dwie kolejne edycje igrzysk olimpijskich – najpierw Zachód nie przyjechał do Moskwy w 1980 r. (czemu zresztą zawdzięczamy rekordową liczbę 32 medali), cztery lata później ZSRR i kraje satelickie odwetowo zrezygnowały z wyjazdu do Los Angeles. Ewentualny bojkot mundialowy mógłby przybrać charakter łagodny i absurdalny zarazem – uczestnicy graliby między sobą, ale odmawiali występów przeciw Stanom Zjednoczonym, wskutek czego Amerykanie po ośmiu zwycięskich walkowerach odebraliby Puchar Świata z rąk prezesa FIFA.

Mam jednak wrażenie, że i bez bojkotu jankesi mogą zostać przepchnięci do strefy medalowej – kto pamięta cuda sędziowskie z Korei 2002 r., kiedy dopiero w półfinale Michael Ballack z kolegami okazał się silniejszy od reprezentacji gospodarzy wspomaganej przez trefnych arbitrów, ten wie, czego może się spodziewać w USA.

Trump ma na co dzień piłkę nożną dupoko w głębie, ale skoro Ameryka organizuje największy turniej w historii, aby uczcić ćwierć millenium swego istnienia, będzie musiała wygrać. Już losowanie grup zaśmierdziało na odległość, bo Amerykanie zgodnie z przewidywaniami wylosowali najłatwiejszych rywali – ani z Paragwajem, ani z Australią, ani z europejską ekipą wyłonioną z baraży (faworytem wydaje się Turcja) nie są bez szans. Na wszelki wypadek zawczasu można uruchomić służby graniczne i doprecyzować w formularzu standardowe pytanie o to, czy nie zamierzasz prowadzić na terenie USA działalności terrorystycznej w następujący sposób: „Czy zamierzasz sprzeciwiać się reprezentantom narodu amerykańskiego za pomocą strzałów?". Jeśli któryś piłkarz szczerze potwierdzi, że i owszem, zamierza poganiaczom bydła strzelić kilka bramek, zostanie na lotnisku zawrócony, wpakowany do samolotu i bezzwłocznie odesłany, skąd przyleciał. ■

FOT. ULRIK PEDERSEN/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 5aa09ba18e

Moje pokolenie wybiera skrajności

Każdy reżyser po cichu marzy, że będzie miał protesty przed spektaklem

Rozmawia Anna Wyrwik



Kamil Białaszek – reżyser głośnych spektakli „Nowy PAN TADEUSZ, tylko że rapowy" (Teatr Polski w Poznaniu), „Skowyt" na podstawie poematu Allena Ginsberga oraz „Zdziczenie obyczajów pośmiertnych" na podstawie niedokończonego dramatu Bolesława Leśmiana (Teatr Żydowski w Warszawie). W grudniu 2025 r. w Teatrze Narodowym odbyła się premiera jego najnowszego spektaklu „Niewyczerpany żart" według powieści Davida Fostera Wallace'a. Student V roku reżyserii na Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie.

Kim był Koza?

– W Raszynie wszyscy żyliśmy polskim rapem, ponieważ opisywał problemy i doświadczenia ludzi z naszej warstwy społecznej. Z kulturą hip-hopową utożsamiam się od dzieciństwa, więc robienie tej muzyki było naturalną konsekwencją. Dochodziła do tego chęć zaimponowania środowisku, którego szacunek budziło jedynie popełnianie przestępstw, pieniądze i właśnie muzyka. Robienie rapu jest też łatwe, bo nie potrzeba wielkich nakładów finansowych. Wystarczy w swoim pokoju postawić na stosie książek laptop i mikrofon. Tak nagrywałem pierwsze kawałki. Oczywiście wpływało to na jakość, ale wtedy w rapie chodziło o autentyczność przekazu. Teraz już o to nie chodzi.

A o co chodzi? Już kilka lat temu mówiłeś: „Całe środowisko (hip-hopowe – przyp. AW) przespało informację, że ludzie są równi" („Gazeta Wyborcza", 7 lutego 2020 r.), a do tego, że chcesz to środowisko „skonsternować" i „zdenerwować".

– W środowisku hip-hopowym uderzało mnie zamknięcie głów, czyli awersja do wszystkiego, co nowe i różne, do idei, które większość społeczeństwa już wtedy przyjęła, jak tę, że kobiety mają takie samo prawo do życia seksualnego jak mężczyźni i nie trzeba ich za to przezywać. Transformacja w polskim hip-hopie nastąpiła w ostatnich latach, bo kiedy tylko środowisko zostało posypane pieniędzmi przez wytwórnie, raperzy chętnie zaczęli reprezentować bardziej liberalne wartości i mówić: „OK, super, tak, ja mega szanuję gejów" albo: „Ty, kobieto, teraz masz prawo wyrażać siebie i w ogóle jestem raperem feministą". Wcześniej za takie poglądy byłem atakowany. Lubiłem i umiałem robić tę muzykę, ale denerwowała mnie cała otoczka i dlatego raper Koza stał się swego rodzaju komentarzem polskiego hip-hopu, próbującym zmienić tę kulturę od środka. To samo chcę robić w teatrze.

Jak chcesz zmieniać teatr od środka?

– Uważam, że musimy odejść od prymatu teatru pomnikowego, żeby z teatru nie zrobiła nam się opera, czyli relikt, którego ludzie doświadczają tylko dla samego faktu, że jest reliktem. W erze netfliksowej istnieje duże niebezpieczeństwo, że ludzie przestaną chodzić do teatru albo że będą chodzić tylko na komedie, dla rozluźnienia atmosferki w domu, lub właśnie na archaiczne sztuki, by skonfrontować się z tym pomnikiem.

Naprawdę uważasz, że w Polsce, ojczyźnie jednego z najlepszych i najciekawszych teatrów europejskich, istnieje niebezpieczeństwo, że ludzie będą chodzić tylko na komedie?

eprasa.pl 5aa09ba18e

– Zgadzam się z tym, że mamy jedną z bogatszych kultur teatralnych w Europie. Myślę jednak, że z perspektywy konsumpcyjnej widza istnieje niebezpieczeństwo, że teatr zostanie sprowadzony do dwóch kategorii – komedii oraz archaicznego przedstawiania dramatów. Ja chcę być alternatywną propozycją, która będzie łączyć elementy współczesne i elementy komedii, by pozwolić widzom się zluzować i pośmiać, z elementami teatru tzw. namysłu, i dać im szansę na analizę literatury.

Czy to z chęci bycia „alternatywną propozycją" narodził się pomysł zrobienia rapowo epopei narodowej?

– W każdym spektaklu staram się wychodzić od tekstu. Zadaję sobie pytanie, co ten tekst we mnie wywołuje, do jakich myśli mnie prowadzi, po co w ogóle jest i dlaczego ktoś inny miałby go doświadczyć. „Pan Tadeusz" to matryca patriotyzmu, więc reżyserując spektakl, myślałem o patriotyzmie, o tym, jak go czuję, czy jestem patriotą.

Twój „Nowy PAN TADEUSZ, tylko że rapowy" dzieje się na blokowisku, jest w nim dużo wulgaryzmów, jest beka z „Ojcze nasz", a symbole narodowe ukazane są w sposób daleki od reguł szkolnych apeli z okazji 11 Listopada. Nie baliście się w Poznaniu protestów kółek różańcowych pod teatrem?

– Proszę cię… Całe środowisko chce mieć kółka różańcowe i protesty. Każdy reżyser po cichu marzy o tym, że będzie miał jakieś protesty przed spektaklem, bo jeśli sztuka jest opresjonowana i cenzurowana, to znaczy, że jest dobra i powiedziała coś, czego mówić nie wolno.

Zatem głównym motywem „Nowego PANA TADEUSZA…" był patriotyzm. A skąd pomysł na formę?

– Forma poukładała się sama. W Akademii Teatralnej nauczyli mnie, że na scenie może wydarzyć się wszystko, nawet rzeczy najbardziej szalone i odjechane, jeżeli tylko mają silne uzasadnienie w literaturze. Wziąłem więc literaturę, a potem podstawiłem pod nią swoje pomysły. To, że forma „Nowego PANA TADEUSZA…" jest tak patologiczna, przykra i absurdalna, wynika z mojego doświadczenia. Nie zmyślałem.

Polska, którą pokazałeś, jest daleka od wizji kraju z klubu G20. To Polska, w której na leżaku przed namiotem na blokowisku siedzi się i pije wódkę w dresie. Są bluzgi, burdy, ksenofobia, rasizm, a silniejszy wykorzystuje słabszego. Czy taka jest Polska w trzeciej dekadzie XXI w.?

– Są różne Polski. Z perspektywy Warszawy wszystko wygląda inaczej, ale gdy nawet w tej Warszawie pojedzie się na Pragę albo wsiądzie w tramwaj na Okęcie, zaczynają się obrazki, które potem ciągną się przez całą Polskę do następnego wielkiego miasta, a właściwie do centrum następnego wielkiego miasta. Przecież to, że przeszliśmy transformację kapitalistyczną czy kulturową, nie świadczy o tym, że pewne wzorce postępowania zostały wyrugowane. One wciąż w polskiej kulturze istnieją i mają się dobrze. Najlepszym tego świadectwem są sukcesy Konfederacji, które, za przeproszeniem, z dupy się nie biorą. To są właśnie ci Polacy na leżakach, którzy jak widzą czarnego, spluwają w najlepszym wypadku przez ramię. Myślę, że przez cały czas trwamy w epoce transformacji kulturowej, tyle że w niektórych miejscach zaszła ona szybciej, a w innych wolniej.

A może fakt, że Konfederacja odnosi sukcesy, świadczy o tym, że transformacja kulturowa stanęła, a my zaczęliśmy się cofać?

– Bo może ludzie już nie chcą przyjmować nowych wartości, przyzwyczajeni do pewnej idei patriotyzmu, której nie chcą modyfikować. Na podłożu tego powstają ruchy negujące wartości liberalne, które w centrum stawiają poszanowanie drugiego człowieka, czyli te wszystkie ruchy z hasłami anty: antyimigranckie, anty-LGBT+ itd. Myślę, że słowo patriotyzm jest tu kluczowe, bo od dziecka wpaja się nam, jak wielką ma ono wartość. Dlatego czuję w sobie potrzebę walki o to słowo i nie chcę go oddać nacjonalistom. Chcę walczyć o zmianę tego, co to słowo semantycznie niesie. Wiem, że wielu ludzi ma podobnie i chce to słowo odzyskać, by pokazać, że patriotyzm może być też wizją otwartości, wspólnoty, a nie tylko wykluczenia i zamknięcia się na wszystko inne. To jest walka, którą moje pokolenie ma do stoczenia.

Mówimy o pokoleniu, które w ostatnich wyborach wybierało głównie między Sławomirem Mentzenem a Adrianem Zandbergiem, czyli między Konfederacją, która symbolizuje antyliberalne wartości, a Razem, które też jest skrajne.

– Nie mogę mówić za całe moje pokolenie, ale fakt, że wybiera ono skrajności, wynika ze zmęczenia i znużenia stanem, którego doświadczało przez całe dzieciństwo. Ja pamiętam tylko czasy, w których rządził POPiS, czyli na zmianę PO i PiS, PiS i PO. Poza rozwojem technologicznym, który wynika z faktu, że świat idzie do przodu, nie widzę w tym kraju żadnych zmian. Są jedynie niespełnione obietnice, o których mówili nasi dziadkowie i nasi rodzice.

> Nie chcę oddać słowa „patriotyzm" nacjonalistom. To walka, którą moje pokolenie ma do stoczenia.

Naprawdę nie widzisz w dzisiejszej Polsce nic pozytywnego?

– Państwu polskiemu zawdzięczam darmowe studia. Bez tego byłoby mi ciężko. Tym bardziej denerwuje mnie, gdy ktoś zaczyna głosić ideę odbierania ludziom możliwości darmowego studiowania. Państwo dało mi też stypendia. Jestem wdzięczny za pomysł dawania artystom stypendiów. Jestem też wdzięczny za język polski, który jest moim narzędziem pracy, zarówno w rapie, jak i w teatrze.

„Nowy PAN TADEUSZ…" jest według mnie stworzony językiem młodych – to miał być spektakl dla nich? I nie chodzi tu o rap, ale o sposób przekazu, trochę TikTokowy, trochę memiczny, nadający się do nagrania krótkiego filmiku, otagowania go i udostępnienia w sieci.

FOT. MARTA ANKIERSZTEJN/ARCHIWUM ARTYSTYCZNE TEATRU NARODOWEGO

eprasa.pl 5aa09ba18e

– Mam ADHD, więc staram się robić spektakle, które nie będą mnie nudzić. Co chwilę musi być bodziec, który mnie wciąga, musi być imersja i trans, bym mógł wysiedzieć. Czy takie spektakle przemawiają do młodych? Wydaje mi się, że przemawiają do ludzi młodych duchem. Słyszałem opinie 50-latków, którzy byli zachwyceni „Nowym PANEM TADEUSZEM…", bo wyłapali w nim coś, co ich jara, co przeżyli, bo słuchali rapu, gdy Rychu Peja był młody, i wyłapali „Scyzoryk" Gerwazego. A bywają też 20-latkowie, którzy tej opowieści nie łapią. Trudno o regułę. Widziałam na spektaklu wielu młodych ludzi, którzy stali, bo część widowni stoi, i kręcili telefonami filmiki. W teatrze zwykle „prosimy o wyłączenie telefonów komórkowych". Ty zaś na to pozwalasz i dla mnie to symbol przekroczenia pewnej granicy.

– W tym spektaklu jest wiele środków, które przemawiają wyraźniej do młodych, m.in. ta stojąca publiczność, co stwarza atmosferę koncertu, bo na stojąco inaczej odbiera się hip-hop. Ludzie zaczynają machać łapami, kręcić się i faktycznie w tym uczestniczyć. To publiczność robi koncert. Wartością „Nowego PANA TADEUSZA…" jest to, że ludzie przychodzą na niego drugi, trzeci raz, znają już utwory i świetnie się bawią.

W Teatrze Narodowym na „Niewyczerpanym żarcie" widziałem publiczność w różnym wieku i mam wrażenie, że ci młodsi są jeszcze skrępowani. Od niektórych ziomków słyszałem pytanie: „Jak się ubrać do Narodowego?". Czasem słyszałem pojedyncze śmiechy na widowni, które milkły, gdy ktoś uświadomił sobie, że reszta się nie śmieje. Tak będzie, dopóki nie zajdzie zmiana publiczności i dopóki moje spektakle nie ustabilizują sobie pewnej widowni domyślnej, która wie, na co przychodzi, i jest na to przygotowana.

Trwamy w epoce transformacji kulturowej, tyle że w niektórych miejscach zaszła ona szybciej, a w innych wolniej.

Przejdźmy do „Niewyczerpanego żartu" na podstawie Davida Fostera Wallace'a, którego premiera odbyła się w Teatrze Narodowym w Warszawie. W wywiadzie powiedziałeś: „Zagłębienie się w swój ekran i swój algorytm powoduje, że tkwimy w samotności. Powinniśmy zadać sobie pytania, czy to jest kondycja i stan świata, na który się godzimy, i rzeczywistość, której chcemy".

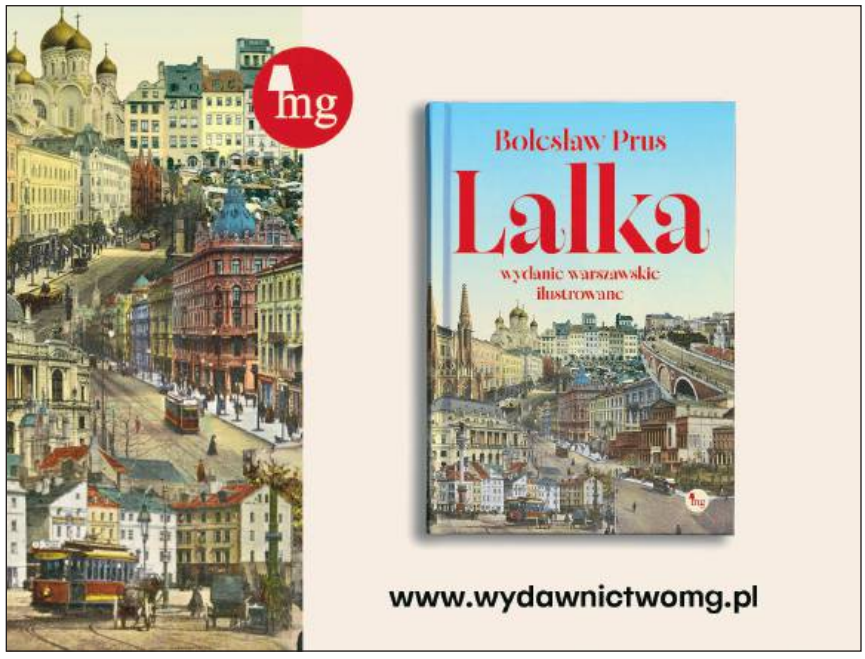
– Doświadczenie Wallace'a to doświadczenie człowieka, który miał wielkie ambicje, ale też wielkie nałogi i nie poradził sobie z własnym wielkim umysłem. „Niewyczerpany żart" jest o tym, że wielkość jest wzorcem kulturowym, narzuconym nam w świecie kapitalizmu przez społeczeństwo, ale i przez nas samych. Marzenie, by stać się kimś wielkim, doprowadza wielu ludzi do upadku i ucieczki w uzależnienia czy przemoc. Człowiek cały czas za czymś goni, bo ciągle jest coś nowego, za czym trzeba gonić, nowa perspektywa na pieniądze czy tzw. szczęśliwe życie, która okazuje się króliczkiem. Gdy się go złapie, okazuje się nie tym, czym się wydawał. Mój spektakl jest o tym, że jeżeli popadniemy w chęć dążenia do wielkości, najprawdopodobniej będziemy pokutować, ponieważ to nie jest to, co sprawia nam szczęście. To kwintesencja *american dream*, który pochłania kolejne pokolenia. Jego największym oszustwem jest przekonanie, że istnieje równość na starcie, tak jak największym oszustwem kapitalizmu jest to, że można dojść do czegoś ciężką pracą.

Twoim kolejnym spektaklem będzie „Hamlet" w Teatrze Powszechnym w Warszawie.

– W „Hamlecie" interesuje mnie temat dziedziczenia, bezpośrednio związany z głównym tematem tego dramatu, czyli śmiercią. Ciekawi mnie potrzeba przekazania czegoś potomstwu. Ciekawi mnie również to, do jakich nierówności w społeczeństwie prowadzi dziedziczenie, bo przecież jest to mechanizm w gruncie rzeczy dobry i naturalny, a stwarza sytuację, w której jedni wyzyskują drugich, bo niektórzy mają, a inni nie mają.

Anna Wyrwik

Autorka widziała spektakl „Nowy PAN TADEUSZ, tylko że rapowy" w ramach 18. Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Boska Komedia



eprasa.pl 5aa09ba18e

KURTYNA W GÓRĘ

Bezradność



Pod koniec spektaklu na horyzoncie sceny pojawia się pytanie: „Jak skończyć tragedię?", a potem odpowiedź, która dowodzi, że dziś nie sposób tragedii zakończyć. To być może najważniejsze przesłanie przedstawienia, w którym autor dramatu Wajdi Mouawad i reżyser Krzysztof Warlikowski przyznają się do bezradności wobec szaleństwa współczesnego świata. Mimo odwagi tego wyznania twórców ich dzieło rozczarowuje. Już sam dramat ujawnia wiele wad. Utwór sprawia wrażenie wykalkulowanej konstrukcji, która ma się wpisywać w związki z tragediami antycznymi i mitologią.

Centralna postać Matki o znaczącym imieniu Europa (w tej roli Andrzej Chyra, choć nie wiadomo, dlaczego Matkę gra mężczyzna), która jako dziecko jest świadkiem, a po części kimś współodpowiedzialnym za masakrę, usiłuje zmyć swoją winę, najpierw zabijając swoje dzieci, a potem porzucając kolejne córki zaraz po narodzinach. Po 75 latach, które upłynęły od tej masakry, Europa-Medea zapragnie spotkania z porzuconymi córkami – pod tym warunkiem godzi się złożyć zeznania o zbrodni badającej ten krwawy incydent przedstawicielce ONZ, potomkini ofiar (przejmująca rola Magdaleny Cieleckiej).

Do tego wszystkiego dołożona została genetyczna klątwa, która sprawia, że Zachariasz (Bartosz Gelner), syn jednej z porzuconych córek, staje się mordercą i kanibalem. Druga córka traci trzy ciąże, a trzecią prześladują koszmary. Na scenie powstaje rodzaj komiksu, który przed kiczem bronią wykonawcy, ale całość pozbawiona jest siły, do jakiej przyzwyczaiły widza spektakle Warlikowskiego. To nie jest wstrząsająca diagnoza czasów, ale raczej opowieść znużonych twórców, którzy rozkładają ręce: radźcie sobie sami.

Tomasz Miłkowski

Wajdi Mouawad, „Europa", tłumaczenie Jacek Poniedziałek, reżyseria Krzysztof Warlikowski, Nowy Teatr, premiera 7 stycznia 2026.

NA EKRANACH

Głos Hind Rajab,

reż. Kaouther Ben Hania, prod. Francja/Tunezja, w kinach od 29 stycznia



Film Tunezyjki Kaouther Ben Hani to prawdziwa petarda. Jest zarazem potrzebny, jak i nieco problematyczny. Ukazuje prawdziwe zdarzenia, w trakcie których wolontariusze Czerwonego Półksiężyca starają się uratować sześciolatkę znajdującą się w ostrzeliwanym samochodzie. Z jednej strony mamy do czynienia z rzemieślniczo doskonałym produktem (aktorska ekstraklasa), z drugiej to również film, który za wszelką cenę ma poruszyć widza, zmuszając go do płaczu i współodczuwania – w końcu opowiada o walce o życie jednostki. Niemniej dla wielu stanowi tematyczny samograj. Pojawia się też pytanie, czy przez kolejne lata będą powstawać podobne tytuły, w zależności od miejsca, z którego pochodzą twórcy. Na ten moment jednak „Głos Hind Rajab" przypomina nam o potworności śmierci – kiedy tysiące zamieniają się w liczbę jeden, tragizm tych wydarzeń zaczyna być dla nas namacalny. I to działa.

Jan Tracz

MIĘDZY OKŁADKAMI



Florence Noiville

Milan Kundera: „Pisać, cóż za dziwny pomysł!"

tłum. Oskar Hedemann, W.A.B, Warszawa 2025

To nie jest klasyczna biografia w stylu: „urodził się, żył, kochał, cierpiał, po czym nieodwołalnie umarł". Dostajemy raczej kolaż – fragmenty tekstów i rozmów, wspomnienia, dziennik podróży do Czech i na Morawy, kunderowskie miejsca w Paryżu i Rennes. Z jednej strony doceniam tę formę – w końcu sam Kundera konsekwentnie powtarzał, że jest „tylko" powieściopisarzem. A fragmenty jego książek to najmocniejszy punkt tej publikacji. Z drugiej strony miałem nieodparte wrażenie, że czytam coś pomiędzy brykiem a serią luźnych wpisów z mediów antyspołecznościowych. Może więc to biografia skrojona pod współczesnego czytelnika: krótkie formy, szybkie skojarzenia, minimum wysiłku, maksimum pozorów kontaktu z „wielkim nazwiskiem".

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MAGDA HUECKEL/TEATR NOWY, KINO NOWE HORYZONTY, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5aa09ba18e



GDY PAMIĘĆ SIĘ GUBI

Co powinniśmy wiedzieć o chorobie Alzheimera?

Marek Czarkowski

We Wrocławiu, na ścianie budynku dawnej kliniki psychiatrycznej przy ul. Bujwida 42, znajduje się tablica upamiętniająca dr. Aloisa Alzheimera, który był jej dyrektorem i zmarł w tym mieście 19 grudnia 1915 r.

3 listopada 1906 r., w trakcie posiedzenia Towarzystwa Neuropsychiatrii Południowo-Zachodnich Niemiec w Tybindze, opisał on przypadek Augusty Deter, pacjentki, którą opiekował się od 1901 r., będąc wówczas zastępcą ordynatora w frankfurckiej klinice psychiatrycznej.

Banalna diagnoza. przełomowe odkrycie

Początkowa diagnoza był banalna: utrata pamięci. Z czasem stan Augusty się pogarszał. Pojawiły się halucynacje, dezorientacja, paranoja i zaburzenia snu. Kobieta nie była w stanie zapamiętać najprostszych informacji. W końcu zapomniała, jak się nazywa, i lekarze stracili z nią kontakt.

Augusta Deter zmarła 8 kwietnia 1906 r. z powodu zapalenia płuc i zakażonych odleżyn.

Po jej śmierci dr Emil Sioli, przełożony dr. Alzheimera we frankfurckiej klinice, wysłał jej mózg do Monachium, gdzie Alzheimer mieszkał i pracował, po to, by przeprowadził szczegółowe badania.

Przez kolejne miesiące doktor badał tkankę mózgową Augusty za pomocą nowoczesnych wówczas technik histologicznych i odkrył w nim „blaszki" przypominające osady brudnego materiału. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widział. Stwierdził także rozległy zanik kory mózgowej, zbitki nieznanych wówczas białek odkładające się między komórkami nerwowymi oraz zwinięte wewnątrz neuronów włókna, które zamieniły je w gęstą strukturę.

Według relacji uczestników spotkania w Tybindze większość obecnych psychiatrów nie zrozumiała znaczenia tego odkrycia. Rok później dr Alzheimer opublikował w niemieckim czasopiśmie psychiatrycznym krótki artykuł na temat swoich badań, a w 1911 r. wydał rozszerzoną wersję tej pracy. W tym samym roku znany psychiatra dr Emil Kraepelin wpisał tę chorobę do podręcznika psychiatrii pod nazwą Alzheimer Krankheit (choroba Alzheimera), chociaż jej odkrywca nigdy nie używał tej nazwy.

Co ciekawe, odkrycie demencji u stosunkowo młodej kobiety (Augusta Deter miała wówczas 51 lat), choć było zaskakujące, gdyż w tamtych czasach uważano ją za chorobę wyłącznie starczą, nie wzbudziło szczególnego zainteresowania. Środowisko medyczne nie rozumiało, że lekarz opisał nową, odrębną chorobę, a nie zwykłe „przedwczesne starzenie się mózgu". Tak więc za życia dr Alois Alzheimer nie zyskał wielkiego uznania w związku ze swoim odkryciem.

W tamtych czasach zakładano, że ludzie starzy tracą pamięć i umierają, dlatego że są starzy. Traktowano to jako naturalny proces, któremu lekarze nie mogli zaradzić. Z czasem zrozumiano doniosłość odkrycia Alzheimera, który dowiódł, że utrata pamięci nie jest standardowym przejawem starzenia się, lecz chorobą, której objawy można dostrzec w mózgu. A zatem można ją też leczyć.

Po ponad stu latach wiemy, że to wyjątkowo trudne zadanie, którego

eprasa.pl 5aa09ba18e

nie udało się rozwiązać naukowcom, lekarzom ani farmaceutom. Do dziś nie ma skutecznego leku na chorobę Alzheimera. A te, które są od niedawna dostępne, jedynie opóźniają tragiczny koniec. Niestety roczna kuracja lekiem o nazwie Kisunla (lek na wczesne stadium choroby Alzheimera, spowalnia postęp łagodnych zaburzeń poznawczych poprzez usuwanie blaszek beta-amyloidowych z mózgu), produkowanym przez koncern Eli Lilly, kosztuje w Stanach Zjednoczonych dziesiątki tysięcy dolarów.

Na świecie na chorobę Alzheimera cierpi ponad 55 mln osób. W Polsce ok. 200 tys., choć rzeczywista liczba chorych może być wyższa – pojawiają się informacje, że chorych jest 370-500 tys. Większość stanowią kobiety.

Nie pamiętam, gdzie zostawiłem kluczyki

Pan Marcin ma 73 lata. Wczoraj przez pół godziny szukał okularów, które były na jego głowie. Dziś nie pamięta, co obiecał wnukowi. Żonę, która od wielu lat jest na emeryturze, zapytał, kiedy wraca z pracy.

Takie sytuacje są w polskich domach coraz częstsze. Starzejące się społeczeństwo oznacza wzrost liczby osób borykających się z chorobami neurodegeneracyjnymi. Dla każdego pacjenta oznacza to drastyczne zmiany – traci on niezależność, a przede wszystkim tożsamość. Dla bliskich choroba oznacza poczucie bezradności, stres i narastające zmęczenie. Dlatego pierwszym krokiem do podjęcia racjonalnego działania jest zrozumienie, czym jest choroba Alzheimera.

Komórki nerwowe (neurony) w mózgu w trakcie życia stopniowo umierają, co prowadzi do postępującego pogorszenia pamięci, myślenia oraz zdolności do samodzielnego funkcjonowania chorego. Ale różnica między normalnym starzeniem się mózgu a chorobą Alzheimera jest zasadnicza. Starzejąc się, każdy może czasem nie pamiętać, gdzie zostawił klucze czy okulary. To normalne. Lecz jeśli ktoś w krótkich odstępach czasu ciągle powtarza te same pytania, traci umiejętność poruszania się w znanych sobie miejscach, nie pamięta nazwisk, imion bliskich lub nie potrafi załatwić codziennych spraw – to już nie jest zwykłe zapominanie.

Problem w tym, że wczesna faza choroby jest trudna do zauważenia. Zmiany zachodzą powoli. Chory długo potrafi ukrywać problemy – kompensuje je, unika trudnych sytuacji, przerzuca odpowiedzialność na najbliższych. Z czasem jednak objawy stają się coraz bardziej widoczne, aż w końcu uniemożliwiają normalne funkcjonowanie. By zrozumieć tę chorobę, trzeba wiedzieć, co się dzieje w głowie pacjenta na poziomie komórkowym – rzecz jasna w dużym uproszczeniu.

W zdrowym mózgu neurony komunikują się ze sobą dzięki specjalnym substancjom chemicznym. Pamięć, myślenie, rozumowanie – to wszystko zależy od prawidłowych połączeń i wymiany informacji między miliardami neuronów.

Roczna kuracja lekiem o nazwie Kisunla (na wczesne stadium choroby Alzheimera) kosztuje w Stanach Zjednoczonych dziesiątki tysięcy dolarów.

W chorobie Alzheimera w mózgu zaczynają się odkładać nieprawidłowe białka: beta-amyloid i tau. Można to porównać do osadu, który najpierw przeszkadza, a w końcu uniemożliwia prawidłową wymianę informacji między komórkami. Te „nieprawidłowe" białka stopniowo niszczą neurony. Komórki obumierają, mózg się kurczy, a jego funkcje zanikają. Proces ten trwa długo – czasem 10-20 lat – nim pojawiają się pierwsze widoczne objawy. Jeśli pierwsze zmiany nastąpią w mózgu 60-latka, objawy kliniczne mogą pojawić się w wieku 75 lat.

Dlatego wczesna diagnoza jest niezwykle ważna. Pacjent i jego rodzina mają bowiem więcej czasu na przygotowanie się i ewentualne spowolnienie postępów choroby.

Trzeba zwrócić uwagę na z pozoru niewiele znaczące drobiazgi: zapominanie ważnych wydarzeń, gubienie wątków w czasie rozmowy, problemy z przypominaniem sobie imion osób bliskich, zaburzenia w orientacji w czasie. Osoba chora nie wie, jaki jest dzień, ile ma lat, kiedy urodziło się jej dziecko. Staje się drażliwa, zdradza niepokój, a nawet podejrzliwość i agresję wobec bliskich. W końcu popada w depresję. Wyzwaniem dla niej staje się codzienne funkcjonowanie. Może zapomnieć, że zostawiła włączoną kuchenkę gazową, nie jest w stanie zarządzać finansami, zapomina o przyjmowaniu leków, a później przestaje dbać o higienę osobistą.

Badania przesiewowe, testy i wywiady

Rozpoznanie choroby Alzheimera nie polega na przeprowadzeniu jednego testu, choć i takie są już dostępne. W Polsce można komercyjnie wykonać badania krwi z biomarkerami związanymi z chorobą – to głównie pTau181 oraz stosunek beta-amyloidu 1–42/1–40. Są one dostępne głównie w dużych sieciach laboratoriów i wymagają późniejszej interpretacji przez neurologa. Ich ceny są wysokie: test beta-amyloid kosztuje zwykle 600--850 zł, pTau181 zaś – ok. 300-350 zł za pojedyncze oznaczenie z krwi. Warto jednak pamiętać, że ich skuteczność – w przypadku osób, u których nie występują wyraźne objawy choroby – jest wyraźnie niższa.

Za złoty standard uchodzi test amyloid PET, czyli wykonanie skanu przy użyciu aparatu PET, który rejestruje promieniowanie emitowane przez podany wcześniej pacjentowi radioznacznik i pokazuje rozkład amyloidu w poszczególnych obszarach mózgu. To jedno z najdroższych badań diagnostycznych, którego koszt wynosi średnio

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 5aa09ba18e

10-14 tys. zł, choć może też sięgnąć nawet 20 tys. zł. Jego skuteczność wynosi ponad 88%.

Dlatego najczęściej stosowaną przez lekarzy metodą są szczegółowe wywiady, w trakcie których pyta się pacjenta i jego rodzinę, jak rozwijały się objawy, jakie problemy pojawiły się po raz pierwszy, jak szybko się pogłębiały. Prowadzi się też badanie neurologiczne – testuje odruchy, sprawdza równowagę, zapachy i smaki. Wykonywane są testy pamięci i funkcji poznawczych. W ich trakcie zadawane są stosunkowo proste pytania, które pokazują, w jakim stopniu zaburzone zostały funkcje umysłowe. Następnie przeprowadza się wspomniane już testy krwi. W specjalistycznych ośrodkach dostępne są też bardziej zaawansowane badania, takie jak punkcja lumbalna (lędźwowa), czyli pobór płynu mózgowo-rdzeniowego.

Lekarz musi umieć odróżnić chorobę Alzheimera od innych przyczyn zaburzeń pamięci, np. efektów ubocznych leków, depresji (która też może objawiać się zapominaniem) oraz innych rodzajów otępienia czy możliwych do wyleczenia przyczyn, jak niedobór witaminy B12.

W przypadku choroby Alzheimera konsultacja medyczna ma kluczowe znaczenie. Im wcześniej zostanie postawiona prawidłowa diagnoza, tym większa jest szansa na skuteczne spowolnienie postępu choroby i lepsze zaplanowanie opieki przez rodzinę.

Przyczyny i leczenie

Przyczyny choroby, mimo upływu ponad 100 lat od jej odkrycia, nie są jednoznacznie określone. Uważa się, że ma ona charakter wieloczynnikowy, nakładają się w niej na siebie zmiany białkowe w mózgu, predyspozycje genetyczne oraz czynniki naczyniowe i środowiskowe. Ryzyko zwiększają: nadciśnienie, cukrzyca typu 2, otyłość, wysoki poziom cholesterolu, choroba niedokrwienna serca i przebyte udary – wszystko, co pogarsza ukrwienie mózgu i przyśpiesza neurodegenerację. Nie bez znaczenia jest też niska aktywność fizyczna, dieta bogata w tłuszcze nasycone, palenie, nadużywanie alkoholu, izolacja społeczna oraz niski poziom wykształcenia. A także płeć. Na chorobę Alzheimera częściej zapadają kobiety niż mężczyźni. Przyczyną może być menopauza i spadek poziomu estrogenów, które działają na mózg neuroprotekcyjnie.

Na chorobę Alzheimera częściej zapadają kobiety. Przyczyną może być menopauza i spadek poziomu estrogenów, które działają na mózg neuroprotekcyjnie.

Jednym z najlepiej potwierdzonych czynników chroniących przed otępieniem jest regularna aktywność fizyczna – co najmniej 150 minut wysiłku tygodniowo o umiarkowanej intensywności, np. szybkiego marszu, plus bogata w warzywa, owoce i ryby dieta śródziemnomorska, a także dbanie o sen – minimum 7-8 godzin na dobę.

W ostatnich trzech latach na rynku pojawiły się pierwsze leki modyfikujące przebieg choroby. Są to głównie przeciwciała usuwające złogi amyloidu ß o nazwach Lecanemab (nazwa handlowa Leqembi japońskiej firmy Eisai i amerykańskiej Biogen) oraz Donanemab (nazwa handlowa Kisunla, producent koncern Eli Lilly). Spowalniają one postęp choroby we wczesnej fazie, lecz jej nie cofają. Prowadzone są też badania kliniczne II i III fazy leków doustnych o potencjalnym działaniu spowalniającym pogarszanie funkcji poznawczych.

Kubańskie Centro de Inmunología Molecular (CIM) z Hawany oraz zespół prof. Rona Geyera z University of Saskatchewan w Kanadzie prowadzą badania nad specyfikiem o roboczej nazwie NeuroEPO. Amerykańska spółka biotechnologiczna Alzheon prowadzi badania kliniczne II i III fazy podawanego doustnie leku ALZ-801. Natomiast inna amerykańska spółka, Anavex Life Sciences, rozwija lek o nazwie Blarcamesine (ANAVEX®2–73). Wszystkie te środki mają spowalniać utratę funkcji poznawczych. Jednak upłynie dużo czasu, nim ostatecznie dowiemy się, czy spełniają one pokładane w nich nadzieje.

We wczesnej fazie badań klinicznych znajdują się też terapie komórkowe i genowe ukierunkowane na ochronę komórek mózgu oraz zmniejszenie jego stanów zapalnych.

Do Polski można sprowadzić zarówno Leqembi, jak i Kisunlę, lecz roczna kuracja tymi lekami oznacza wydatek rzędu 22-32 tys. dol. Na razie nie planuje się objęcia ich refundacją.

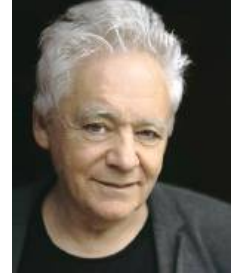
O ile w onkologii, kardiologii czy zwalczaniu chorób zakaźnych obserwujemy szybki postęp w badaniach, a nowe leki pojawiają się każdego roku, to w przypadku choroby Alzheimera tak się nie dzieje. Mózg okazał się złożonym organem niepoddającym się łatwo leczeniu. Dziś nie ma nadziei na pojawienie się jednego, skutecznego leku lub terapii mogącej wyleczyć chorych. Dobrze, że chociaż można chorobę spowolnić.

W ostatnich trzech latach na rynku pojawiły się pierwsze leki modyfikujące przebieg choroby.

W ostatnich miesiącach prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump, wbrew swej woli, stał się „ambasadorem" choroby Alzheimera. Jego przeciwnicy, głównie w mediach społecznościowych, szeroko forsują tezę, że jest on regularnie faszerowany produkowaną przez koncern Eli Lilly Kisunlą. Wszak jego ojciec, Fred Trump, w podeszłym wieku cierpiał na chorobę Alzheimera.

Marek Czarkowski

eprasa.pl 5aa09ba18e



Oko w oko Tomasz Jastrun

Był Czarnobyl

Adam Szostkiewicz pisze celnie w „Polityce”: „Gdzie jest radykalna propalestyńska lewica zachodnia, gdy reżim ajatollahów zabija tysiącami własnych obywateli, którzy mają go dość? Dlaczego milczy głucho, gdy wcześniej tak głośno protestowała w obronie ludności cywilnej w Strefie Gazy? Bo Izrael jest wrogiem Iranu, a wróg ich wroga jest ich sojusznikiem?”.

Dodam, że to też odnosi się do polskiej lewicy i do kilku moich znajomych. Generalnie wymagać od ludzi konsekwencji i logicznego myślenia to za wiele, bo są jeszcze emocje i uprzedzenia. Zdumiewające zjawisko to odrodzenie się antysemityzmu w Polsce i w świecie – nie dlatego, że krytykuje się Izrael, on zasłużył na krytykę, chodzi o sposób, w jaki się to robi. Zapominając, że tam, jak u nas, społeczeństwo jest pęknięte na pół, jest liberalne i jest prawicowo-religijne. Teraz Izraelem rządzi żydowski Braun, Mentzen i Kaczyński. Nam też to grozi.

•

Ostatnio słucham książek, a rzadziej je czytam. Lektorami są zwykle młodzi aktorzy, którzy przekręcają szpetnie nazwiska, szczególnie te niepolskie. Już nie znają fundamentów naszej kultury.

Ostatnio słuchałem biografii Juliana Tuwima Mariusza Urbanka. Przypominam sobie, że partia Kaczyńskiego wzięła nazwę z fragmentu wiersza Tuwima „Modlitwa”: „Niech prawo zawsze prawo znaczy, / A sprawiedliwość – sprawiedliwość”. Co za paradoks, Tuwim obarczony złym pochodzeniem, dał nazwę partii nacjonalistycznej i neoendeckiej, on, który był znienawidzony przez endecję, a potem stał się stalinowcem, co PiS wypomina tak chętnie innym pisarzom. Mam piękną dedykację od Tuwima w „Słoniu Trąbalskim”, wymyślił od ręki wierszyk z moim imieniem i wpisał mi go do książki.

Nie mogę pamiętać Tuwima, miałem wtedy trzy lata i w tamtym roku poeta zmarł. Zdążył dożyć śmierci Stalina. I pisał o nim hymny żałobne. Mama jednak opowiadała mi, jak byli z ojcem z wizytą u pisarza w Aninie, w jego wilii, którą dostał od państwa ludowego. To był czas procesów lekarzy żydowskich, którzy mieli podtruwać Stalina. Ojciec i Tuwim poszli na bok i szeptali przerażeni. Ojciec już nie miał złudzeń, że Stalin to zbrodniarz i szaleniec. Tuwim był przerażony procesami, ale gdy Stalin zaraz potem umarł, co ocaliło lekarzy, poeta płakał, gdy w Domu Literatury odbyła się „msza” żałobna ku czci zbrodniarza.

Z kolei Alicja Sternowa opowiadała mi, jak siedziała ze Stefanią Tuwimową, żoną poety, w Mazovii na Ordynackiej. „Wszedł Tuwim, radosny, nachylił się i powiedział szeptem: – Słuchajcie, powiem wam teraz coś strasznego, tylko ty – zwrócił się do mnie – nie rób sobie jak zwykle dowcipów. Zróbcie poważne miny: Stalin umarł”. Więc zdumiewająca podwójność poety, jego radość ze śmierci i wielka rozpacz były zapewne szczere. Oczywisty obłęd.

Napisałem książkę „Dom pisarzy w czasach zarazy”, opowieść o stalinizmie, ale nie tylko, i wiem, jak skompilowane były drogi do mrocznej wiary. Dlatego teraz lepiej rozumiem, że można uwierzyć w coś tak poczciwego, chociaż obrzydliwego jak pisowska wiara, to znaczy rozumiem, że nie rozumiem.

•

Świetny brytyjsko-amerykański serial „Czarnobyl” o słynnej katastrofie. Podziwiam go w kilku wymiarach. Też za scenografię. Udało się pokazać skórę Związku Radzieckiego. Każdy kraj, region, każda cywilizacja ma odmienną skórę. Ta sowiecka była pełna blizn, liszajów, niezdrowo szara, jakże odmienna od tej zachodniej. U nas było podobnie, tylko mniej liszajów. Dzisiaj skóra Polski już niemal zachodnia, tylko na prowincji gdzieniegdzie można spotkać płaty tej dawnej. Serial ukazuje, jak w 1986 r. niewydolny był system, jak zakłamanie i fikcja rządziły na wszystkich szczeblach sowieckiego państwa. Uświadamia też nam, jaka groza śpi w jądrowym arsenale naszej planety.

> Katastrofa stała się źródłem nadziei, nie szkodzi, że skażonym.

Pamiętam ten kwiecień ‘86, niepokój o dziecko, radioaktywna chmura miała sunąć nad nami. Panika, fantastyczne plotki, nieufność wobec państwa, w wielkim bałaganie wszystkie dzieci piły płyn Lugola. Ale było też poczucie, że system się sypie. Katastrofa stała się źródłem nadziei – nie szkodzi, że skażonym. Sam Gorbaczow miał potem powiedzieć, że to był początek końca Związku Radzieckiego.

W Polsce te lata już gniły, czuło się, że nadchodzi Wielka Zmiana, jej twarzy jednak nikt nie znał. Ale my też gniliśmy, myślę o podziemnych strukturach. Robiłem jeszcze wtedy podziemne pismo „Wezwanie”, ale trochę z oślim uporem i siłą rozpędu. W 1989 r. w Polsce spróchniały ustrój i gnijąca opozycja zwaliły się sobie bezwładnie w ramiona. Mniej Solidarność obaliła komunę, bardziej procesy gnilne. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5aa09ba18e

Wieżowiec w Alpach

Czy kultowy Zermatt już wkrótce zostanie zabetonowany?

Chrystian Ślusarczyk

Zermatt i Matterhorn to symboliczna para – miejscowość i cud natury, rozpoznawalne nawet dla tych, którzy nigdy w Szwajcarii nie byli. Jednak już wkrótce to wyjątkowe miejsce może się zmienić nie do poznania.

Manhattan na lodowcu

Spory wokół betonowania kurortów to nie nowość. Z niesłabnącą mocą trwają od lat. Dotyczą także polskich miejscowości: Zakopanego, Wisły czy Karpacza. Gdy jakiś hotel czy element infrastruktury turystycznej wyrasta ponad otoczenie, a do jego budowy użyto więcej betonu niż drewna – pojawia się pretekst do architektonicznej awantury.

Ale to, co dzieje się w naszych kurortach, jest budowlano-architektonicznym małym piwem w porównaniu z tym, do czego już wkrótce może dojść w szwajcarskim słynnym górskim kurorcie Zermatt, leżącym na wysokości ok. 1600 m n.p.m., u stóp majestatycznej góry Matterhorn (4478 m n.p.m.), w pobliżu granicy z Włochami. Sylwetka Matterhornu należy do najbardziej znanych i rozpoznawalnych na świecie, często jest utożsamiana z symbolem góry w ogóle. Czterotysięcznik, w otoczeniu wiecznych śniegów, pojawia się na opakowaniach wielu produktów, m.in. na słynnych wyrobach czekoladowych, których początki produkcji sięgają 1908 r.

Dbałość o środowisko i ekowizerunek od lat przybiera w miasteczku pod Matterhornem nieznane nad Wisłą rozmiary. Zermatt jest jedną z niewielu miejscowości w Europie z zakazem poruszania się samochodami z silnikiem spalinowym. Kursują tam pojazdy elektryczne (przeważnie akumulatorowe) i dorożki konne, a do kurortu nie prowadzi żadna ogólnodostępna i utwardzona droga. Najbliższe parkingi znajdują się w oddalonej o 10 km miejscowości Täsch. Do Zermatt można dojechać kolejką kursującą na trasie Visp-Stalden-Täsch.

Na tle tych ekologicznych ograniczeń to, co wkrótce może się stać w miasteczku, dla wielu jest szokujące. Firma Lina Peak planuje budowę… potężnego wieżowca! Drapacza chmur, który znakomicie wkomponowałby się w krajobraz np. nowojorskiego Manhattanu.

Lina Peak w bezpośrednim sąsiedztwie Matterhornu chce postawić 260-metrowy wieżowiec. Dla porównania – warszawski Pałac Kultury ma z iglicą 237 m, Varso Tower, najwyższy budynek w całej Unii Europejskiej, mierzy z iglicą 310 m.

Zermatt to jedna z niewielu miejscowości w Europie z zakazem poruszania się samochodami z silnikiem spalinowym.

Szwajcarski wysokościowiec powstałby ok. 800 m od granic miasta, w dolinie rzeki Gornery. Na 65 piętrach zaplanowano łącznie 500 mieszkań i apartamentów. Mieszkania na dolnych kondygnacjach oferowane byłyby w dość przystępnej jak na szwajcarskie realia cenie. Wyższe piętra, z apartamentami najwyższej klasy i widokami zapierającymi dech w piersiach, zostałyby zarezerwowane dla właścicieli naprawdę grubych portfeli.

W wieżowcu ma powstać sala koncertowa na 2,5 tys. osób i parking na 1 tys. aut. Lokalne media donoszą, że koncertowaniem w alpejskiej hali już dziś poważnie zainteresowane są gwiazdy muzyki i opery. Nie zabraknie też sporego basenu wewnętrznego.

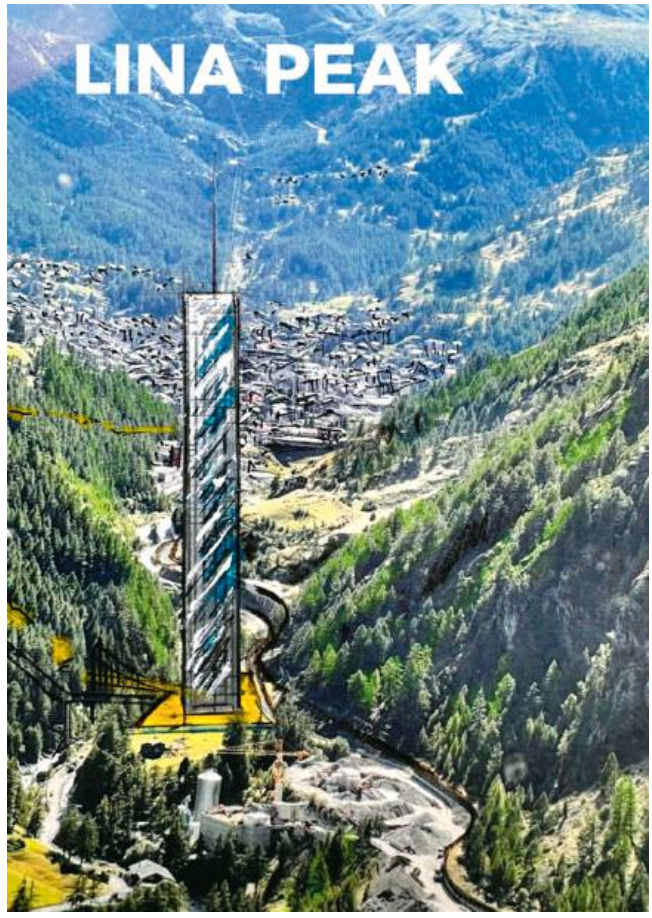
Na specjalne udogodnienia mogą liczyć narciarze. Dla nich Zermatt to nie tylko miejscowość w sercu Alp, ale przede wszystkim marka i synonim jakości, której nic nigdy nie dorówna. Na szczycie wieżowca planowany jest panoramiczny taras. Z dolnych kondygnacji miłośnicy białego szaleństwa będą zaś mogli bezpośrednio wsiadać do supernowoczesnej gondoli transportującej ich na nartostrady.

A narciarze i snowboardziści mają tam w czym wybierać: region narciarski Zermatt-Matterhorn to 200 km tras narciarskich i 32 nowoczesne wyciągi, w tym najwyżej położony w Europie, na wysokości 3883 m n.p.m. Planowany wieżowiec i cała architektoniczna otoczka doskonale zatem wpisują się w hasło miłośników sportów zimowych: „Ski-in, ski-out” – co oznacza zakwaterowanie, które pozwala rano wyjechać na narty, a pod koniec dnia wrócić, bez korzystania ze skibusów, bez uciążliwego chodzenia w butach narciarskich i noszenia ekwipunku.

Kto na tym skorzysta?

Pomysłodawcą budowy wieżowca w sercu Alp jest 61-letni szwajcarski architekt i hotelarz, urodzony w Zermatt Heinz Julen. Jego rodzice i dziadkowie są związani z kantonem Valais i doliną, w której znajduje się miasteczko. Bliscy Julena kochają

eprasa.pl 5aa09ba18e



Czy drapacz chmur jak z Manhattanu pasuje do krajobrazu Alp? Firma Lina Peak prezentuje wizualizację 260-metrowego wieżowca na stronie internetowej.

to miejsce i zarzekają się, że nikt nie zmusi ich nigdy do przeprowadzki gdzie indziej.

Dla Heinza Julena to nie pierwsze wyzwanie, jakie rzuca alpejskim i górskim schematom architektonicznym. Jego wcześniejsze koncepcje, od hotelu na wysokości ponad 4 tys. m po penthouse na obrotowej platformie, budziły kontrowersje i nie spotkały się z akceptacją rodaków. Dowodziły jednak wyjątkowego uporu i odwagi architekta. Uporu, który być może przyniesie mu wreszcie upragniony sukces.

Biznes braci Heinza kręci się wokół Zermatt. Franz jest prezesem zarządu potężnej sieci wyciągów Zermatt Bergbahnen AG i twórcą najnowszego, międzynarodowego połączenia wyciągowego Matterhorn Alpine Crossing ze strony szwajcarskiej na włoską, do Breuil-Cervinii. Połączenia, o którym myślano już… w 1939 r. Franz odpowiada także za organizację zawodów Pucharu Świata. Z kolei Max, mistrz olimpijski w slalomie gigancie z Sarajewa (1984), jest właścicielem jednego z najbardziej ekskluzywnych hoteli górskich na świecie.

Odważny projekt Julena został zaprezentowany lokalnej społeczności. Liczący dziś 5,8 tys. mieszkańców kurort błyskawicznie podzielił się na zwolenników projektu i oburzonych wizją zniszczenia naturalnej panoramy Matterhornu. Ci pierwsi są przekonani, że postawienie wysokościowca mogłoby raz na zawsze zlikwidować problem z zakwaterowaniem przyjezdnych zarówno latem, jak i zimą.

Sposób na overtourism

W samym miasteczku i okolicznych wsiach dramatycznie brakuje miejsc noclegowych i domów na wynajem, a ceny nieruchomości z każdym rokiem są wyższe. Wszyscy w Zermatt są zaniepokojeni drastycznym pogarszaniem się standardu życia. Głównym winowajcą jest jak zwykle overtourism, czyli nadmierna turystyka. Od początku 2025 r. górski klejnot odwiedziło 900 tys. turystów. By te rzesze obsłużyć, miasteczko i kanton zmuszone były zatrudnić setki osób. Dla personelu turystycznego również dramatycznie brakuje miejsc noclegowych. Wedle dostępnych danych w roku 2026 Zermatt planuje odwiedzić jeszcze więcej gości. Proporcjonalnie musi więc wzrosnąć liczba osób zatrudnionych przy ich obsłudze.

Co ciekawe, koncepcja budowy potężnego wieżowca pod Matterhornem znacznie poważniej jest odbierana przez Szwajcarów niż przez Włochów z sąsiedniej Cervinii, którzy traktują projekt Julena z przymrużeniem oka, jako nierealny kaprys znudzonego architekta.

Z ekonomicznego punktu widzenia na kontrowersyjnej inwestycji skorzystaliby wszyscy. Dochody miałyby zostać podzielone po równo między gminę, właścicieli wyciągów narciarskich oraz firmę transportową dowożącą turystów do Zermatt. Deweloper nabyłby 25% udziałów, a pozostała ich część trafiłaby do potencjalnych udziałowców zewnętrznych.

Jak informują szwajcarskie media, inwestor już kupił parcelę pod budowę wysokościowca. Aby zacząć jego budowę, Heinz Julen musi najpierw zdobyć 600 podpisów, a potem przekonać mieszkańców w referendum. Zbieranie podpisów już się zaczęło. Sam wieżowiec byłby gotowy w 2034 r.

Debata wokół planowanej inwestycji wykracza daleko poza granice kantonu Valais i całej Szwajcarii. Fundamentalne pytanie o takie projekty stawia sobie samorząd wielu górskich miejscowości: jak przyjmować miliony turystów, zapewniając im komfort, utrzymując mieszkania dla pracowników, a jednocześnie zachowując niepowtarzalny charakter miejsca? Głowią się nad tym nie tylko w Alpach, ale i w naszych Karpatach czy Sudetach. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE LINAPEAK-ZERMATT.COM

eprasa.pl 5aa09ba18e

SAFARI Z MASKONURAMI

Grenlandzka fauna i flora



Nieodzownym elementem morskiej fauny są foki.

Paulina Tondos

Na Grenlandii florę reprezentuje ponad 700 gatunków (ok. 520 rodzimych i 200 importowanych), tyle że roślinność jest niskopienna, charakterystyczna dla tundry. Najczęściej występującą formacją roślinną są karłowate wrzosowiska mierzące od 10 do 50 cm, na których rosną też bażyna czarna, borówka bagienna, karłowate wierzby i brzozy, mchy, porosty i różne gatunki kwiatów. Oprócz wrzosowisk występują stepy, łąki, mokradła i arktyczne pustynie. Drzewa regularnej wielkości rosną tylko na południu wyspy. Najpopularniejsza jest brzoza omszona, która potrafi osiągnąć nawet 10 m wysokości, i wierzba szara, rzadziej olsza zielona i jarząb. Drzewa iglaste reprezentuje na Grenlandii jedynie jałowiec pospolity – choinki bożonarodzeniowe trzeba więc importować z Danii.

Naukowcy badają, dlaczego w wielu miejscach na tej samej szerokości geograficznej rosną bujne lasy, a na Grenlandii nie.

W ramach badań naukowych podjęto próby uprawy rozmaitych drzew, m.in. świerków w arboretum w Narsarsuaq w południowej części wyspy. Eksperyment się udał – dziś z pewnością ok. 5 tys. choinek rośnie na wyspie. Nikt ich jednak ścinać nie zamierza, botanikom z Uniwersytetu w Kopenhadze służą one bowiem do badań. Naukowcy pragną poznać odpowiedź na pytanie, jakie gatunki drzew są w stanie przetrwać w tych warunkach oraz dlaczego w wielu miejscach na tej samej (a nawet wyższej) szerokości geograficznej rosną bujne lasy, a na Grenlandii nie.

Robocza hipoteza głosi, że brak drzew na wyspie jest pochodną ostatniej epoki lodowcowej – powiększający się lądolód po prostu zepchnął je do oceanu. Licznie za to reprezentowane są rośliny kwitnące, które latem niczym wielobarwny dywan pokrywają górskie zbocza. Najpowszechniej występują dzwonki, firletki alpejskie, lepnice bezłodygowe, maki arktyczne, jaskry, skalnice naprzeciwlistne, różaneczniki lapońskie i jastrzębce. Narodową rośliną Grenlandii jest mały kwiatek z czterema fioletowymi płatkami, zwany *niviarsiaq*, czyli młoda kobieta. Jego łacińska nazwa to *Epilobium latifolium*, a kwiaty, liście i pędy są jadalne i znakomicie nadają się do sałatek. Do przygotowywania potraw można użyć także rosnących na wyspie bażyn czarnych, jeżyn, borówek bagiennych, arcydzięgla, macierzanki oraz… bagna grenlandzkiego, stosowanego do parzenia herbat.

Grenlandia ma zaledwie dziewięć rodzimych gatunków ssaków lądowych – reszta zwierząt, włącznie z myszami i szczurami, została tu przywieziona przez człowieka.

Najsłynniejszymi mieszkańcami wyspy są niewątpliwie niedźwiedzie polarne. Spotkać je jednak trudno, zwykle bowiem trzymają się północnego i północno-wschodniego wybrzeża. Większość czasu spędzają na zamarzniętych wodach fiordu – na ląd wchodzą tylko, kiedy lód jest zbyt cienki, lub kiedy samica ma urodzić. Czasem zdarza się, że na krze podryfują aż do południowej części wyspy albo nawet na Islandię! Oczywiście zmniejszająca się ilość lodu morskiego stanowi dla nich ogromne zagrożenie – będą częściej schodzić na ląd i tym samym zbliżać się do ludzkich siedlisk. Ulubionym pożywieniem niedźwiedzi jest nerpa obrączkowana, ale zadowolą się też innymi gatunkami fok, narwalem, białuchą arktyczną, rybami oraz ptakami morskimi.

Na wyspie są dwa typy lisów polarnych – niebieskie i białe. Te pierwsze trzymają się blisko wybrzeża, żywią się rybami, owocami morza, młodymi fokami i ptakami, a ich umaszczenie pozostaje brązowo-szaro-czarne przez cały rok. Lisy białe natomiast mieszkają w głębi lądu, polują na obrożnice i zające i zmieniają latem futro z białego na brązowe.

eprasa.pl 5aa09ba18e



Niektóre firmy turystyczne mają w ofercie polowania na karibu.

Innym ciekawym stworzeniem są piżmowoły arktyczne. Charakteryzują się krótkimi nogami, długim gęstym włosiem i zakrzywionymi rogami. Ważą zwykle od 200 do 400 kg. Piżmowoły są roślinożerne – ich główne pożywienie to trawy, zioła, wierzby i brzozy karłowate. W okresie godowym, trwającym od sierpnia do października, samce zacięcie walczą o samice – rozpędzone nawet do 20 km/godz. z głośnym hukiem zderzają się głowami. Piżmowoły są ulubionym pożywieniem wilków polarnych. Drapieżniki polują na młode lub słabsze osobniki. Jeśli uda się je oddzielić od stada i zmusić do ucieczki, wilki są w stanie ścigać je nawet przez kilka godzin, aż wycieńczone ofiary staną się łatwym łupem. Wilki polarne są bardzo podobne do grenlandzkich psów zaprzęgowych – najbardziej charakterystyczną różnicą jest to, że zawsze mają ogon skierowany do dołu.

Oprócz wyżej wymienionych ssaków na Grenlandii występują zające polarne, karibu, gronostaje, obrożniki tundrowe oraz rzadziej rosomaki tundrowe.

Znacznie więcej zwierząt żyje w wodach dookoła wyspy. Spotkać tam można aż 16 gatunków wielorybów, w tym humbaki, orki, kaszaloty, płetwale karłowate, zwyczajne i czerniakowe oraz wale grenlandzkie. W wodach Grenlandii występują też największe zwierzęta świata, czyli płetwale błękitne. Dorosłe osobniki mogą mieć nawet 30 m długości i ważyć aż 200 ton, noworodki płetwala mierzą natomiast 7 m i ważą zaledwie… 2,5 tony.

Większość morskich ssaków pojawia się w wodach Grenlandii wyłącznie latem – zimują tylko narwale, białuchy i wale. Wielce interesujące są rekiny polarne. To najdłużej żyjący kręgowiec na świecie – przypuszcza się, że osobniki tego gatunku mogą dożywać nawet 500 lat, a zaczynają się rozmnażać, dopiero kiedy mają 150 lat! Surowe mięso rekina polarnego jest toksyczne z powodu wysokiej zawartości tlenku trimetyloaminy. Zdatne do jedzenia jest albo ususzone, albo poddane fermentacji (właśnie z takiego sfermentowanego mięsa rekina Islandczycy przygotowują swój słynny przysmak, czyli hákarl). W przeszłości Grenlandczycy używali oleju z rekiniej wątroby do oświetlania domów, z zębów robili małe noże, a ze skóry szyli buty. Mięso oddawali psom.

Nieodzownym elementem morskiej fauny są foki (nerpy obrączkowane, lodofoki grenlandzkie, kapturniki morskie), morsy i ryby. Tych ostatnich jest tu aż 250 gatunków, najwięcej jest łososi, golców, dorszy, zębaczy, halibutów i karmazynów. Rybołówstwo to obecnie najważniejsza gałąź gospodarki Grenlandii. Rocznie na lokalny rynek i na eksport trafia ok. 48 tys. ton krewetek, 27 tys. ton halibutów i 30 tys. ton dorszy.

Na wyspie zaobserwowano ponad 230 gatunków ptaków, 60 z nich przebywa tam przez cały rok. Na lądzie mieszkają śnieguły zwyczajne, poświerki, zięby, kruki, białorzytki, bieliki, sokoły wędrowne, białozory i sowy śnieżne. Wybrzeże to królestwo fulmarów zwyczajnych, edredonów, rybitw popielatych, wydrzyków i mew, a sieweczki, biegusy i płatkonogi szydłodziobe upodobały sobie mokradła.

Niewątpliwie jednym z najciekawszych ptaków, które można spotkać na wyspie, są maskonury. Swoim wyglądem przypominają nieco pingwiny, z tym że w odróżnieniu od nich potrafią świetnie latać. Mogą osiągać prędkość nawet do 90 km/godz.! Maskonury, choć stosunkowo niewielkie (30 cm wysokości), są dość ciężkie, dlatego że ich kości nie są pneumatyczne. By utrzymać się w powietrzu, muszą bardzo energicznie machać skrzydłami – nawet 400 razy na minutę. Mają sporą głowę, krótkie czerwone nóżki i duży wielobarwny dziób, dzięki któremu są wyśmienitymi myśliwymi. Dodatkowa kość w szczęce sprawia, że złapawszy jedną rybę, mogą kontynuować polowanie, nie gubiąc wcześniejszej zdobyczy. Dzięki temu potrafią upolować nawet kilkadziesiąt rybek za jednym zamachem. Większość swojego życia spędzają na wodzie – na ląd przybywają jedynie latem, podczas okresu lęgowego.

Grenlandia ma tylko dziewięć rodzimych gatunków ssaków lądowych – resztę zwierząt, włącznie z myszami i szczurami, przywiózł człowiek.

FOT. SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 5aa09ba18e

Można je podziwiać w kilku miejscach na zachodzie wyspy od maja do sierpnia. Później odlatują i zimę spędzają na morzu w pobliżu Nowej Fundlandii. Z natury są monogamiczne, łączą się w pary na całe życie. Samica składa zawsze tylko jedno jajo, które wysiaduje na zmianę z samcem, co pozwala polować obojgu. Na początku XX w. populacja maskonurów na Grenlandii znacząco się zmniejszyła. Dziś nie wolno na nie polować ani zabierać ich jaj.

W wodach dookoła wyspy spotkać można aż 16 gatunków wielorybów, w tym humbaki, orki i kaszaloty.

Ta polityka przyniosła efekty – ich liczebność zaczęła wzrastać. Najlepszym sposobem na zobaczenie tych sympatycznych ptaków jest „maskonurze safari", trzygodzinny rejs z Nuuk w stronę niewielkiej wysepki zwanej potocznie Puffin Island.

Jeszcze do lat 50. ubiegłego wieku wszyscy mężczyźni na Grenlandii polowali, a od ich umiejętności i skuteczności zależało przetrwanie rodziny i całych społeczności. Wiele się jednak od tego czasu zmieniło. Z jednej strony Dania doprowadziła do skoncentrowania populacji w kilku większych miastach, z drugiej strony Greenpeace rozpoczął bardzo emocjonalną i agresywną kampanię przeciwko komercyjnemu polowaniu na foki na wodach terytorialnych Kanady. Szybko jednak odbiła się echem na całym świecie głównie dlatego, że użyto w niej drastycznych zdjęć przedstawiających Inuitów zabijających małe foczki kijami.

W kampanię włączyły się także inne organizacje, a zszokowana opinia publiczna zaczęła naciskać na rządy swoich krajów, by podjęły stosowne kroki. W efekcie Wspólnoty Europejskie zakazały importu skór młodych fok, a Stany Zjednoczone jakichkolwiek produktów z tych zwierząt. Ludzie na całym globie przestali kupować wyroby z foczych skór. Konsekwencje dla lokalnych społeczności były natychmiastowe – rynek się całkowicie załamał, a Inuici, którzy polowali na bardzo małą skalę i bynajmniej nie okładali fok kijami, stracili swoje źródło dochodów. Po wielu latach Greenpeace przeprosił za tę kampanię i za szkody, jakie ona poczyniła. Obecnie w Unii Europejskiej obowiązuje zakaz importu produktów z fok, z wyjątkiem tych upolowanych w tradycyjny sposób przez Inuitów.

Wyroby z foczej skóry to dziś jeden z najbardziej popularnych suwenirów, jakie można kupić na Grenlandii. W sklepach z pamiątkami znajdziemy m.in. zrobione z fok portmonetki, biżuterię, kapcie, torebki, rękawice czy opaski na włosy. Przeprowadzona przez Danię modernizacja i zawirowania związane z polowaniem na foki sprawiły, że większość Grenlandczyków już dawno porzuciła tradycyjny styl życia i dziś myślistwem zawodowo zajmuje się bardzo niewiele osób, głównie w północnej i wschodniej części wyspy. Profesjonalną licencję posiada tylko nieco ponad 2 tys. mieszkańców wyspy (w tym ok. 20 kobiet).

Obecnie myślistwo nie jest wcale zajęciem opłacalnym – bardzo często domowy budżet spina się tylko dlatego, że współmałżonek ma regularną pracę. Na Grenlandii można też dostać licencję rekreacyjną. Obecnie posiada ją 3,5 tys. osób, w tym niecały tysiąc kobiet. Część z nich łączy myślistwo z innym zajęciem, np. pracą w turystyce, co opłaca się bardziej niż bycie wyłącznie myśliwym. Inni wyruszają na łowy w weekendy, a swoje zdobycze gromadzą w zamrażarkach i sukcesywnie konsumują. Grenlandczycy nie polują więc dla sportu, a przynajmniej nie jest to ich główny cel, szczególnie że polowania na wyspie są ściśle regulowane przez rząd. Obowiązują limity, zezwolenia, a w niektórych wypadkach także specjalne obostrzenia. Na niedźwiedzie polarne np. mogą polować wyłącznie zawodowi myśliwi i to po wcześniejszym zdobyciu zezwolenia. Niektóre firmy turystyczne mają natomiast w swojej ofercie polowania na karibu i piżmowoły przygotowane z myślą o zagranicznych myśliwych.



Fragmenty książki Pauliny Tondos *Grenlandia. Ulotny duch Północy*, Bezdroża/Helion, Gliwice 2026



eprasa.pl 5aa09ba18e

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Wujek Supersam

O tym, że choroba Alzheimera jest dziedziczna, wiem aż za dobrze, wszyscy członkowie mojej rodziny od strony ojca (jego rodzeństwo, matka, rodzeństwo matki, kuzynostwo), jeśli nie zmarli przedwcześnie, to w okolicach osiemdziesiątki popadali w demencję.

Nie jest tajemnicą, że Frank Trump, ojciec obecnego prezydenta USA, cierpiał pod koniec życia na zaawansowane starcze otępienie. Jest więc wysoce prawdopodobne, że coraz bardziej bełkotliwe wystąpienia jego syna znamionują fazę predemencyjną. Jego ostatnie przemówienia to klasyczny przykład inkoherencji, zwanej swojsko sałatą słowną – moglibyśmy mieć zatem pewność, że kolejny etap choroby rychło wyeliminuje Donalda Trumpa z polityki i życia publicznego. Niestety, odnoszę wrażenie, że sprawy zaszły już za daleko i zamiast impeachmentu prędzej dojdzie do „brežniewizacji" – otępiały wódz będzie manekinem faszerowanym psychotropami, żeby można go było czasem pokazać ludowi, a realne rządy w jego imieniu będą sprawować młodsi, zdrowsi i nie mniej zajadli następcy w rodzaju J.D. Vance'a.

Może być zresztą jeszcze gorzej: z trumpowskiego bełkotu w Davos wyłowiłem najbardziej niebezpieczny fragmencik, kiedy nagle przerwał swój wywód i skupił się na klipsie do papieru. Oświadczył, że nawet gdyby niechcący odciął sobie palec tym przyrządem, „to byłoby okropne, ale nie okazałbym bólu. Zachowywałbym się, jakby nic się nie stało, nawet gdyby odpadł mi palec". Oprócz tego, że Trump w ten sposób trzyma najwyższy poziom infantylnego narcyzmu, jest w tym stwierdzeniu ukryta groźba: „Nie liczcie na to, że jak zwariuję, odsuną mnie od władzy. Będę udawał, że nic się nie stało, nawet jeśli zgnije mi mózg". A ściślej – wszyscy wokół niego będą udawali. Takoż, próżne nasze nadzieje: nie ma wyjścia z tej celi, za mrokiem czai się mrok, diabli wyleźli z puszki Pandory i już nie dadzą się zagonić do środka.

Koszmary o tym, że opętany fanatyk o faszyzujących lub wprost faszystowskich skłonnościach może zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, przeobrażając je w imperium zła, śnili amerykańscy pisarze od dawna. W „Spisku przeciw Ameryce" Philip Roth rozwinął w poetyce historical fiction opowieść o tym, co by było, gdyby Stany Zjednoczone stały się sojusznikiem III Rzeszy. Roth wyśnił tę upiorną historię za kadencji George'a W. Busha, jednej z mniej lotnych postaci w poczcie republikańskich przywódców. Stephen King opisał w „Martwej strefie" z 1979 r. jasnowidza, który widzi katastrofalne dla świata skutki wyboru na urząd prezydencki niebezpiecznego fanatyka i dosłownie poświęca życie, aby zapobiec tej elekcji.

Nikomu jednak nie przyśniło się, że losy świata mogą spocząć w rękach postaci tak karykaturalnej, Wujka Sama o umysłowości pięciolatka, postaci hipermemicznej (z ostatnich memów mój ulubiony to ten, w którym łakomy Donek domagający się deseru przy obiedzie słyszy od matki: „Nie dostaniesz Grenlandii, póki nie skończysz Wenezueli!") i skrajnie niestabilnej. Świat myli mu się z samoobsługowym supermarketem, w którym nie ma nikogo, kto mógłby zaprotestować: „Panie, to nie jest na sprzedaż!".

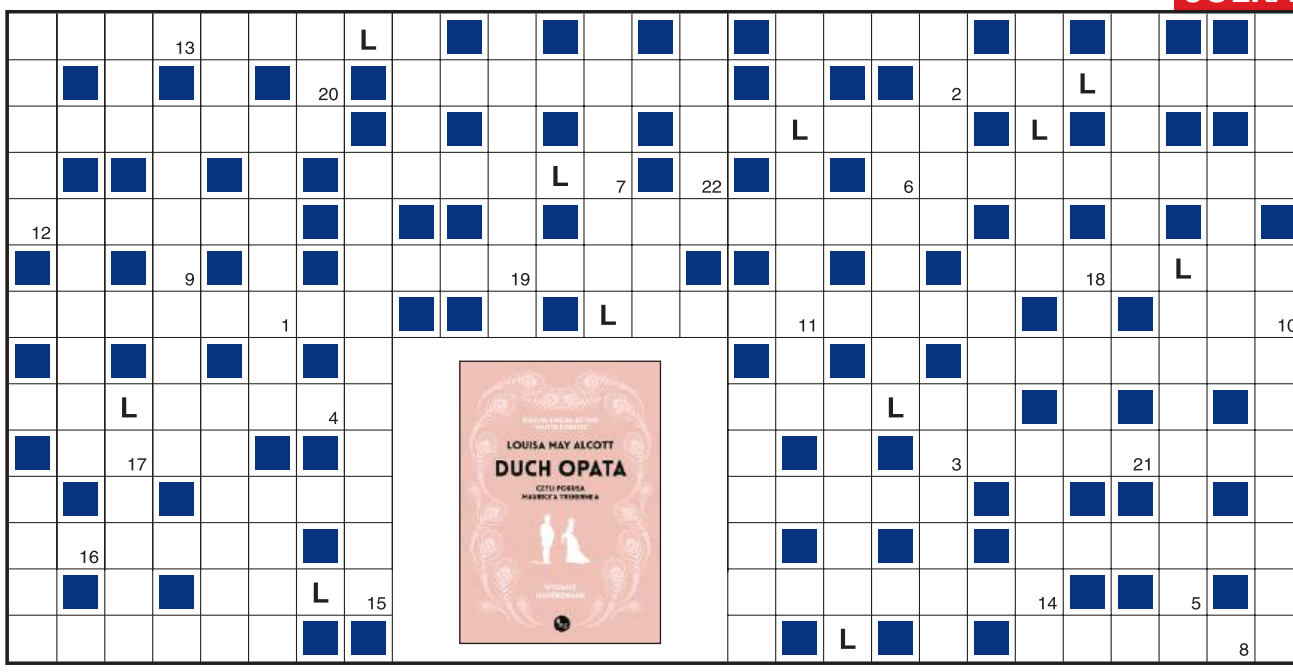
Nie ma wyjścia z tej celi, za mrokiem czai się mrok, diabli wyleźli z puszki Pandory.

Teoria TACO („Trump always chickens out"), którą pocieszają się światowi przywódcy, wydaje się nieścisła – to nie tak, że Trump wycofuje swoje groźby pod naciskiem, on zmienia zdanie, bo jest emocjonalnie labilny, albo co gorsza, nie pamięta, co wygadywał przed kilkoma dniami. Nie ma wątpliwości, że władzę nad największym światowym mocarstwem dzierży chciwy szaleniec. Jeśli ktoś się zastanawia, jak długo będą szli w zaparte jego psychoprawicowi poplecznicy w naszym kraju – nie mam złudzeń – pójdą za nim do samego końca.

Trump i Putin grają na rozpad Unii Europejskiej, której kaczyści i konfederaci jawnie nienawidzą – jest więc im po drodze z dwoma tyranami. Nie chodzi o żadną niepodległość i suwerenność od „dyktatu eurokołchozu", bo bez wahania oddaliby ojczyznę Trumpowi jako 51. stan, a może i Putinowi jako kraj satelicki Rosji – za obietnicę ostatecznego rozwiązania kwestii PO-wskiej. Za głowę Tuska i lochy dla wszystkich jego zwolenników ci rozmodleni patrioci weszliby w sojusz z samym diabłem. W myśl zasady: jeśli Polska nie może być w rękach katolickiej prawicy, lepiej żeby jej wcale nie było. ■

eprasa.pl 5aa09ba18e

JOLKA



1	2	3	4		5	6	7	8	9	10		11		12	13	14	15	16	17		18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- najmłodsza córka Jepanczynów z „Idioty”
- i owoc, i gagatek
- choroba z napadami duszności
- sprawuje władzę niczym nieograniczoną
- PKO lub Pekao
- odgłos klucza w zamku, mysiego skrobania
- w ogrodowej zieleni dziko się pleni
- w jego oku – w centrum burzliwych wydarzeń
- udoskonalił telefon Bella
- australijski nielot
- homerycki z akcją w świecie bogów i w świecie bohaterów
- wieje nią – robi się strasznie
- czeski grosz
- Rubinstein, tancerka z Ballets Russes Diagilewa
- mebel dla pokojowych, leniwych ras psów
- dezynfekujący roztwór fenolu o ostrym zapachu
- porywacz dziecka
- zgrany zespół pracowników, działaczy, twórców
- uciekający krągły chlebek z bajki
- mały, krępy koń
- 100 kg płodów rolnych
- napój cytrynowy
- pożyczanie na zdzierczy procent
- żegluga powietrzna
- na nim żagiel lub flaga
- w bibliotece (niejeden) i w aparacie szpiega
- posag z Wyspy Wielkanocnej
- wyłączne prawo do handlu, produkcji
- premier Egiptu, jego imienia jezioro na Nilu
- reklama świetlna
- dziedzina aktywności jak ziemia pod uprawę
- polowanie na bandytę
- nędzny kawał mięsa
- konserwatorską objęty jest zabytek
- szczegółowe obejrzenie przez specjalistów
- najdłuższy, prawy dopływ Wołgi
- jedno u cyklopa
- żąda go porywacz
- ojciec Horusa
- bywa zastawiony domowymi roślinami
- skaczący psi pasożyt
- anielskie śpiewy lub entuzjastyczne pochwały
- mały flet poprzeczny
- farbą, szkliwem lub dachu papą
- szukaj w nim wiatru
- placówka specjalistycznej opieki ambulatoryjnej, fachowej pomocy
- pisana magisterska
- trzeźwo ocenia rzeczywistość
- uproszczony rysunek techniczny urządzenia
- aktorka i reżyserka Irena, egeria modernizmu
- czarna, limba albo wejmutka
- grzyb pasożytujący w kłosach żyta
- smolna na łuczywo lub podpałkę
- skład tekstu tworzący pionowy pas
- brytyjski nieduży pies pierwotnie myśliwski
- urodzony przed czasem
- linijki wiersza
- młody, nieduży las
- imię autora „Kajś”, „Odrzanii”, „Aglo”
- „...modna” Krasickiego

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1258”. Do rozlosowania książki „Duch opata” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 lutego 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1255” z nr. 2: *Cegła do cegły, a będzie dom.*
Nagrody otrzymują: Alina Jamroga ze Szczecina, Kazimierz Szczotka z Lipowej, Tadeusz Wardziak z Siedlec.

eprasa.pl 5aa09ba18e

Rada Bezpieczeństwa lepsza niż Rada Pokoju

Ogłaszając powołanie Rady Pokoju, Donald Trump mówił, że gdy kończył osiem wojen, nie rozmawiał z nikim z ONZ. I że w związku z tym trzeba czegoś bardziej skutecznego.

Co to znaczy skutecznego? Ano takiego gremium, w którym wszyscy wielcy tego świata zasiedliby i sprawę rozwiązali.

Sęk w tym, że takie ciało zostało wymyślone 80 lat temu. To ONZ, a w zasadzie najważniejszy jej organ, czyli Rada Bezpieczeństwa. W jej skład wchodzi pięciu stałych członków, każdy z prawem weta. To USA, Chiny, Rosja, Wielka Brytania i Francja. Jeżeli uznamy, że te dwa ostatnie państwa reprezentują Europę, to mamy grupę najsilniejszych. Mogą dyskutować, negocjować, rozwiązywać problemy. Do tego dochodzi dziesięciu członków niestałych, dobieranych według klucza geograficznego. Każdy zakątek świata może więc swoje problemy prezentować, bezpośrednio przedstawiać je tym najważniejszym. Do tego mamy Zgromadzenie Ogólne, w którym uczestniczą wszyscy. To zresztą ono wybiera niestałych członków Rady Bezpieczeństwa. Polska była wybierana na niestałego członka Rady Bezpieczeństwa sześciokrotnie (1946-1947, 1960, 1971-1972, 1982-1983, 1996-1997, 2018-2019).

Mamy więc dobrze przemyślany system, z podkreśloną rolą najsilniejszych, ale też niezapominający o mniejszych. O co więc chodzi?

Łatwo na to pytanie odpowiedzieć. Chodzi o to, że ciało to funkcjonuje mało efektywnie. Że ciągle zbierają się różne komitety reformujące ONZ i nic z tego nie wychodzi. Cóż, taka uroda wielkich organizacji międzynarodowych i dyplomacji wielostronnej, że wszystko działa wolno. Być może kraje Zachodu tych działań nie dostrzegają, dotyczą one bowiem tych biedniejszych, niespokojnych miejsc naszego globu. Na przykład Afryki. Jak wyliczają obserwatorzy, jej sprawy zajmują prawie 50% czasu obrad Rady Bezpieczeństwa i dotyczą 70% rezolucji. Poza tym w Afryce stacjonuje ok. 50% misji pokojowych ONZ. To pokazuje, komu ONZ jest najbardziej potrzebna.

A że wielka piątka w Radzie Bezpieczeństwa nie potrafi się dogadać i blokuje się wzajemnie wetami? Widocznie tak chce. Na pewno nie pomaga w tym formuła otwartych debat i rezolucji. No i fakt, że państwa reprezentowane są przez ambasadorów skrępowanych instrukcjami. Nie jest to G7 czy inny tego typu format, w którym uczestniczą przywódcy mogący nieformalnie dyskutować oraz podejmować decyzje.

Innymi słowy ONZ to narzędzie, za pomocą którego można prowadzić politykę międzynarodową, ale wielcy wolą narzędzia inne. I na pewno nie takie jak Rada Pokoju.

A Polska? Bardziej była w świecie znana i szanowana w czasach PRL, jako najbardziej otwarty kraj bloku wschodniego. Mieliśmy wtedy dostęp do wielu ważnych stanowisk, m.in. przez wiele lat jednym z zastępców sekretarza generalnego ONZ był Eugeniusz Wyzner.

Dziś jest z tym gorzej, przegraliśmy sporo głosowań w ONZ, ostatnio była to porażka Szymona Hołowni w walce o stanowisko Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców.

Warto więc wspomnieć ostatnie sukcesy: w lipcu 2024 r. Krzysztof Szczerski został wybrany na wiceprzewodniczącego Rady Gospodarczej i Społecznej (ECOSOC), a w ubiegłym roku Bogusław Winid został ponownie wybrany na wiceprzewodniczącego Międzynarodowej Komisji Służby Cywilnej ONZ (UN ICSC).

Powodzenia!

Attaché



Protest przeciwko polityce Trumpa wobec Grenlandii przed konsulatem USA w Nuuk, Grenlandia, 17 stycznia 2026 r.

FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 5aa09ba18e







ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

„Środowiskowy apel" spada jak bomba i masakruje – mówi nam wspinacz, który przed laty przeżył coś podobnego. – Jeśli pod atakiem podpiszą się autorytety, nikt już nie czyta twoich wyjaśnień Tracisz sponsorów. Polskie środowisko górskie jest seryjnym producentem afer. Co kilka lat pojawia się jakiś apel środowiskowy albo odkrywczy wywiad, niby w imię rzetelności. Nie mam złudzeń, że intencje tych zrywów są szczere. To czystki wymierzone w ludzi spoza plemienia, działających nieszablonowo i bez błogosławieństwa środowiska. (…) Ten mechanizm znamy nie tylko z alpinizmu. Działa podobnie wśród lekarzy, prawników, sportowców czy dziennikarzy.

BENOÎT BRÉVILLE,
PREZES ZARZĄDU

Jeśli chodzi o X, Netanjahu się jeszcze nie martwi („Elon [Musk] jest naszym przyjacielem, porozmawiajmy z nim"). Problem dotyczy przede wszystkim TikToka. Platformę tę, należącą do chińskiej firmy, ale wykorzystywaną jako źródło informacji przez czterech na dziesięciu młodych Amerykanów, oskarża się o faworyzowanie treści propalestyńskich. W rzeczywistości, jak wykazało śledztwo dziennikarskie przeprowadzone przez „Washington Post", jeśli treści te są bardziej widocznie niż publikacje proizraelskie na TikToku, to po prostu dlatego, że użytkownicy produkują ich 17-krotnie więcej. Nieważne: obrońcy Izraela postrzegają tę platformę jako „Al-Dżazirę na sterydach", „wyprodukowany przez Chiny cyfrowy fentanyl", maszynę do „prania mózgów młodych Amerykanów poprzez pokazywanie im filmów z rzezią w Strefie Gazy".

JANUSZ ZALEWSKI,
PUBLICYSTA

Wziąłem na warsztat ostatnie wybory – prezydenckie. Procent głosów oddanych na zwycięskiego kandydata rozkładał się w naszym regionie następująco: miasto Ciechanów – 53,92%, gm. Ciechanów – 64,47%, gm. Glinojeck – 71,45%, gm. Ojrzeń – 75,53%, gm. Sońsk – 73,77%, gm. Gołymin – 83,61%, gm. Opinogóra – 75,93%, gm. Regimin – 75,1%, gm. Grudusk – 77,96%. Wyboru dokonał naród. Ale jaki naród go wybrał? Z tych danych wynika, że wybrała go ta – trudno powiedzieć, że oświecona – część narodu, która u nas tkwi w prowincyi. Nie musi to być prowincya głęboka, zabita dechami. Teraz przez internet każdy ma dostęp do wiedzy z łatwością niedawno niewyobrażalną. Ale dostęp to jeszcze nie wiedza, często myli się go z prawdziwą wiedzą. Przeciwnie, może on doprowadzić do ciemnoty, co stało się faktem w wyborach prezydenckich.

ARTUR ANDRUS,
DZIENNIKARZ, POETA, SATYRYK

Najlepiej by było mieć kogoś, do kogo można zadzwonić. Ale samotność świąteczna polega chyba właśnie na tym, że nie ma do kogo zadzwonić. Nawet mamy rodzinę, znajomych z dawnych lat, ale i tak nie ma do kogo zadzwonić. A jeszcze w święta? Komuś przeszkadzać? Najlepiej by było, żeby zawsze mieć do kogo zadzwonić. Żeby była przynajmniej jedna taka osoba, która będzie chciała odebrać telefon i zechce pogadać. I żeby mieć takie poczucie, że kiedy mówi: „Dobrze, że dzwonisz", mówi szczerze.

FOT. AMEM (2), PIC NA WODĘ FOROMONTAŻ

eprasa.pl 5aa09ba18e

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

IEDAESZASZEPARA

CKOOCEKATOOIEOMNIE

GÓDJETOBRYKUHAREM

BIEDA JEST ZAWSZE UPARTA, CO KOGO CZEKA TO GO NIE OMINIE, GŁÓD JEST DOBRYM KUCHARZEM



Aby język giętki…

JAROSŁAW KUŹNIAR
O KAROLU NAWROCKIM

Skąd to nieustające pobudzenie i prężenie sylwetki? Który to już dzisiaj snus?

HENRYK MARTENKA
O RÓŻNICY MIĘDZY DODĄ A STINGIEM

Nie tkwi wyłącznie w narządach rozrodczych, ani w tym, że Doda wykonała show półnaga, zaś Sting śpiewał w czapce. Różni ich klasa i to wcale nie szkolna.

JACEK WASILEWSKI O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE

Jego tchórzostwo obciąża ludzi związanych z nim politycznie.

RAFAŁ OLBIŃSKI
O WIEŻOWCACH W WARSZAWIE

Tylko Pałac Kultury i Nauki, jedyny budynek, który ma jaja, broni się świetnie.

EWA SZYKULSKA O WIDOWNI

Gram dla anonimowych dla mnie ludzi i moje zadanie polega na tym, żeby wszyscy zrozumieli, co do nich mówię.

AGNIESZKA GROCHOWSKA O MARZENIACH

Rok w filmie braci Dardenne czy Paola Sorrentina. Czuję, że odnalazłabym się w ich świecie.

KATARZYNA ŻAK O POWAŻNYCH ROZMOWACH Z MĘŻEM CEZARYM

Kiedyś zaczynały się od krzyku, dziś często od śmiechu.

KATARZYNA NOSOWSKA O MARZENIACH

Odwiedzać moje ukochane miejsce w domu, czyli pracownię ceramiczną. Zobaczyć, kim jestem, kiedy lepię z gliny.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 5aa09ba18e

PO JASNEJ STRONIE CIENIA


Wsparcie


Konfrontacja

To wystawa, która wyrasta z doświadczenia kryzysu i prowadzi ku światłu, nadziei oraz procesowi wewnętrznej odbudowy. Debiutująca artystka **Margar** opowiada w swoich obrazach o wychodzeniu z ciemności – o delikatnej, często nieoczywistej drodze ku równowadze. Jej malarstwo balansuje między realizmem a abstrakcją, tworząc emocjonalne pejzaże pełne wrażliwości i intymnej dramaturgii. Kolor i światło stają się tu narzędziami opisu stanów wewnętrznych, zapraszając widza do osobistej refleksji.

Istotny jest społeczny i wspierający charakter wystawy. Wydarzenie organizuje Fundacja eFkropka, która od lat pomaga osobom po kryzysach psychicznych, przeciwdziała stygmatyzacji oraz otacza pomocą także ich bliskich. Kupując prezentowane na wystawie obrazy, odbiorcy realnie wspierają Poradnię u Asystentów Zdrowienia – miejsce, w którym osoby po przebytych kryzysach pomagają innym odnaleźć jaśniejszą stronę życia. Sztuka staje się tu nie tylko przestrzenią ekspresji, lecz także narzędziem solidarności i zmiany.

Więcej informacji na stronie fundacji: **ef.org.pl**.

Warszawa
ul. Ożarowska 59, lok. U9
do 30 stycznia


„Jestem, pomimo...”


Walka wewnętrzna

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5aa09ba18e

FESTIVAL DE CANNES
FILM OTWARCIA

Po tym filmie będziesz marzyć, żeby jeść, śpiewać i kochać!

w rolach głównych JULIETTE ARMANET, BASTIEN BOUILLON

PRZEPIS NA SZCZĘŚCIE

reżyseria AMÉLIE BONNIN



Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

w kinach od 6 lutego

eprasa.pl 5aa09ba18e



eprasa.pl 5aa09ba18e